

HALINA ZAWADZKA

Ucieczka z getta



Miejska Biblioteka
Publiczna w Ustroniu
94(438).082
111 0 0086694 4

ISZYŚ POLSCY

Relacja ucieczki z getta i wielomiesięcznego życia po aryjskiej stronie na „polskich papierach”. Plastyczny zapis okupacyjnej codzienności, a także bezkompromisowe studium relacji polsko-żydowskich w okresie Holokaustu. Ze strachu i niezrozumienia polskiego antysemityzmu wynikają bezsilność i poczucie samotności. Z drugiej jednak strony pojawiają się wdzięczność i bezbrzeżne oddanie tym, którzy pomagali, narażając własne życie. Historia opowiedziana z kobiecą wrażliwością – silniejsze od gniewu jest tu niedowierzanie, od rozpacz – samokontrola.

Do późna w nocy słyszałam w sypialni zdenerwowane głosy matki i córki. Były one tak wyraźne, że miałam wrażenie, iż panie chcą, aby ich słowa dotarły do mnie. Obie zgodnie chciały jak najszybciej się mnie pozbyć, ale każda zrzuciła przeprowadzenie tego na drugą. Wielokrotnie w rozmowie za ścianą powtarzało się: „Powiedz jej, żeby sobie poszła” – „Ty jej to powiedz”.

Słuchałam tego przerażona i dopiero, gdy za ścianą zapanowała cisza, mogłam zebrać myśli. Zjawiłam się w spokojnym i ustabilizowanym życiu tych kobiet jak grom z jasnego nieba, wnosząc do ich domu wyrok śmierci. Wiedziałam teraz, co one czują, ale starałam się o tym nie myśleć.

Przez jakiś nadzwyczajny splot okoliczności znalazłam dwie Polki o sercach pełnych współczucia i zrozumienia. Tym kobietom, mimo ich bezpośredniego zagrożenia, trudno było wyrzucić mnie ze swego mieszkania, w którym ja, po raz pierwszy od chwili ucieczki z getta, poczułam się bezpieczna.

Postanowiłam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby u nich pozostać.

Halina Zawadzka *Ucieczka z getta*

PATRONAT MEDIALNY:

CENA 30 ZŁ



Okładka Karta

dsh
Dumni Spotkań z Historią



Halina Zawadzka urodziła się w 1924 roku w Końskich jako Halina Kon. Tam w 1941 roku trafiła do getta. W listopadzie 1942 uciekła i przez następne dwa lata ukrywała się na tzw. aryjskich papierach, głównie w Starachowicach. Po wojnie zamieszkała w Łodzi. Tam uzyskała maturę i ukończyła studia. W 1950 roku została pracownikiem naukowo-dydaktycznym w Katedrze Chemii Organicznej UŁ, a w 1962 obroniła doktorat i objęła stanowisko adiunkta. W 1969 roku wyemigrowała wraz z synem Andrzejem do USA. Przez ponad 20 kolejnych lat pracowała naukowo na Uniwersytecie Nowojorskim, jako *associate professor*. Po przejściu na emeryturę przenieśli się do Sarasoty na Florydzie.

20 VII 1944 Fundusz Pamięci
IM. TADZIA
KOLSKIEGO

Fundusz im. Tadzia Kolskiego wspiera badania naukowe i publikacje materiałów dotyczących przedwojennego życia Żydów polskich oraz historii Zagłady.

Fundusz został stworzony przez kuzynów Tadzia Kolskiego z myślą o upamiętnieniu śmierci tego piętnastoletniego chłopca, zastrzelonego przez hitlerowców w Warszawie 20 lipca 1944 (w dniu zamachu na Hitlera).

SERIA

ISDYŚ | POLSCY

HALINA ZAWADZKA

Ucieczka z getta

Miejska Biblioteka
Publiczna w Ustroniu



94(438).082

111 0 0086694 4

*Pamięci mego Ojca
Daniela Hipolita Kona*

Ośrodek KARTA
Dom Spotkań z Historią
Warszawa 2011

© Copyright by Halina Zawadzka, 2001, 2011
© Copyright by Ośrodek KARTA, 2001, 2011
© Copyright by Dom Spotkań z Historią, 2011

Opracowanie redakcyjne
Katarzyna Madoń-Mitzner

Współpraca
Agnieszka Knyt

Redaktor serii
Aleksandra Janiszewska

Opracowanie graficzne serii
Emilka Bojańczyk / Podpunkt

Projekt okładki
Patricija Bliuj-Stodulska / Podpunkt

Skład komputerowy
Piotr Suwiński

Przygotowanie zdjęć
ENVIGO

Zrealizowano przy finansowym wsparciu Funduszu im. Tadzia Kolskiego

Fundusz Pamięci
IM. TADZIA
KOLSKIEGO

Druk ZPW POZKAL

Ośrodek KARTA

ul. Narbutta 29, 02-536 Warszawa
tel. (48-22) 848-07-12, faks (48-22) 646-65-11
e-mail: ok@karta.org.pl www.karta.org.pl

Dom Spotkań z Historią

ul. Karowa 20, 00-324 Warszawa
tel. (48-22) 255-05-05, faks (48-22) 255-05-04
e-mail: dsh@dsh.waw.pl www.dsh.waw.pl

Wydanie II
Warszawa 2011

ISBN 978-83-61283-55-3
ISBN 978-83-62020-36-2



OD WYDAWCY

Świadectwo Haliny Zawadzkiej nie jest typowym zapisem indywidualnym w serii „Żydzi polscy”. Autorka nie opisuje całości swojego doświadczenia wojennego, a jedynie wybiera etap zasadniczy. Potwierdza tym samym, że jej celem nie jest przedstawienie niemieckiego systemu Zagłady, który obserwowała od początku, lecz – zdarzeń najściślej dotyczących jej własnego przetrwania. Ten osobisty raport, spisany pół wieku później, sprawia wrażenie notowanego na gorąco, chwila po chwili, emocja po emocji. Niemniej, mimo nieprzeciętnych walorów pióra, zapis rejestruje fakty, nie jest kreacją literacką.

Halina Zawadzka to uważny świadek przeszłości. Każda cząstka tej książki jest jak komórka pamięci – spojona z biegiem dawnych wypadków i z osobowością Autorki. Jej postawa wpływała na bieg zdarzeń, a te zarazem – na nią samą. Następujący potem czas zdaje się w żadnym stopniu nie osłabiać zapamiętanych obrazów, ale je filtruje, pozostawiając kształty najwyrazistsze i barwy najgłębsze. Powstało niezwykle studium ocalenia.

Teraz, gdy ukazało się już więcej tytułów w serii, po ostatnich dyskusjach publicznych na ten temat, współczesnemu czytelnikowi może łatwiej przyjdzie uwierzyć, że tak nieprawdopodobny zbieg przypadków mógł nastąpić naprawdę. Że Autorka, uciekając z getta w Końskich do „polskiego świata”, bardzo wrogiemu (choć z wyjątkami przeczącymi regule), potrafiła w tak szczęśliwy sposób uniknąć wszystkich śmiertelnych zagrożeń niemieckiej okupacji. W istocie

– nie miała teoretycznie szans na przeżycie, ale też takich szans nie miał żaden z autorów tej serii.

Nie uściślamy na łamach książki przywołanych w niej faktów historii powszechnej, uznając, iż ważniejsze jest, jak zapisały się one w pamięci Autorki, czy raczej – jak dowiadywała się o nich i przeżywała je wówczas. Także przypisy mają charakter autorskich dopełnień.

Dla Polaków lektura tej książki przed dekadą była niezwykle trudna. Przedstawiony tu obraz polskiego społeczeństwa podczas II wojny światowej staje się jednak zgodny z innymi ostatnio ogłaszanymi zapisami, szczególnie dotyczącymi postawy Polaków wobec zagłady Żydów. Zarazem ukazane są tu piękne postacie Polek, które przechowały nieznaną sobie żydowską dziewczynę, za co pośmiertnie przyznano im tytuł „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”.

Autorka od wielu lat mieszka w Stanach Zjednoczonych, na co dzień posługuje się językiem angielskim. Swoją książkę napisała jednak po polsku i ogłosiła w Polsce; dokonuje tego ku, a nie p r z e c i w Polakom. Zależy jej, byśmy zrozumieli Jej pamięć. Pierwszą edycję książki przygotowaliśmy w 2001 roku, od tego czasu ukazały się też dwa jej wydania w USA w języku angielskim jako *Living in Fear on the Aryan Side* – w 2004 i 2007 roku.

Halina Zawadzka dziękuje na końcu książki między innymi Henrykowi Schönkerowi za wsparcie udzielone w trakcie jej pisania. My zaś, wydawcy, dziękujemy Autorce za zainspirowanie do podobnego dzieła właśnie Henryka Schönkera, którego *Dotknięcie anioła* stało się kolejnym, niezwykle ważnym etapem tej sztafety Pamięci. Teraz już obie książki mogą pełnić swą ponadczasową powinność, działając tak przejmującym przykładem.

Zbigniew Gluza

NA ARYJSKĄ STRONĘ

Urodziłam się i wyrosłam w Końskich, małym powiatowym mieście, położonym w centrum Polski. Tutaj dosięgła mnie wojna i tutaj w marcu 1941 zostałam uwięziona w getcie. Półtora roku później zagroziła nam likwidacja tego maleńkiego skrawka miasta, jaki stanowiło koneckie getto.

Wydawało mi się, że zahartowałam się na głód, zimno, ciemność i brud. Uniknęłam epidemii tyfusu plamistego i rozprzestrzeniających się chorób, których ofiary leżały przykryte gazetami na podwórzach i ulicach. Dotychczas ominęły mnie niespodziewane strzały na ulicy i deportacje. Ale wszystkie te spadające na getto nieszczęścia bładły wobec strasznej groźby jego likwidacji.

Ten zakątek wraz z jego mieszkańcami był moim jedynym miejscem na ziemi. W tym skupisku ludzi, systematycznie niszczonego przez Niemców, żyła moja rodzina, przyjaciele, koleżanki i koledzy. Tutaj byłam razem z bliskimi i – jak wszyscy wokół mnie – starałam się przetrwać każdy kolejny dzień.

Rosnący lęk przed zbliżającą się akcją stał się dominującym uczuciem wszystkich mieszkańców getta. Dotychczasowe życie w zamknięciu wydawało się łatwiejsze do zniesienia niż grożące nam wywiezienie w nieznaną.

Ostatnio stale docierały do nas wiadomości o wysiedlaniu Żydów z okolicznych miasteczek i osad. Zlikwidowane zostały getta w Opocznie i Skarżysku, miastach sąsiadujących z Końskimi. Parę osób, którym udało się stamtąd uciec w trakcie akcji, znalazło chwilowe schro-

nienie w Końskich. Opowiadali o straszliwych morderstwach, których dokonywano na ulicach i w domach podczas likwidacji gett. Mówili o rozdzielaniu rodzin, oddzielaniu dorosłych od dzieci. Według nich wywożeni Żydzi byli transportowani do dalekich obozów pracy, których położenia nikt nie znał. Uważali zgodnie, że wobec zbliżającej się zimy tylko młodzi i zdrowi mieli szansę przeżycia obozowych warunków. Natomiast los pozostałych, szczególnie dzieci i starszych osób, był beznadziejny.

Pewnej nocy zapukała do naszych drzwi Hanka, moja koleżanka z Szydłowca, z którą zaprzyjaźniłam się podczas letnich wakacji w Czarnieckiej Górze w 1939 roku. Hanka była piękną blondynką o typowo aryjskim wyglądzie. Udało się jej zdobyć polskie dokumenty i uciec z getta w przededniu deportacji. Nie miała jednak gdzie się schronić. Przez parę dni ukrywała się w okolicznym lesie i tam znalazło ją kilku miejscowych Polaków. Została przez nich pobita, zgwałcona i obrabowana. Winiła siebie za wszystko, co się stało; uważała, że źródłem jej nieszczęścia jest uroda, która zwraca uwagę mężczyzn. Myślała o trwałym zeszpeceniu swojej twarzy i chciała, abym jej w tym pomogła. Przez całą noc prałyśmy jej pokrwawioną bieliznę, zszywałyśmy podarte ubranie i płakałyśmy nad tym, co nas czeka. Następnego dnia Hanka uciekła z koneckiego getta. Mimo tragicznych przeżyć po aryjskiej stronie, panicznie bała się, że może ją u nas zaskoczyć nowa akcja.

Przeżyte lata wojny pozwoliły mi poznać systematyczność i okrucieństwo Niemców. Wiedziałam, że również w Końskich prędzej czy później musi nastąpić wysiedlenie. Mimo to, wbrew wszelkiej logice, tak jak otaczający mnie ludzie łudziłam się, że – z jakichś powodów – nasze getto uniknie losu innych. Najbardziej optymistyczna wydawała mi się wersja, że na skutek trudności na froncie wschodnim Niemcy odłożą jego likwidację do wiosny. Ta odległa o kilka miesięcy pora roku wiązała się w powszechnych nadziejach z nieuniknioną klęską Niemców. Przez całą wojnę wierzyliśmy, że w okresie, kiedy przyroda odradza się po zimowych mrozach, nastąpi zwycięstwo sprawiedliwości nad zbrodnią. Teraz miała to być wiosna 1943 roku.

W ostatnim tygodniu października 1942 codziennie rozchodziły się pogłoski o pojawieniu się w mieście Łotyszów, których okrucieństwo podczas likwidacji okolicznych gett było powszechnie znane; ich obecność oznaczałaby akcję w najbliższym czasie. Jak dotąd wszystkie informacje o przyjeździe Łotyszów okazywały się fałszywe.

31 października znów rozeszła się paraliżująca pogłoska, że Łotysze są w mieście. Zebraliśmy się wszyscy w kuchni naszego mieszkania w getcie przy ulicy Piłsudskiego 4 i w wielkim zdenerwowaniu czekaliśmy na wiadomości, które miał nam przynieść mój przyjaciel Jakub (Jack) Lejbusiewicz. Należał do żydowskiej policji, więc mógł mieć sprawdzone informacje. Jack był niemieckim Żydem. Przed wybuchem wojny został wraz z najbliższą rodziną wysiedlony z Essen i wyrzucony z Niemiec. Przez wiele miesięcy byli oni zatrzymani, razem z innymi niemieckimi Żydami polskiego pochodzenia, na pasie granicznym między Polską i Niemcami, ponieważ oba kraje nie chciały ich mieć u siebie. Wpuszczeni do Polski, osiedlili się w Końskich.

Tego dnia Jack wielokrotnie przychodził, żeby mnie zapewnić, że krążące wiadomości nie potwierdziły się. Żydowska policja, której komendantem był jego starszy brat, nic dotąd nie wiedziała na temat specjalnej akcji w getcie. Było już ciemno za oknami, kiedy Jack przybiegł ponownie, wprost z posterunku żydowskiej policji.

– Halu, musisz uciekać – powiedział zadyszany, stojąc jeszcze w drzwiach. – Dostaliśmy w tej chwili wiadomość, że Łotysze przyjechali do miasta.

Moja pięcioletnia przyrodnia siostra Helenka¹, instynktownie wyczuwając grozę sytuacji, przytuliła się do mnie, jakby właśnie u mnie szukała ochrony. Jej dzieciństwo, spędzane na zatłoczonych podwórzach getta, w atmosferze ciągłego strachu i zdenerwowania, odbiło się na jej charakterze. Było to ciche, lękliwe dziecko, które usuwało się każdemu z drogi. Nikt nigdy nie miał dla niej czasu ani cierpliwości i zdawało się, że wychowywała się sama. Kochałam Helenkę i starałam się wywołać uśmiech na jej smutnej twarzy, za co ona hojnie mi odpłacała.

¹ Helenka – ur. 24 maja 1937.

Matką Helenki była czterdziestoletnia Sara². Mój ojciec³ w rok po śmierci mojej matki⁴ ożenił się powtórnie – z jej bratanicą; Sara była więc nie tylko moją macochą, ale również kuzynką. Przez wiele lat nasze wzajemne stosunki nie układały się dobrze, poprawiły się dopiero podczas długotrwałej choroby ojca. Sara okazała wówczas całkowite oddanie dla cierpiącego męża i często z narażeniem własnego życia wykradala się z getta, aby sprowadzić polskiego doktora lub zdobyć lekarstwa. Po śmierci ojca zbliżyło nas wspólne pokonywanie trudności codziennego życia w getcie. Razem zaopatrywałyśmy nasz dom w żywność i starałyśmy się osłaniać Helenkę przed głodem i stale grożącym niebezpieczeństwem.

Sześcioletnia Miriam Szpitbaum⁵, matka Sary, mieszkała razem z nami. Na początku wojny rodzice Sary sprowadzili się do nas z Radomia. Miriam owdowiała w koneckim getcie. Jej mąż, Mojżesz Szpitbaum (brat mojej matki), zmarł na atak serca na pogrzebie mego ojca.

Do naszych domowników należał również Izio, przystojny, trzydziestokilkuletni dentysta. Został zaangażowany podczas choroby ojca jako jego zastępca w gabinecie dentystycznym. Po śmierci ojca Izio nie mógł wyostać się z getta w Końskich i powrócić do swojej rodzinnej Warszawy. Pozostał więc w naszym jednopokojowym mieszkaniu na prawach członka rodziny.

Od pewnego już czasu byliśmy przygotowani na najgorsze. Spaliśmy w ubraniach, a w dzień zakładaliśmy na siebie kilka warstw odzieży. Każdy z nas miał przy łóżku naszykowany plecak z wełnianą bielizną, zapasowym ubraniem i najlepszymi butami. Nagromadziliśmy również zapas suchego prowiantu na długą podróż.

W wielu domach mieszkańcy urządzili specjalne schowki, w których najbardziej zagrożeni ludzie mogliby ukryć się w czasie akcji. Był to zazwyczaj zamurowany pokój, zamaskowana komórka, odgro-

2 Sara – ur. 11 listopada 1902.

3 Daniel Hipolit Kon – ur. w 1887 roku w Warszawie, zm. w Końskich 15 czerwca 1942.

4 Leonia Kon, z domu Szpitbaum – ur. w 1885 roku w Warszawie, zm. w Końskich 24 lutego 1935.

5 Miriam Szpitbaum – ur. w 1882 roku, zamordowana przez Niemców w 1942.

zione pomieszczenie w piwnicy lub część pokoju zastawiona ciężkim meblem. W naszym domu na strychu została wybudowana ściana, za którą powstał niewidoczny z zewnątrz pokój, z wentylacją na dach. Mały otwór, stanowiący wejście, miał być zamurowany od środka przez ukryte tam osoby.

Niektórzy kopali przejścia między domami i tunele prowadzące poza getto. Z naszego podwórza prowadził kilkusetmetrowy podziemny korytarz, przez który dorosły człowiek mógł przeczołgać się i wyjść na pola otaczające getto. Młodzi ludzie planowali przedostanie się do okolicznych lasów. Izio zorganizował grupę chłopców i dziewcząt gotowych do ucieczki i przetrwania zimy w leśnych ziemiankach. Przez wiele tygodni starał się skontaktować z członkami Polskiej Partii Socjalistycznej i uzyskać przez nich kontakt do lewicowej partyzantki. Z niezrozumiałych powodów jego starania nie przynosiły żadnych rezultatów.

Niektóre kobiety o aryjskim wyglądzie rozjaśniły swoje ciemne włosy. Wiadomo było, że planują ucieczkę na polską stronę. I ja należałam do tej grupy.

Według opinii „znawców” moja twarz nie była typowo żydowska, ale można było doszukać się w niej pewnych semickich cech. Jak na przeciętną Polkę miałam za ciężkie powieki, za grube wargi, a przede wszystkim za ciemne włosy. Niestety, nie byłam w stanie zmienić oczu ani ust, ale mogłam zlikwidować czerń warkoczy. Utleniałam je perhydrolem tak długo, aż stały się jasnoblonde o rudym odcieniu.

Decydując się na ucieczkę na polską stronę, bardzo liczyłam na moją dobrą polszczyznę. Mówiłam bez obcego akcentu, w mojej mowie nie można było doszukać się wpływu żydowskiego środowiska.

Jesienią 1942 doszłam do wniosku, że nie wolno mi czekać w getcie na los, jaki zaplanowali dla mnie Niemcy. Krążące koszmarnie opisy akcji, pijanych Niemców, Ukraińców, Łotyszów i ich atakujących psów, napawały mnie takim strachem, że ucieczka wydawała mi się o wiele łatwiejsza do przeżycia. Poza tym zawsze byłam nieodporna na zimno. Perspektywa nadchodzących mrozów w jakimś nieznanym, dalekim obozie pracy wzmacniała mój lęk.

Latem wrócił kolega, wywieziony parę miesięcy wcześniej z getta do obozu pracy. Teraz wyglądał jak szkielet. Nie do poznania zmieniło się również jego zachowanie. Robił wrażenie nienormalnego, przerażonego człowieka, który boi się własnego cienia. Niczego nie można było się od niego dowiedzieć na temat warunków w obozie. Jego fizyczny i umysłowy stan mówił jednak sam za siebie.

Bardzo ważne było dla mnie bezpieczeństwo Helenki. Bałam się, że wycieńczona niedożywianiem nie znieśnie czekających ją trudnych warunków życia. Wyobrażałam sobie, że los dzieci w obozach musi być bardzo ciężki.

Kiedy podjęłam decyzję o ucieczce z getta, zaczęłam namawiać Sarę, żeby przyłączyła się do mnie. Sara miała typowo aryjski wygląd. Wielokrotnie nawet zatrzymywała ją w getcie policja – musiała udowodniać, że jest Żydówką, a nie szmuglującą Polką.

Przez długi czas Sara odmawiała udziału w ucieczce. Bała się ryzyka wyjścia z getta, niebezpieczeństwa życia wśród Polaków, a przede wszystkim nie chciała zostawić swojej matki. Moja stała presja, argumenty na temat niepewnego losu Helenki oraz groźba, że sama zabiorę dziecko na aryjską stronę, zrobiły swoje. Po długich wahaniach Sara zdecydowała się na wspólną ucieczkę.

Opracowałam plan, według którego miałyśmy jak najdłużej pozostać w getcie i wykraść się dopiero tuż przed jego likwidacją. Dzięki znajomemu mojego ojca uzyskałyśmy autentyczne polskie metryki z archiwum koneckiego magistratu. Doktor weterynarii, Narbutowicz, przyjaciel ojca, polecił nam swego pracownika, Jana⁶, który za opłatą zgodził się, by jego dom był dla nas pierwszym miejscem schronienia po wydostaniu się z getta. Następnie miał przewieźć nas do Czarnieckiej Góry, oddalonej od Końskich o 12 kilometrów. Tam planowałyśmy spędzić jakiś czas u organisty, również z góry opłaconego, a potem pojechać do poleconych przez niego ludzi w Radomiu.

Tak więc przygotowane zostały pierwsze – jak sobie wyobrażałam najtrudniejsze – kroki po aryjskiej stronie. Dalszy etap pozostawiałyśmy losowi. Planowałyśmy jednak, że później, ze względu na wspólne

6 Jan jest imieniem fikcyjnym, nie pamiętam prawdziwego.

bezpieczeństwo, rozdzielimy się i ja samodzielnie poszukam dla siebie pracy. Wierzyłam, że dam sobie radę i znajdę miejsce do życia wśród trzydziestomilionowego polskiego narodu.

Znałam na pamięć kilka katolickich modlitw. Posiadałam modlitewnik, różaniec i krzyż na srebrnym łańcuszku. Walizki z odpowiednim ubraniem zostały przetransportowane do Jana już kilka tygodni wcześniej. Znajdowały się tam między innymi zimowe palta. Na początku wojny Niemcy zabrali Żydom wszystkie futra i ogłosili karę śmierci za ich posiadanie. To rozporządzenie nie dotyczyło Polaków. Dlatego teraz, aby jak najbardziej upodobnić się do ludzi po aryjskiej stronie, musiałyśmy mieć futrzane kołnierze na zimowych paltach.

Ponieważ, mimo jasnych włosów, w dalszym ciągu obawiałam się, że mój wygląd mógłby mnie zdradzić, planowałam ubrać się jak osoba w ciężkiej żałobie. Długi, czarny welon przyszyty do beretu miał częściowo zakrywać mi twarz. Czarne pończochy, czarna sukienka i czarna opaska na lewym rękawie palta uzupełniały mój strój. Liczyłam na to, że takie ubranie nie tylko osłoni moją twarz, ale również wzbudzi współczucie.

Teraz nadeszła chwila decyzji. Słowa Jacka: „Halu, musisz uciekać”, wciąż brzmiały mi w uszach.

Poczułam straszny ciężar tego, co miałam zrobić. Musiałam zostawić rodzinę, przyjaciół, wszystkich i wszystko, co było od dzieciństwa moje i znajome. Czułam, że ich zdradzam. Porzucałam ludzi, którzy dotychczas dzielili ze mną życie.

Zdałam sobie sprawę, jak bardzo drogi był mi ten mój codzienny świat, nad którym dotąd nawet się nie zastanawiałam. Zostawiałam w zatłoczonym pokoju składane łóżko, które dawało mi złudzenie bezpiecznego miejsca.

Teraz miałam wejść w obce środowisko, w którym nikogo nie znałam i gdzie nikt mnie nie oczekiwał. Ogarnęło mnie przerażenie, które odbierało mi pewność siebie. To mogło spowodować zwłokę i zniszczyć cały plan wyjścia z getta. Lęk przed taką ewentualnością stał się dominującym uczuciem i to dodało mi energii.

– Uciekamy – powiedziałam do Sary i nie patrząc na nią zaczęłam ubierać dziecko.

Sara, jakby porażona moimi słowami, straciła siłę. Kurczowo objęła swoją matkę, wyraźnie niezdolna do rozstania się z nią. Zdenerwowana, zaczęła krzyczeć i obwiniać mnie, że moja decyzja jest pochopna i nieprzemyślana. Nazwała mnie smarkatą, która chce kierować życiem dorosłych i zarzucała mi, że w dziecinny sposób lekceważę grożące nam niebezpieczeństwo. Nagle całkowicie zmieniła zdanie i stwierdziła, że zamiast ryzykować karę śmierci za opuszczenie getta, powinniśmy pozostać i dzielić ze wszystkimi wspólny los.

Niespodziewanie również Jack przyłączył się do jej argumentów, zapewniając, że on i jego brat zrobią wszystko, aby uchronić nas podczas akcji, mimo że parę minut wcześniej sam uważał, że powinniśmy natychmiast uciekać. Jego głośno wyrażone wahanie: „A może to była tylko pogłoska, wytwór zbiorowej paniki” zostało podchwyczone przez wszystkich obecnych domowników.

Jack postanowił wrócić na posterunek żydowskiej policji i jeszcze raz sprawdzić, jaka jest sytuacja. Wychodząc z kuchni, już w drzwiach, odwrócił się do mnie i powiedział: „Czekaj na mnie. Nie opuszczaj mieszkania, póki nie wrócę”.

Czas upływał, a Jack nie wracał. To czekanie stawało się nie do zniesienia. Ogarniało mnie coraz silniejsze pragnienie, by pozostać na miejscu i kontynuować dotychczasowe życie. Słabła we mnie siła, która pchała mnie do ucieczki. Czułam, że jeżeli natychmiast nie opuszczę mieszkania, nie będę już zdolna tego zrobić. Postanowiłam uciekać, nie czekając na powrót Jacka. Myśl, że w ten sposób uniknę bólu pożegnania z nim, pomogła mi w podjęciu decyzji. Sara odmówiła pójścia ze mną. Nie protestowała jednak, kiedy zabierałam ze sobą Helenkę. Umówiliśmy się, że będę czekać na nią u Jana. Gdyby jednak nie przyszła do rana, miałam uciekać sama z jej dzieckiem.

Pożegnałam wszystkich po kolei. Świadomość, że to, co robię, jest nieodwracalne, odebrała mi mowę. Czułam, jakby wszystko we mnie zamarzło. Wzięłam Helenkę za rękę i wyszliśmy z mieszkania. Szliśmy podwórzowymi ulicami getta. Wszędzie było pusto i ciemno. Mogłoby się здаwać, że dziewięć tysięcy ludzi zapadło się pod ziemię. Szybko i cicho posuwaaliśmy się blisko ścian domów. Helenka dotrzymywała mi kroku. Nie padło ani jedno słowo. Ulicę 3 Maja

przeszliśmy wąskim tunelem łączącym dwie osobne dzielnice końskiego getta. Doszliśmy do płotu, z którego wyrwałam parę luźnych sztchet. Zdjęłam z naszych palt opaski z gwiazdą Dawida i ukryłam je pod kamieniem. Przeszliśmy przez otwór w płocie i znalazliśmy się po aryjskiej stronie.

Rozejrzałam się i przez chwilę nasłuchiwałam, czy ktoś nie nadchodzi. Ulica Krakowska była pusta. Przeszliśmy na drugą stronę i szybko szliśmy dalej. Mimo ciemności rozpoznałam umówione miejsce. Otworzyłam furtkę prowadzącą do małego domu, otoczonego dużym ogrodem. W oświetlonym oknie, za przezroczystą firanką, zobaczyłam sylwetki tańczących par, usłyszałam muzykę z patefonu i wesoły śmiech. Stałam zaskoczona tym widokiem. Tymczasem pies zaczął ujadać i Jan wyszedł przed dom. Zaprowadził nas do stajni i w ciemnościach położyliśmy się na sianie.

Zwierzęta, zaniepokojone naszą obecnością, dały o sobie znać. Na podwórzu ujadały psy, w stajni rżały konie, kwiczały obudzone świnię. Gdzieś nad moją głową trzepotały kury. Otoczona tym niewidzialnym zwierzyńcem, czułam się bardzo nieswojo. Uświadomiłam sobie, że wszystkie psy i koty już dawno temu zniknęły z getta – albo zdechły z głodu, albo zostały zjedzone.

Helenka przytuliła się do mnie i po pewnym czasie zasnęła. Leżałam koło niej i myślałam o wszystkich bliskich ludziach, których zostawiłam w getcie. Przed oczami miałam postać Jacka w otwartych drzwiach kuchni. Widziałam jego bladą, przerażoną twarz, oświetloną płomieniem karbidówki. W uszach brzmiały mi ostatnie jego słowa.

Dlaczego nie poczekałam na jego powrót? Czy dobrze zrobiłam, że wyszłam z getta? Czy Sara zostawi matkę, żeby ratować siebie i dziecko?

Starałam się zasnąć, żeby nie myśleć o tym, co się stało i co mnie czeka, ale sen nie nadchodził. Dopiero nad ranem do stajni cicho wsunęła się Sara. Od niej dowiedziałam się, że zaraz po moim wyjściu Jack potwierdził wiadomość o przybyciu oddziału Łotyszów do Końskich.⁷

⁷ 3–7 listopada 1942 ok. 9 tysięcy Żydów wywieziono z Końskich do obozu zagłady w Treblince, a ok. 600 rozstrzelano na miejscu. („Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” nr 15-16/1955)

PIERWSZE GODZINY W POLSKIM ŚWIECIE

Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy Jan przyszedł po nas do stajni. Przed domem stała jednokonna furmanka, prawie całą jej długość zajmowała drewniana trumna. Na koźle, z lejcami w dłoniach, siedział kilkunastoletni woźnica, którego Jan przedstawił jako swego syna. Z tyłu za trumną zrobiono siedzenie dla naszej trójki.

Jechaliśmy w półmroku zupełnie pustymi ulicami Końskich. Mieliśmy ulicę Pocztową, stary kościół i posuwaliśmy się wzdłuż szpaleru rozłożystych kasztanowców, rosnących wokoło pałacu hrabiego Tarnowskiego. Ta część miasta, nazywana „za dworem”, była terenem spacerów i spotkań. Patrzyłam na te dobrze znane mi miejsca, na kolorowe liście leżące na jezdni, na kołyszące się nad głową gałęzie drzew i miałam poczucie, że znalazłam się w obcym, nierealnym świecie. Furmanka posuwała się wolno. Coraz mniej było zabudowań, coraz więcej ogrodów i małych działkowych poletek. Zbliżaliśmy się do rogatek.

Nagle, w odległości kilkuset metrów zobaczyłam oddział żandarmerii, stojący w poprzek drogi. Ich twarze skierowane były w naszą stronę i wydawało mi się, że wymierzili broń w nadjeżdżającą furmankę.

Przerażenie odebrało mi zdolność ruchu. Wszystko we mnie zamarło. Zobaczyłam poszarzałą nagle twarz Sary i spokojnie śpiącą Helenkę.

Chłopak na koźle nie zareagował na widok żandarmerii i nawet nie zwolnił. Furmanka dojechała do ich pierwszego szeregu. Byłam tak

blisko, że widziałam przeszywające spojrzenia i czułam ich oddechy na mojej twarzy.

Na widok trumny i kobiet w żałobie stojącej na przodzie dowódca dał znak ręką. Oddział rozstał się, tworząc wąski szpaler, przez który przejeżdżaliśmy bardzo wolno. Kiedy oddaliliśmy się od nich o parę metrów, widziałam, że odwrócili się za nami. Patrzyli na wóz, trzymając broń wymierzoną w naszym kierunku.

Po kilku godzinach dojechaliśmy do Czarnieckiej Góry, letniskowej miejscowości, w której przed wojną spędzaliśmy wakacje w wynajmowanych od chłopów domkach. Zgodnie z planem, zatrzymałyśmy się u oczekującego nas miejscowego organisty. Był 1 listopada 1942, dzień Wszystkich Świętych, i wielu ludzi przychodziło do niego w odwiedziny. Żeby uniknąć podejrzeń i rozpoznania, siedziałyśmy zamknięte w osobnej izbie. Organista poradził nam, aby przeczekać u niego całą dobę i dopiero następnego dnia wczesnym pociągiem pojechać do Radomia. Twierdził, że jego znajomi, którzy tam mieszkają, pomogą nam się urządzać. Organista wydawał się nam serdecznym, czynnym człowiekiem i byliśmy dobrej myśli.

Wieczorem zostałyśmy zaproszone na wspólną kolację z rodziną gospodarzy. Przed każdym postawiono talerz gorącego barszczu, a pośrodku stołu stała duża miska z gotowanymi ziemniakami, okraszonymi skwarkami.

Po tym wspólnym posiłku szybko zasnęłam. Obudziły mnie męskie głosy w sąsiedniej kuchni. Drzwi prowadzące do niej były nieszczelne i przez szparę przedostawała się wąska smuga światła. Rozmowa prowadzona za ścianą była na tyle głośna, że dochodziły do mnie oderwane słowa.

Kiedy usłyszałam wypowiedziane przez kogoś moje prawdziwe nazwisko, zaczęłam uważnie przysłuchiwać się głosom. Z początku trudno mi było zrozumieć poszczególne zdania, ale po paru minutach treść rozmowy stała się jasna. Nieznajomi mężczyźni w przyległej izbie układali plan morderstwa, którego ofiarą paść miała nasza trójka. Organista miał poprowadzić nas nad ranem polną miedzą w kierunku stacji. Po drodze, pod określonym drzewem, czekaliby na nas pozostali współnicy. Każdy z morderców już teraz wybrał jedną z nas



na swoją ofiarę. Narzędziami zbrodni miały być siekiery. Spiskowcy spodziewali się znaleźć u nas bogactwa, które postanowili rozdzielić równo między siebie.

Słuchając tego, z trudem mogłam uwierzyć, że rozmowa dotyczy mojego życia, a nie jakiejś kryminalnej powieści. Los zaprowadził mnie do spelunki bandytów, którym za planowane zbrodnie nie groziła żadna kara, ponieważ żadne prawo nie chroniło nas przed nimi.

Po skończonej naradzie znajomi organisty rozeszli się i w kuchni zgasło światło.

Sara i ja równocześnie usiadłyśmy na łóżku. Ona także słyszała tę rozmowę. Bezszelestnie ubrałyśmy się i opuściły dom organisty, pozostawiając u niego większość rzeczy zabranych z Końskich. Znałyśmy miejscowość, więc poruszałyśmy się swobodnie w ciemnościach nocy. Idąc polami doszłyśmy do stacji kolejowej.

Na peronie nie było nikogo. Do przyścia pierwszego pociągu osobowego było jeszcze wiele godzin. W tej pustce i ciemnościach byliśmy zupełnie bezbronni w razie pościgu naszych prześladowców.

Z boku peronu stał mały domek. W oświetlonym pokoju dyżurował zawiadowca stacji. Długo trwało, nim zareagował na moje pukanie. Wybłagałam, aby wbrew przepisom wpuścił nas do środka. Najprawdopodobniej udało mi się wzbudzić u niego współczucie dla zmarzniętej rodziny z małym dzieckiem, wracającej – jak mu powiedziałam – do domu z pogrzebu.

Parę minut przed nadejściem pociągu wyszłyśmy na peron, na którym czekało już sporo podróżnych. Był tam także organista, który nas szukał. Od razu podszedł do nas, wyraźnie zaniepokojony, że same opuściłyśmy jego dom. Podałyśmy jakieś wytłumaczenie, nie zdradzając prawdziwej przyczyny.

Tutaj, na peronie, nie czułam zagrożenia z jego strony. Wydawało mi się, że jest wprawdzie zdolny do zamordowania Żydówek, ale przecież nie w oświetlonym miejscu, w obecności obcych ludzi.

Przez okno ruszającego pociągu zauważyłam, że organista dał ręką znak trzem stojącym na uboczu mężczyznom, którzy chwilę później wsiedli do sąsiedniego wagonu.

Zgodnie z planem ułożonym z pomocą organisty, miałyśmy jechać do poleconych przez niego ludzi. Teraz obawiałyśmy się, że jego znajomi w Radomiu też mogą być współnikami zbrodni. Postanowiłyśmy zmienić kierunek jazdy i w ten sposób uciec przed jadącymi tym samym pociągiem współnikami organisty. Wsiadłyśmy w Skarżysku, które było pierwszą węzłową stacją kolejową. Zdecydowałyśmy, że pojedziemy stąd do Warszawy. Wydawało nam się, że w dużym skupisku ludzkim nie będziemy zwracać na siebie uwagi. Sara przed wojną przez wiele lat mieszkała w stolicy, więc dobrze ją znała. Liczyłyśmy, że będzie to pomocne przy szukaniu pracy.

Sara poszła do kasy kupić bilety do Warszawy, pozostawiając Helenkę ze mną. Zająłam miejsce w kącie poczekalni dworcowej i dla bezpieczeństwa opuściłam na twarz żałobny welon. Po pewnym czasie Sara wróciła bardzo zdenerwowana. Na jej polecenie natychmiast wyszłyśmy z sali na odległy peron. Dopiero tam wyjaśniła mi przyczynę swego przerażenia. Kiedy kupowała bilety w kasie dworcowej, zauważyła ją chłopka, która przez lata przynosiła nam nabiał do domu w Końskich. Kobieta, wyraźnie ucieszona tym niespodziewanym spotkaniem, złapała ją za rękę i głośno przywitała: „Pani Konowa, jak dobrze, że panią spotykam. Cieszę się, że pani dobrze wygląda”.

Spontaniczna radość chłopki mogła spowodować tragiczne konsekwencje. Szczęśliwie, to głośne powitanie nie zostało zauważone przez innych ludzi.

NA TRASIE SKARŻYSKO–WARSZAWA

Do pospiesznego pociągu, łączącego bezpośrednio Skarżysko z Warszawą, wsiadłam sama, dopiero po pewnym czasie zjawiła się tam Sara z dzieckiem. Umówiliśmy się bowiem na początku podróży, że w drodze będziemy zachowywać się jak obce sobie osoby. W ten sposób, gdyby jedna z nas została rozpoznana jako Żydówka, druga miałaby jeszcze szansę ratunku. Byłam przekonana, że ta umowa chroni Sarę z Helenką, bo według powszechnej opinii miała typowo aryjski wygląd i tylko moja twarz mogła wzbudzić podejrzenia.

Wagony w tym pociągu składały się z szeregu otwartych przedziałów. Po jednej stronie był korytarz, przez który przechodziło się wzdłuż całego wagonu. W przedziale stały naprzeciw siebie dwie ławy, na każdej z nich były cztery siedzące miejsca. Nad oparciami siedzeń była otwarta przestrzeń i stojąca osoba mogła objąć wzrokiem cały wagon.

W naszym przedziale tylko jedno miejsce było zajęte. Pod oknem siedziała pani w średnim wieku, o miłej, inteligentnej twarzy. Wybrałam miejsce naprzeciw niej, również pod oknem, i opuściłam żałobny welon na tę część twarzy, która mogła być widoczna dla przechodzących przez wagon pasażerów. Obok mnie usiadła Helenka, a Sara – najbliżej przejścia. Celowo zajęliśmy miejsca w takim porządku, aby jedynie jej polska twarz była wyeksponowana na spojrzenia podróżnych.

Pociąg wyjechał z miasta i nabrał rozpędu. W wielu przedziałach ludzie zaczęli głośno i wesoło rozmawiać. Rytm pędzącego pociągu uspokajał mnie, poczułam odprężenie po przeżyciach ostatniej doby. Helenka natomiast z każdą chwilą stawała się bardziej podniecona

i nie umiała ani na chwilę zamknąć ust. Po latach całkowitej izolacji w getcie wszystko, co teraz widziała, było dla niej nowe i zaskakujące. Po raz pierwszy w swoim życiu jechała pociągiem i nie mogła zrozumieć tego, co działo się wokół niej. Zadawała mnóstwo pytań – dlaczego domy się poruszają, dlaczego wszystko za oknem ucieka, co jest szybsze: pociąg czy furmanka, co to za zwierzę z rogami...

Przeciętna pięcioletnia dziewczynka nie mogła być nieświadoma tylu rzeczy. Jej pytania były niebezpieczne i mogły wskazywać, że to dziecko nie zna normalnego codziennego życia ani w mieście, ani na wsi. Zaniepokojona Sara starała się odwrócić jej uwagę od tego, co działo się za oknem i zaczęła ją zabawiać.

Czas upływał i powoli zapadałam w sen. W pewnej chwili usłyszałam, że Sara zawołała mnie po imieniu. Nim zdążyłam na to zareagować, nasza współtowarzyszka podróży zapytała Sarę:

– Czy pani mówiła do mnie?

– Nie, do mojej kuzynki – odpowiedziała.

Przez chwilowe zapomnienie Sara zniszczyła naszą konspirację. Użyła bowiem mego prawdziwego imienia Halina, zamiast Maria, które figurowało w obecnych, polskich papierach i poinformowała obcą osobę o naszym pokrewieństwie.

W połowie drogi do Warszawy weszli do wagonu dwaj granatowi policjanci i zaczęli sprawdzać dokumenty. Byli oddaleni od nas jeszcze o kilka przedziałów, kiedy wyraźnie ich zobaczyłam. Znałam ich dobrze, ponieważ obydwaj należeli do polskiej policji w Końskich.

Kiedy weszli do naszego przedziału, od razu zauważyli i poznali Sarę. Rzucili się na nią jak dzikie zwierzęta na ofiarę. Krzycząc i wyzywając, ściągnęli ją z ławki i kazali iść z nimi. Podnieceni swoją niespodziewaną zdobyczą nie zwrócili uwagi ani na mnie, ani na Helenkę.

Ich głośne przekleństwa i wyzwiska wzbudziły ogólne zainteresowanie. Podróżni z całego wagonu zebrali się wokół nich, zadając różne pytania. Policjanci chętnie wyjaśniali, że złapali Żydówkę, żonę dobrze im znanego dentysty Kona z Końskich.

Kiedy zabrali Sarę z wagonu, w przedziałach zawrzało jak w ulu. Zdawało mi się, że wszyscy podróżni komentowali to wydarzenie.

Słysząc było głosy oburzenia na bezczelność Żydów, którzy udając Polaków pozwalają sobie jeździć pociągami. Padały przykłady, kiedy i gdzie został schwytany Żyd, który usiłował wysliznąć się niezauważony z getta. Były nawet osoby, które chwaliły się, że osobiście pomagały w złapaniu uciekającego Żyda.

W pewnej chwili ktoś głośno wyraził opinię, która uderzyła mnie swoją szczególnie okrutną nienawiścią do Żydów: „My, Polacy, będziemy musieli wystawić Hitlerowi pomnik za to, że uwolnił nas raz na zawsze od Żydów”.

Wśród tych wypowiedzi nie usłyszałam ani jednego głosu współczucia dla młodej, ładnej kobiety, która w ich obecności została skazana na śmierć.

Tymczasem pięcioletnia córka Sary siedziała bez ruchu, ze spuszczonej oczami. Nie wybuchła płaczem, nie pobiegła za matką i nawet nie przytuliła się do mnie, jedynej bliskiej osoby. Widocznie wyczuła śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażające nie tylko matce, ale i jej samej. Może obezwładnił ją strach, a może instynkt samozachowawczy nakazał jej takie zachowanie.

Przejęta zgrozą, nie byłam zdolna do zebrania myśli. Ja również nie przysunęłam się do Helenki. Żadnym gestem nie złagodziłam jej przerażenia. W chwili tak wielkiego nieszczęścia dwie kochające się siostry, jedna dorosła, druga dziecko, nie mogły nawet wziąć się za ręce. Siedziałyśmy sparaliżowane tym, co się stało i otaczającą nas nienawiścią.

Po pewnym czasie jeden z policjantów przebiegł wzdłuż wagonu, jakby kogoś gonił. Kiedy wracał, ludzie zatrzymali go, żądając dalszych informacji na temat złapanej Żydówki. Policjant wyjaśnił im, że w całym pociągu nie ma ani jednego Niemca, któremu mógłby ją przekazać. Ponieważ pociąg nie zatrzymuje się po drodze na żadnej stacji, jest zmuszony dowieźć ją do Warszawy i dopiero tam oddać w odpowiednie ręce. Zapewnił jednak słuchających, że zamknął ją w przedziale, z którego nie ma ucieczki.

Upłynęło około pół godziny i ten sam policjant ponownie zjawił się u nas. Tym razem podszedł prosto do Helenki i kazał jej iść ze sobą. Otaczającym go ludziom wyjaśnił, że złapana Żydówka przyznała się,

że jechała pociągiem razem z córką. Ludzie zaczęli tłoczyć się wokół policjanta, jakby każdy chciał zobaczyć żydowską dziewczynkę.

Helenka wstała z ławki. W tłumie otaczających ją dorosłych jej figurka była bardzo mała. Na bladej, drobnej twarzy nie było ani jednej łzy. Nie wypowiedziała słowa i nie spojrzała w moim kierunku. Poszła za policjantem.

Tłum zaczął rozchodzić się po wagonie, głośno omawiając dalszy ciąg wydarzeń. W urywkach rozmów dochodzących do mnie nie usłyszałam ani słowa współczucia dla małej dziewczynki, nie było żalu, że kończyło się jej krótkie życie. Nikt nawet nie zauważył, że dziecko jest ładne, miłe, słodkie – tych przymiotników używa się zazwyczaj mówiąc o pięcioletkach. Żydowskie dziecko nie podlegało tym kryteriom. Nie słyszałam również wyrazu sympatii dla matki, świadomej strasznego losu, który czekał jej dziecko.

W pewnej chwili kobieta, która siedziała ze mną w przedziale na przeciwległej ławce, pochyliła się w moim kierunku i dokładnie mnie lustrując stwierdziła:

– Przecież pani jest kuzynką tej zabranej, więc pani również jest Żydówką.

– Tak, to prawda – odpowiedziałam patrząc jej prosto w oczy. – Niech pani dogoni policjanta i mu o tym powie. Ma pani szansę zadenuncjować Żydówkę. Nawet nie musi się pani spieszyć, bo nie mogę stąd nigdzie uciec.

Nieznamoma odsunęła się w kąt ławki i zamknęła oczy. Do końca podróży już ani razu nie spojrzała na mnie.

Jej nieoczekiwana uwaga wyrwała mnie z odrętwienia, w które zapadłam po aresztowaniu Sary i Helenki. Tylko przez dwie doby byłam w polskim świecie. W ciągu tego czasu ludzie, którzy mieli mi pomóc, usiłowali mnie zamordować. Sara, której aryjski wygląd był dla mnie nie podlegającym wątpliwości faktem i jej wielkim atutem, została rozpoznana jako Żydówka i zatrzymana razem z Helenką. Teraz, zgodnie z niemieckim prawem, czekała je kara śmierci za przebywanie poza gettem bez pozwolenia.

Polscy policjanci wyłowili je z tłumu, wyraźnie podekscytowani swoim sukcesem. Ludzie w pociągu spontanicznie wyrażali niena-

wić do Żydów. Nikt z obecnych nie okazał współczucia młodej matce i jej dziecku. Cała ta tragedia rozegrała się w pociągu, gdzie nie było przedstawiciela niemieckiej władzy.

Zdałam sobie sprawę, jak naiwnie oceniałam szansę ucieczki z getta na aryjską stronę. Okazało się, że w ogóle nie znałam polskiego świata, który był inny od tego, jaki istniał w mojej wyobraźni. Niemcy nie byli jedynym zagrażającym mi niebezpieczeństwem. Rozpoznanie mnie przez Polaków okazało się bardziej prawdopodobne i równie niebezpieczne. Niestety, ukrycie się po aryjskiej stronie było moim jedynym ratunkiem. Usilnie starałam się przestać myśleć o tym, co czekało Sarę i Helenkę i skupić się na własnej sytuacji. Jechałam teraz sama do Warszawy, w ogóle nie znając tego dużego miasta. Nie wiedziałam nawet, gdzie skieruję pierwsze kroki po opuszczeniu pociągu.

Nagle uprzytomniłam sobie, że Sara zapomniała dać mi w Skarżysku mój bilet kolejowy. Teraz nawet opuszczenie dworca stawało się dla mnie trudne, ponieważ zawsze przy wyjściu ze stacji sprawdzano bilety podróżnych.

Niespodziewanie, pod samą Warszawą, Sara wróciła z Helenką do wagonu. Idąc wzdłuż niego zatrzymywała różnych podróżnych i głośno wyrzekała na polską policję, która śmiała pomylić ją z jakąś Żydówką. Jej aktorstwo wydawało mi się bardzo dobre, ale ludzie obojętnie słuchali tych wyjaśnień; nie komentowali ich i nie okazywali zrozumienia dla jej poniżających przeżyć. Kiedy wreszcie usiadła koło mnie, w całym wagonie zapanowała wymowna cisza. Miałam wrażenie, że nikt nie uwierzył w jej wersję wydarzeń.

Był wieczór, gdy pociąg zajechał na Dworzec Główny w Warszawie. Szybko zmieszaliśmy się z tłumem wychodzących. Bałyśmy się, że ktoś z podróżnych, niezadowolony z wyniku pracy policjantów w pociągu, sam wyda nas w ręce Niemców.

Kiedy opuściliśmy stację kolejową i znalazłyśmy się na ulicy, dowiedziałam się, jak Sara zdołała uratować siebie i dziecko. Pomógł jej w tym przypadek, że w całym pociągu nie było ani jednego Niemca. W ciągu paru godzin jazdy do Warszawy, które spędziła razem z dozorującymi ją polskimi policjantami, udało się jej zmiękczyć ich serca całą biżuterią, jaką przy sobie miała.

W WARSZAWIE

Zamieszkałyśmy w hotelu blisko dworca, na ulicy Widok 2. W książce meldunkowej obok naszych nazwisk dopisano: matka z dwiema córkami.

Sara opowiedziała właścicielce hotelu, że niedawno pochowała męża, a obecnie rozstaje się ze swoją pasierbicą (to znaczy ze mną), która w Warszawie ma wstąpić do klasztoru. Właścicielka wyraziła współczucie z powodu śmierci męża i głębokie uznanie dla mojego religijnego powołania.

Nasz hotelowy pokój był mroczny, mały i skromnie umeblowany. Pod ścianami stały dwa wąskie żelazne łóżka i dwudrzwiowa szafa, a pośrodku kwadratowy stolik z krzesłami.

Pierwszego wieczoru kupiliśmy w hotelu trzy szklanki herbaty, aby tym „luksusem” zrekompensować sobie ostatnie ciężkie przeżycia. Nadzwyczajny smak tego gorącego napoju bardzo mnie zaskoczył. Mimo że nie była to prawdziwa herbata, lecz jakaś namiastka osłodzona nie cukrem, tylko sacharyną, po gettowych napojach miała dla mnie niezapomniany smak i aromat.

Zdawałyśmy sobie sprawę, że hotel był dla nas bardzo niebezpiecznym miejscem. Niemcy i granatowa policja często urządzali tam obławy i sprawdzali dokumenty. Obecnie, w okresie likwidacji gett, przede wszystkim w hotelach szukano ukrywających się Żydów. Nie miałyśmy jednak innego wyjścia.

Nazajutrz po przyjeździe od rana wynotowywałyśmy z polskiej gazety wszystkie ogłoszenia, w których poszukiwano służącej. Zajęcie

pomocy domowej, wiążące się na ogół z pełnym utrzymaniem i mieszkaniem u chlebodawców, było dla nas najlepsze. Zaopatrzone w listę adresów, wyszliśmy na poszukiwanie pracy. Odtąd codziennie rano opuszczaliśmy razem hotel. Sara zabierała ze sobą Helenkę i przez cały dzień chodziła z nią po wielkiej Warszawie. Ja też przemierzałam olbrzymie odległości pieszo, tramwajami i autobusami. Każda z nas była zdana wyłącznie na siebie.

Początkowo przyznawałam się, że nie umiem gotować. Zapewniałam jednak potencjalnych chlebodawców, że łatwo się tego nauczę i szybko nabiorę doświadczenia w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Delikatnie wtrącałam zdania o moich wrodzonych zdolnościach, sumienności i zamiłowaniu do pracy. Ponieważ dni mijały bez żadnego pozytywnego rezultatu, zmieniałam taktykę. Otwarcie wychwalałam teraz moje umiejętności kulinarne i doświadczenie w zawodzie służącej. Jednak mimo moich usilnych starań nikt nie wyrażał ochoty, by przyjąć mnie na służbę w swoim domu.

W niektórych miejscach szukano starszej, w innych młodszej ode mnie osoby. Pod jednym adresem pan w średnim wieku kazał mi zdjąć palto, odsłonić twarz i mierząc mnie wzrokiem od góry do dołu poinformował, że u niego służąca powinna być dobra do wielu różnych zajęć. Dał mi przy tym wyraźnie do zrozumienia, co miał na myśli. Jedna pani odmówiła przyjęcia mnie, bo nie podobało się jej moje ubranie. Uważała, że tak „wystrojona” udawałam kogoś, kim nie byłam. „Mam doświadczenie – powiedziała mi otwarcie – takie służące jak ty to najgorszy element.”

Młoda dentystka, mieszkająca na peryferiach Warszawy, szukała niani do paromiesięcznego dziecka. Kobieta wydawała się miłą, a jej mały dom bezpieczny. Zachwalałam moje doświadczenie w wychowywaniu niemowląt i z całym przekonaniem zapewniałam ją, że będzie ze mnie zadowolona. W pewnej chwili pani przerwała mój monolog, mówiąc: „Proszę zrozumieć, jestem młoda i mam małe dziecko. Bardzo chcę, byśmy wszyscy przeżyli wojnę”.

Chodząc całymi dniami po ulicach Warszawy rejestrowałam każde zatrzymane na mnie spojrzenie. Poruszałam się zawsze szybko, jakbym się gdzieś spieszyła. Słuchałam odgłosów kroków za plecami

i sprawdzałam, jak długo ta sama osoba szła za mną. Każdy gwałtownie zatrzymany samochód wywoływał u mnie przyspieszone bicie serca i dławienie w gardle. Byłam świadoma niebezpieczeństwa, a pamiętając, że Żydów poznaje się po smutnych oczach, starałam się stale uśmiechać do przechodniów. Pukałam do drzwi pod kolejnym adresem z gazety i uśmiechałam się do potencjalnych chlebodawców. Skonana, wracałam pod koniec dnia do „naszego” pokoju, niespokojna, co mnie tam czeka i uśmiechałam się po drodze do spotykanych w hotelu lokatorów. Wydawało mi się, że wyrobił się u mnie nowy zmysł, dzięki któremu mogłam bezpiecznie chodzić ulicami polskiego świata.

Sara też nie mogła dostać żadnej pracy. W jej przypadku wszystko rozbijało się o to, że szukała zajęcia, w którym pozwolono by jej zatrzymać przy sobie Helenkę. Nikt nie chciał służącej z dzieckiem.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Pobyt w hotelu przedłużał się i wyczerpywał nasze niewielkie zasoby finansowe – pochodzące z wyprzedazy resztek naszego przedwojennego mienia Polakom, którzy przekradali się do getta w Końskich. Wprawdzie każda z nas miała zaszyte w palcie dwie złote dziesięciorublowki, ale nie wiedziałyśmy nawet, jak je bezpiecznie spieniężyć. Ojciec kupił te złote monety bardzo dawno temu jako zabezpieczenie na „czarną godzinę”. Jak daleko sięgałam pamięcią, były one schowane w skrytce, zrobionej w szafie z bielizną. Jako dziecko, gdy nikogo nie było w domu, zakradałam się do nich i oglądałam je z wielkim podziwem i szacunkiem. Przed samą ucieczką z getta uznałyśmy, że nadeszła ta „czarna godzina” i podzieliłyśmy je pomiędzy domowników.

Wraz z upływem dni zaczęłyśmy oszczędzać każdy wydawany pieniądz. Z początku dwa razy dziennie kupowałyśmy zupę w pobliskiej restauracji. Teraz zrezygnowałyśmy z porannego gorącego posiłku i jadałyśmy tylko wieczorem.

Będąc jeszcze w Końskich dostałyśmy od Polaka, przyjaciela ojca, doktora Jana Wyleżyńskiego, adres jego znajomych Rosjan w Warszawie. Według niego byli to bardzo porządni ludzie, do których mogłyśmy się bezpiecznie zwrócić w razie konieczności. Postanowiłyśmy odszukać ich i poprosić o pomoc. Wysłuchali nas ze zrozumieniem,

zapewniając, że postarają się znaleźć dla nas jakieś zatrudnienie. Ich życzliwy stosunek do nas dodał nam otuchy.

Na początku listopada skończyłam 18 lat. Nie czułam się jednak młodą dziewczyną. Trzy wojenne lata przyspieszyły moją dojrzałość i odcisnęły piętno na psychice. Uważałam się za osobę dorosłą, odpowiedzialną również za Helenkę i Sarę. Moje urodziny uczciłyśmy wspianią hotelową herbatą i chwilą wspomnień.

Pewnego wieczoru do naszego pokoju weszła niespodziewanie właścicielka hotelu z polskim policjantem i gestapowcem. Policjant zażądał naszych dokumentów i przeglądał je bardzo dokładnie. Dłużej zatrzymał się na moich papierach na nazwisko Maria Nowakowska. W pewnej chwili zapytał mnie:

– Kiedy pani obchodzi imieniny?

– Niedługo, 8 grudnia, czy chce pan złożyć mi życzenia? – odpowiedziałam bardzo swobodnie i zaczęłam się śmiać.

Policjant oddał nam dokumenty i wszyscy wyszli z pokoju. Tak się złożyło, że w przeddzień tego wydarzenia Sara zapytała mnie, czy wiem, kiedy przypadają imieniny Marii. Nie wiedziałam, ponieważ w moim żydowskim otoczeniu obchodzono tylko urodziny. „Moja przełożona w gimnazjum nazywała się Maria i szkoła obchodziła jej imieniny 8 grudnia” – powiedziała wówczas Sara.

Dzięki tej przypadkowej informacji moja odpowiedź była szybka i właściwa. Zaważył szczęśliwy przypadek, opanowanie i roześmiana twarz. Nie było miejsca na wahanie i strach. Tym razem się udało – dostałyśmy tymczasowe pozwolenie na życie. Jak długo to będzie możliwe? Czy będę znała inne szczegóły codziennego życia, różniące Żydów od Polaków? Czy nie zawiedzie mnie opanowanie? Czy nie wydadzą mnie oczy? Nie zdrzży głos? Czy będę zdolna roześmiać się?

Moje włosy były dla mnie źródłem dużego zmartwienia. Od czasu ich utleniania w getcie upłynęło kilka tygodni i teraz przy skórze pojawiły się czarne odrosty. W hotelu nie miałam warunków, aby je rozjaśnić, postanowiłam więc pójść do fryzjera. Zdawałam sobie jednak sprawę, że mogłam tam wzbudzić podejrzenie, bo tylko Żydzi mieli tak kruczoczarne włosy. Nie miałam jednak innego wyjścia.

Sara odprowadziła mnie pod zakład fryzjerski.

„Na pewno wrócę do hotelu” – powiedziałam jej na pożegnanie, upewniając zarówno ją, jak i siebie. Czekałam, aż znikła za rogiem i dopiero wtedy weszłam do środka.

Utlenianie włosów trwało cały dzień. Gorący perhydrol, którym fryzjer je odbarwiał, parzył mi boleśnie skórę. Cały czas dławił mnie strach. Nie miałam wątpliwości, że w chwili, kiedy usiadłam na fotelu, fryzjer domyślił się, że jestem Żydówką. Jaka inna młoda dziewczyna miałaby długie, tlenione warkocze i czarne odrosty. Śledziłam każdy jego ruch i słuchałam rozmów z klientami. Parę razy wychodził z zakładu i kiedy wracał bez policji, oddychałam z ulgą. Godziny mijały bardzo wolno. Po skończonej robocie moje długie włosy miały naturalny jasny kolor. Fryzjer przyjął zapłatę i pożegnał mnie bez komentarzy. Kiedy wyczerpana wracałam do hotelu, nie mogłam wprost opanować radości, że udało mi się szczęśliwie przejść przez tak niebezpieczny zabieg.

Po pewnym czasie znajoma Rosjanka zawiadomiła nas, że znalazła dla mnie pracę, połączoną z pełnym utrzymaniem i mieszkaniem. Jakiś klasztor, położony na peryferiach Warszawy, zgodził się mnie zatrudnić. Kobieta, która dotychczas tam pracowała, musiała za parę dni odejść i ja miałam zająć jej miejsce. Nareszcie los się do mnie uśmiechnął. Wymyślone dla właścicielki hotelu wytłumaczenie naszego przyjazdu do Warszawy stawało się faktem. Wydawało mi się, że to szczęśliwy omen.

Rosjanka nie mogła jednak znaleźć żadnej pracy dla Sary, która zmuszona była dalej szukać zajęcia pod adresami z gazety. Mijały kolejne dni i jej starania pozostawały bezowocne.

Doszliśmy wspólnie do przekonania, że w Warszawie nie ma żadnej szansy urządzenia się z pięcioletnim dzieckiem. Wydawało nam się, że może być jej łatwiej w małym miasteczku, gdzie nie było tylu kandydatek do pracy w gospodarstwie domowym. Sara postanowiła poszukać miejsca dla siebie i dziecka w Starachowicach.

Kilka miesięcy temu przypadkowo spotkana w getcie Polka opowiedziała nam o swojej rodzinie, mieszkającej w tym mieście. Podała nam nawet jej adres, z zastrzeżeniem, aby użyć go tylko w razie bezwzględnej konieczności.

Pewnego dnia pożegnałam Sarę i Helenkę w naszym pokoju hotelowym, bo ze względu na wzmożone niebezpieczeństwo na dworcach nie chciałam ich odprowadzać. Zostałam sama. Niebawem miałam rozpocząć pracę w klasztorze.

MONIEK FINKELSZTAJN

Po wyjeździe Sary i Helenki poczułam się bardzo samotna. Czas mijał wolno. Pobyt w hotelu wydawał mi się coraz bardziej niebezpieczny i z niecierpliwością czekałam na nowe miejsce przy klasztorze. Właścicielka hotelu przychodziła czasem do mnie w odwiedzin. Najprawdopodobniej czuła się odpowiedzialna za młodą dziewczynę, pozostawioną samą w miejscu dużej swobody obyczajowej. Często spotykałam na korytarzu roześmiane i całujące się pary. Przez cienkie ściany dochodziły do mnie odgłosy zabawy i erotyki. Raz zobaczyłam wychodzącą z sąsiedniego pokoju kobietę, która pod rozchylonym futrem była zupełnie naga. Widoczne na mojej twarzy zażenowanie tak ją rozbawiło, że wybuchła głośnym śmiechem.

Gospodyni zapraszała mnie również do swojego mieszkania. Często stawała mnie słodyczami i pożyczała książki.

Mimo że najbezpieczniej czułam się u siebie w pokoju, wychodziłam na ulicę, aby zachować wobec mieszkańców hotelu pozory normalnego życia. Wychodziłam w godzinach popołudniowych, kiedy tłum przechodniów był największy i zapadający zmierzch pokrywał szarością moją twarz. Tak jak inni przechodnie, szłam szybkim krokiem, jakbym spieszyła się po pracy do domu.

Pewnego dnia uderzył mnie widok idącego przede mną mężczyzny. Było coś bardzo znajomego w całej jego sylwetce, a szczególnie w sposobie chodzenia. Jego ramiona brały w tym aktywny udział. Najpierw jedno, a potem drugie unosiło się do góry, skoordynowane

z szybko stawianymi, długimi krokami. Właśnie w taki charakterystyczny sposób poruszał się Moniek Finkelsztajn.

Serce zaczęło mi bić bardzo szybko. Czy to możliwe, że nasze drogi skrzyżowały się właśnie teraz? Czy to możliwe, że za chwilę będę mogła wyciągnąć ręce do mego przyjaciela z Końskich? On też na pewno czuł się zagrożony w polskim świecie i męczyła go tęsknota za bliskim człowiekiem.

Idąc za nim krok w krok czułam, jak wypelnia mnie radosne podniecenie. Los, który sprowadził mnie o tej godzinie na tę ulicę w centrum Warszawy, wydał mi się bardzo łaskawy. Wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Przechodząc naprzeciw siebie, zatrzymamy się zaskoczeni, w pół kroku. Bojąc się pomyłki i nie ufając własnym oczom, będziemy dokładnie sprawdzać się wzajemnie. Aby nie ujawnić naszego śmiertelnego sekretu, nie użyjemy prawdziwych imion. Będziemy oboje powtarzali to samo pytanie: „Czy możliwe, że to ty?”

Idąc za młodym mężczyzną marzyłam, że za chwilę pójdziemy razem przed siebie. Wiedziałam, że będzie mi z nim dobrze. Będziemy razem. Dwoje ludzi, których łączy wspólna przeszłość. Dwoje przyjaciół, uciekinierów z koneckiego getta.

Szybkim krokiem wyprzedziłam go o kilka metrów. Zatrzymałam się i spojrzałam na numer domu. Udając, że poszłam za daleko, wolno zaczęłam iść w kierunku zbliżającego się mężczyzny. Zobaczyłam nieznaną twarz obcego człowieka.

Wyczerpana wróciłam do hotelu. Tej nocy, leżąc bezsennie, przywoływałam w pamięci całą historię mojej znajomości z Mońkiem, jakbym chciała tym wspomnieniem zrekompensować sobie przeżyte rozczarowanie.

Moniek Finkelsztajn był uciekinierem z Łodzi i przybył do Końskich na początku 1940 roku. Pewnego dnia ktoś przyprowadził go do naszego kółka przyjaciół. Moniek został członkiem naszej grupy, składającej się z pięciu dziewcząt i pięciu chłopców. Był ciemnym blondynem o skośnych, zielonych oczach. Miał ostry, kształtny nos i czerwone policzki wiejskiego chłopaka. Jego twarz była do tego stopnia polska, że żydowska policja wielokrotnie legitymowała go na ulicach getta. Z natury cichy i poważny, czasem zarażał innych swoim

spontanicznym śmiechem. Wszyscy uważaliśmy go za nieprzeciętnie inteligentnego i czytanego.

Jego rodzice byli przed wojną zamożni. W Końskich żyli jedynie ze sprzedaży uratowanych z Łodzi rzeczy. Zamieszkali na ulicy Polnej, na krańcach miasta. Przychodziliśmy tam po naszych całodziennych zajęciach i siadaliśmy na podłodze w jasnej, czystej kuchni. Rodzice Mońka i jego młodsza siostra dyskretnie zostawiali nas samych. W kuchni pod ścianą ustawione były półki z książkami. Centralne miejsce zajmowała tam wielotomowa polska encyklopedia. Czytaliśmy ją jak najciekawszą powieść i gorąco dyskutowaliśmy. Często zapominaliśmy o czasie i siedzieliśmy pogrążeni w rozmowach do późna w nocy.

W naszej grupie byliśmy wszyscy bardzo młodzi i bardzo idealistycznie podchodziliśmy do łączących nas więzów. Uważaliśmy, że nasza przyjaźń nie pozwala na fizyczne zbliżenia między nami. Z tego „celibatu” wyłamali się Regina Frydman i Samek Piżyc. Początkowo ich uczucie wywoływało u nas zażenowanie i długo udawaliśmy, że nie wiemy, co ich łączy. Z czasem przyjęliśmy ich miłość jako rzecz naturalną.

W tym okresie łatwo było zauważyć, że Moniek na mnie najczęściej kierował swoje spojrzenia. Zawsze szukał siedzącego miejsca koło mnie i podczas dyskusji podzielał na ogół moje opinie. Zachowanie Mońka było przedmiotem docinków przyjaciół oraz źródłem mojego zażenowania. Nigdy jednak między mną a Mońkiem nie padło słowo na ten temat i oboje udawaliśmy, że nie rozumiemy źródła żartów.

Pewnego dnia, w czerwcu 1941, Moniek zjawił się u mnie nalegając, abym wyszła z nim na spacer poza getto. Zgodziłam się, pokonując lęk przed tą niebezpieczną wycieczką.

Był piękny dzień. Szliśmy polną miedzą, między wysokim, prawie dojrzałym żytem. Wokoło nie było widać żywego ducha. Minęliśmy mur żydowskiego cmentarza, stanowiący granicę getta, i poszliśmy dalej w kierunku odległego o parę kilometrów lasu. Zatrzymaliśmy się na rozgrzanej słońcem łące. Przypomniałam sobie poetyczne opisy natury, które dokładnie odzwierciedlały to, co nas otaczało:

ziemia pokryta dywanem zieleni i ozdobiona mozaiką kolorowych kwiatów. Na tle błękitnego nieba wzbijają się w górę śpiewające skowronki...

Usiedliśmy na trawie, w przyzwoitej odległości od siebie, zażenowani intymnością tej sytuacji. Byliśmy sami, daleko poza gettem. Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu. Kiedy w pewnej chwili spojrzałam na Mońka, spotkałam jego wzrok.

– Halu – przerwał panującą ciszę – przypuśćmy, że cię kocham.

– Przypuśćmy.

– Nie, nie trzeba przypuszczać, ja ciebie naprawdę kocham.

Mając szesnaście lat po raz pierwszy słyszałam miłosne wyznanie – siedemnastoletniego chłopca. O swoim uczuciu mówił mi nie na zatłoczonych ulicach, w brudnej bramie czy na schodach. Na to wyznanie wybrał piękne miejsce poza gettem, gdzie jego uczucie znalazło właściwe tło. Zaskoczył mnie. Z jednej strony byłam dumna, że ofiarował mi miłość, z drugiej – nie wiedziałam, co z tym darem zrobić. Przeszło mi przez myśl, że takim wyznaniem zaręczył mnie ze sobą i teraz powinnam go pocałować. Ale nie zrobiłam tego. Siedziałam nadal milcząca. Zadawałam sobie pytanie, czy to możliwe, abym była nieświadoma takiego samego uczucia dla niego.

Wracając do domu, milczeliśmy całą drogę. Gdzieś daleko jechał pociąg i słychać było jego gwizd. Szliśmy wolno, trzymając się za ręce.

Nigdy więcej nie wróciliśmy do tamtej sceny i zachowywaliśmy się, jakby czerwcową wyprawa nie istniała. Codzienne życie w getcie stawało się z każdym dniem trudniejsze i coraz rzadziej widywałam Mońka. Moim najbliższym przyjacielem, bardzo pomocnym podczas długiej choroby ojca, stał się Jack.

Śledziłam jednak życie Mońka. Słyszałam, że w połowie 1942 roku wyczerpały się zasoby materialne jego rodziny. Panująca u nich nędza była powszechnie znana. Pewnego wieczoru, w październiku, kiedy czekałam na Jacka, z ciemności wynurzył się Moniek. Nie widziałam jego twarzy, ale rozpoznałam charakterystyczny chód. Przyszedł pożegnać się ze mną, w przeddzień ucieczki na aryjską stronę. Kiedy zapytałam go, jak może szukać ratunku dla siebie i zostawić rodziców

z siostrą w getcie, odpowiedział mi ostro, że w obecnej chwili nie może o nich myśleć. Nie potępiłam tego, ale zrobiło mi się bardzo smutno.

Zastanawiałam się, czy w podobnej sytuacji mój brat ratowałby się sam i czy ja byłabym zdolna uciec z getta, zostawiając tam ojca. Czułam wdzięczność wobec losu, że uwolnił mnie od konieczności odpowiedzi na takie pytania.

Powiedziałam Mońkowi o moich planach ucieczki na polską stronę. Życzyliśmy sobie szczęścia i podaliśmy ręce żartując, że może spotkamy się „po tamtej stronie”.⁸

8 W 1945 roku, parę miesięcy po wyzwoleniu, zaczęłam szukać Mońka Finkelsztajna. Umieszczałam zawiadomienia w komitetach żydowskich w dużych miastach i w łódzkiej gazecie. Pewnego dnia, w odpowiedzi na moje ogłoszenia, stanął przede mną stary, chory człowiek. Był to ojciec Mońka, który po dwóch latach w obozach koncentracyjnych w Niemczech wrócił do Polski. On również szukał wszędzie syna, ale Moniek zniknął bez śladu.

GESTAPO W HOTELU

Wreszcie nadszedł mój ostatni wieczór w hotelu. Następnego dnia miałam zgłosić się do pracy, w towarzystwie znajomej Rosjanki. Dotychczas nie miałam żadnego bezpośredniego kontaktu z zakonnicami, które zgodziły się mnie zatrudnić. Tylko Rosjanka rozmawiała z nimi na ten temat. Nie znałam adresu ani nazwy klasztoru.

Wieczorem zapłaciłam hotelowy rachunek. Na pożegnanie gospodyni przyniosła mi ciastka i gorącą herbatę, odmawiając przyjęcia zapłaty za ten wspaiały poczęstunek. Wręczyła mi również nową książkę, dodając: „Odda mi pani po przeczytaniu, mam nadzieję, że mnie pani kiedyś odwiedzi”.

Pożegnałyśmy się bardzo serdecznie. Gospodyni wyraźnie mnie polubiła i okazywała mi to. Rano miałam opuścić hotel. Położyłam się i próbowałam zasnąć. Sen jednak nie nadchodził. Czułam się bardzo samotna. Moje myśli krążyły wokół bliskich, których zostawiłam w koneckim getcie, zastanawiałam się, co się z nimi stało. Niepokoił mnie również los Sary i Helenki. Nie miałam od nich wiadomości i nawet nie spodziewałam się ich w najbliższym czasie. Dla wspólnego bezpieczeństwa postanowiłyśmy odłożyć korespondowanie do czasu, gdy będziemy miały jakieś stałe miejsca zamieszkania. Naszym przyszłym łącznikiem miała być znajoma Rosjanka.

Niepokój i smutne myśli nie dawały mi zasnąć. Zaczęłam czytać pożyczoną od gospodyni książkę, *Rozbicie* Rabindranatha Tagore. Stopniowo jej treść zajęła moją uwagę i czas mijał niepostrzeżenie.

Kiedy przerwałam czytanie, wokół mnie panowały noc i cisza. Wstałam i wyjrzałam przez okno na podwórze. Miało ono kształt głębokiej studni, otoczonej z czterech stron domami. Wysoki czworobok budynków całkowicie zasłaniał widok na niebo. Wszystkie okna wychodzące na dziedziniec były ciemne i sprawiały wrażenie, że nie ma za nimi życia. Z uczuciem smutku wróciłam do łóżka.

Nagle niemieckie okrzyki przerwały nocną ciszę. Usłyszałam je najpierw na dziedzińcu i chwilę potem na korytarzach w całym wielopiętrowym domu. Odbijające się echo rozkazów robiło wrażenie, że cała armia zaatakowała nagle hotel. Niemieckie i polskie komendy dochodziły ze wszystkich stron. W pierwszym odruchu chciałam zgasić lampę i udawać wyrwaną ze snu, gdyby Niemcy wtargnęli do pokoju. Szybko jednak zmieniałam zamiar. Pomyślałam, że mogli już zauważyć światło. W takim przypadku udawanie właśnie obudzonej byłoby łatwym do wykrycia i niebezpiecznym kłamstwem. Postanowiłam czekać na ich wejście w oświetlonym pokoju, leżąc w łóżku, z otwartą książką. Usłyszałam gwałtowne walenie w drzwi i nim zdążyłam na nie odpowiedzieć, wszedł do pokoju mężczyzna w cywilu. „Niech się pani ubierze i przygotuje dokumenty” – powiedział po polsku i zaraz wyszedł.

Mój umysł pracował szybko. Wiedziałam, że za wszelką cenę muszę zachowywać się spokojnie, jakbym oczekiwała, że po sprawdzeniu papierów znowu pójde spać. Czułam, że będzie lepiej, jeśli pozostanę nieubrana. Bałam się jednak otwarcie nie zastosować do wydanego mi polecenia. Jako pewnego rodzaju kompromis, narzuciłam na długą nocną koszulę palto z żałobną opaską, naszytą na rękawie. Na widocznym miejscu powiesiłam mój beret z czarnym welonem. Boso, z potarganymi włosami, stanęłam przy stole, na którym położyłam dokumenty. Czekałam.

Do pokoju weszło dwóch gestapowców, jeden w mundurze, a drugi w cywilu. Umundurowany Niemiec usiadł przy stole, cywil stanął obok niego. Trupia czaszka na czapce Niemca znajdowała się prawie na wysokości moich oczu. Obaj zaczęli oglądać moje dokumenty. Była tam autentyczna metryka na nazwisko Maria Nowakowska, wydana przez parafię rzymskokatolicką w Iłży, wyjęta z magistrackiego archiwum w Końskich. Nie wiedziałam, czy prawdziwa Maria Nowakowska

umarła, czy też byłam duplikatem żyjącej osoby. Drugim dokumentem był odcinek wymeldowania z Iłży, konieczny do zameldowania się w nowym miejscu zamieszkania. Ten papier był fałszywy, mimo że wypisany na prawdziwym formularzu. Maria Nowakowska nie była zameldowana w Iłży.

Gestapowiec zaczął zadawać pytania po niemiecku, a cywil tłumaczył zarówno jego pytania, jak i moje odpowiedzi. Obydwaj zachowywali się spokojnie, prawie grzecznie. Pytania były proste: imię i nazwisko, data urodzenia, miejsce zamieszkania moje i rodziny. Kiedy zapytali mnie o powód pobytu w Warszawie, odpowiedziałam, że w tym mieście zostałam przyjęta do klasztoru, w którym mam zamiar spędzić całe życie. Wtrąciłam również zdanie o niedawnej śmierci mego ojca, łudząc się, że tą wzmianką wywołam u nich jakiś ludzki odruch współczucia. W pewnej chwili do pokoju weszła właścicielka hotelu. Zapytana przez gestapowców, stwierdziła, że kilka tygodni temu poznała moją matkę i siostrę. Wspomniała również, że zna moje plany wstąpienia do zakonu. Wydawało mi się, że ta niespodziewana pomoc gospodyni bardzo uwiarygodniła moje zeznania.

Gestapowiec skończył zadawanie pytań i wychodząc ponownie kazał mi się ubrać. „Pojedźcie pani na gestapo i tam zweryfikujemy złożone zeznanie” – wyjaśnił cywil.

Po ich wyjściu znowu usiadłam na łóżku. Bezradna czekałam, żeby zdarzyło się coś, co mogłoby mnie uratować. Wiedziałam, że pójście na gestapo doprowadziłoby do wykrycia fałszu w moich dokumentach. Jeden telefon do Iłży udowodniłby, że pod podanym adresem nie mieszkała Maria Nowakowska. Proste pytanie o główną ulicę w tym mieście pokazałoby, że jej nie znam. Łatwa byłaby konkluzja, że nie jestem osobą, za którą się podaję, ale zbiegłą z getta Żydówką. Za to przewinienie czekała mnie kara śmierci.

Ponieważ żadne rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy, bierność wydawała mi się jedyną obroną. Nadal byłam w nocnej koszuli, wystającej spod palta i celowo nie zakładałam butów na zmarznięte nogi. Liczyłam na to, że pozostając nie ubrana utrudniam Niemcom zabranie mnie z hotelu. Czas mijał. Na korytarzu w dalszym ciągu słyszeć było niemieckie krzyki. W pewnej chwili cywil wszedł do po-

koju. „Pani jeszcze nie ubrana?” – zapytał wyraźnie zniecierpliwiony. Pod wpływem nagłego impulsu podbiegłam do niego, zachowując się tak, jakbym czekała na jego przyjście.

– Proszę pana, proszę mi pomóc. Nie mogłam tego mówić przy Niemcu, ale pan jest Polakiem i panu powiem całą prawdę. Nie mogę iść na gestapo. Całe życie marzyłam o pójściu do klasztoru. Mój ojciec nie chciał na to pozwolić. Teraz, po jego śmierci, matka wyraziła wreszcie zgodę. Kiedy po długich staraniach zostało załatwione moje przyjęcie do zakonu, niespodziewanie wyznaczono mnie na roboty do Niemiec. Było to parę tygodni temu. Żeby uniknąć wywiezienia, musiałam od razu wyjechać z Iłży. Jeśli teraz pójde na gestapo, Niemcy na pewno wyślą mnie na roboty. Dla mnie to będzie gorsze niż śmierć. Niech mi pan pomoże.

Wszystko to powiedziałam jednym tchem, nie patrząc na niego. Nie mogłam pozwolić, żeby mi przerwał, bałam się jego reakcji. Oczywiście było, że jest Niemcem albo Polakiem na usługach gestapo. Odwoływanie się do jego polskości mogło go zdenerwować, ale mogło mu również pochlebić. Liczyłam na to drugie. W każdym przypadku ten apel do niego dowodził mojej naiwności i mógł sugerować prawdziwość tego, o czym mówiłam. Był to jedyny pomysł, jaki przyszedł mi w tym momencie do głowy.

Kiedy skończyłam mówić i podniosłam oczy na cywila, jego twarz nie wyrażała złości. Wydawał się raczej zdumiony. Odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju. Jak automat usiadłam z powrotem na łóżku. Na korytarzu, blisko drzwi, coś się działo, dochodziły dwujęzyczne krzyki. W pewnej chwili wśród masy niemieckich wyzwisk zaczęłam wyraźnie rozróżniać jedno powtarzające się słowo: „Jude, Jude...”. Zdawało mi się również, że wśród rzucanych komend i przekleństw usłyszałam uderzenia i krzyk bólu. Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i gestapowcy wpadli do mojego pokoju.

Wśród nich znalazła się płacząca gospodyni, która usprawiedliwiała się:

– Ja nie wiedziałam, że to był Żyd. Przecież papiery miał w porządku i nie wyglądał na Żyda – powtarzała w kółko, nie zwracając się wyraźnie do żadnego Niemca.

Stojący przy stole gestapowiec zgarnął wszystkie moje dokumenty i wrzucił je do swojej teczki.

– Jutro o dziewiątej rano zgłosi się pani na gestapo – powiedział do mnie cywil.

Niemcy w pośpiechu opuścili mój pokój. Przez chwilę jeszcze słyszałam ich oddalające się kroki na korytarzu i na dziedzińcu. Potem w całym domu znów zapanowała cisza.

UCIECZKA NOCĄ

Po wyjściu Niemców gospodyni poradziła mi położyć się spać i zapomnieć o tym nocnym najeździe. Pocieszała mnie, że w gestapo bez trudności załatwię swoją sprawę i odzyskam zabrane dokumenty.

– To będzie tylko formalność, polegająca na sprawdzeniu autentyczności pani papierów – zapewniała mnie, dodając, że miewała w przeszłości podobne wypadki z gośćmi hotelu.

Leżąc w ciemnym pokoju zastanawiałam się nad moją sytuacją, która w ciągu ostatnich paru godzin uległa dramatycznej zmianie. Wiedziałam, że nie mogę pójść na gestapo po odbiór dokumentów. Nawet ich formalne sprawdzenie mogło doprowadzić do wykrycia, że są fałszywe. Wówczas nie wyszłabym żywa z ich budynku.

Zmagając się z własną bezradnością, strachem i zmęczeniem zapadłam w krótką drzemkę. Miałam dziwny sen, w którym ojciec kazał mi się obudzić i dalej uciekać. Jego twarz, postać, słowa były bardzo wyraźne, a cały sen tak realistyczny, że kiedy otworzyłam oczy, instynktownie szukałam ojca w pokoju.

Rewizja skończyła się około trzeciej w nocy i od tamtej chwili upłynęło już trochę czasu. To oznaczało, że zaledwie parę godzin dzieliło mnie od wyznaczonego przez gestapowców terminu. Przyszło mi również na myśl, że gospodyni już od wczesnego rana będzie mnie osobiście pilnować, abym we właściwym czasie znalazła się w Alei Szucha. Może zechce pójść tam razem ze mną, a może wyznaczy kogoś ze swoich pracowników, aby mi towarzyszył. Musiałam więc

opuścić hotel teraz, kiedy najprawdopodobniej ona i cały jej personel jeszcze śpią.

Cicho, bez zapalania światła, włożyłam na siebie możliwie jak najwięcej ubrań. Uchyliłam lekko drzwi szafy, aby były widoczne rozrzucone tam rzeczy. Na łóżku położyłam nocną koszulę, a resztę nielicznego dobytku rozmieściłam w ten sposób, aby pokój stwarzał wrażenie zamieszkanego. Nie zabrałam ze sobą żadnego bagażu.

Wyszłam na korytarz. Wszędzie panowała cisza. Poruszałam się bezszelestnie, trzymając buty w ręce. Szłam wolno i bardzo ostrożnie, najpierw wzdłuż długiego korytarza, potem schodami na dół. Zatrzymałam się na półpiętrze. Na parterze, przed drzwiami wejściowymi, stało duże biurko, przy którym, odwrócony do mnie bokiem, siedział nocny stróż. Stałam na schodach i obserwowałam jego zachowanie. Widziałam jego zgiętą sylwetkę i słyszałam głośny oddech. Stróż spał, opierając głowę o biurko. Przeszłam obok niego i nacisnęłam klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. W lekko uchylonej szufladzie biurka zobaczyłam pęk kluczy. Nie spuszczać oczu ze stróża, wysunęłam szufladę i wyjęłam klucze. Wolno i bezszelestnie otworzyłam drzwi i chwilę później znalazłam się na ulicy.

Trwała ciemna noc. Nie minęła godzina policyjna i ulica Widok była pusta. Posuwałam się przy samym murze, od bramy do bramy. We wnękach zamkniętych drzwi łapałam oddech i wsłuchiwałam się w panującą wokół ciszę. Przechodziłam następne krótkie odcinki dopiero wówczas, gdy nie słyszałam żadnych niepokojących odgłosów. Na skrzyżowaniach ulic zachowywałam spotęgowaną czujność. Przywierając do muru, uważnie wpatrywałam się w ciemność na ulicy, zanim zdecydowałam się na przecięcie jezdnii.

Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy usłyszałam dzwonek nadjeżdżającego tramwaju. Zrozumiałam, że skończyła się godzina policyjna. Wsiadłam do prawie pustego wagonu, który oddalał się od centrum Warszawy. Patrząc przez okno na mijane ulice uświadomiłam sobie, że udało mi się uciec. Zamknęłam oczy, żeby na chwilę odpocząć i zastanowić się nad dalszymi krokami. Cudem uniknęłam aresztowania, ale straciłam wszystkie moje życiodajne dokumenty. Został mi w pamięci ruch ręki Niemca, który niedbale wrzucił do

teczki moje papiery. Bez nich nie mogłam się zameldować, dostać pracy, znaleźć noclegu – nie mogłam istnieć po aryjskiej stronie. Bez polskich dokumentów nie miałam żadnej możliwości przetrwania. Byłam bezbronna wobec każdego legitymującego policjanta, skazana na szybkie złapanie.

Znajoma Rosjanka była jedyną przychylną mi osobą w Warszawie; postanowiłam pojechać do niej po pomoc. Wcześniej rano znalazłam się przed jej mieszkaniem i odczekałam w pewnej odległości, aż członkowie jej rodziny wyjdą do pracy.

Obserwując dom, zauważyłam wzmożony ruch i obecność Niemców. Przeszła mi przez głowę myśl, że oni właśnie mnie tam szukają. Zdałam sobie jednak sprawę, że to niemożliwe, ponieważ nikomu nigdy nie wspomniałam o istnieniu Rosjanki. Po odjeździe Niemców zapukałam do drzwi. Zastałam ją przestraszoną i zdenerwowaną rewizją, którą przeprowadzono u sąsiadów.

Wiedziałam, że zaistniała sytuacja jest dla mnie niesprzyjająca, ale musiałam powiedzieć jej o wypadkach ubiegłej nocy. Moje opowiadanie, a szczególnie wiadomość o stracie dokumentów i terminie stawienia się w Alei Szucha spotęgowały jej zdenerwowanie. Odmówiła udzielenia mi jakiegokolwiek pomocy i dalszego rekomendowania mnie do pracy w klasztorze. Kazała mi opuścić mieszkanie i nie zwracać się do niej więcej z żadną sprawą. Siłą wypchnęła mnie na korytarz, zamykając za mną drzwi.

Na dworze poczułam przejmujące zimno. Szłam nieznanymi ulicami, jak zawsze szybko, udając osobę spieszącą się do pracy. Na pobliskiej wieży kościelnej wybiła godzina dziewiąta. Co teraz robić? W całej Warszawie nie było ani jednej osoby, do której mogłabym zwrócić się o pomoc. Sama musiałam znaleźć sposób, by się uratować.

Za około dziesięć godzin znowu zaczęła się godzina policyjna i wówczas nie będę miała gdzie się podziąć. Bez dokumentów nie przyjmie mnie hotel, nie będę mogła zostać na ulicy, schować się w bramie i nawet żaden dozorca nie wpuści mnie na podwórze. Ponieważ nie zgłosiłam się na gestapo w wyznaczonym terminie, prawdopodobnie byłam przez nich poszukiwana. Możliwe, że już wydała się moja ucieczka i policja indagowała obecnie właścicielkę hotelu.

Jedynym ratunkiem było jak najszybsze opuszczenie Warszawy. Decyzja, dokąd mam pojechać, była łatwa, bo znałam tylko jeden adres w całej Polsce. Było to miejsce, znajdujące się w Starachowicach, do którego wcześniej udała się Sara z dzieckiem. Postanowiłam pojechać tam pierwszym pociągiem. Wsiadłam do tramwaju jadącego na Dworzec Główny. Przejeżdżając koło hotelu na ulicy Widok, poczułam dławiącą falę strachu.

Na dworcu kolejowym panował duży ruch i w tłumie czekających podróżnych odzyskałam spokój. W pewnej chwili zobaczyłam nad kasami ogłoszenie, że bilety kolejowe sprzedawane są tylko po okazaniu przez podróżnego dowodu osobistego. Obserwując ludzi widziałam, jak wręczali kasjerowi swoje papiery.

Stałam zaskoczona tą nieprzewidzianą trudnością, nie mogąc uwierzyć, że wyjazd z Warszawy jest dla mnie niemożliwy. Ogłoszenie wywieszono nad kasami w ostatnich dniach. Pomyślałam, że może ono obowiązywać tylko na centralnym dworcu, natomiast na innych sprzedaje się bilety jak dawniej.

Długa podróż tramwajami na Pragę zabrała mi dużo czasu. Na Dworcu Wschodnim nie zauważyłam ogłoszenia o konieczności legitymowania się przy kupnie biletu. Nadzieja wstąpiła w moje serce. Stojąc jednak w kolejce, blisko kasy, usłyszałam, że kasjer żąda dokumentów. Moje niespodziewane wyjście z kolejki zwróciło uwagę podróżnych. Oddalając się od dworca wielokrotnie sprawdzałam, czy ktoś z ludzi, którzy znajdowali się w poczekalni, nie śledzi mnie na ulicy.

W desperacji postanowiłam jeszcze raz szukać pomocy u Rosjanki. Wracałam tramwajami przez centrum Warszawy. Przejeżdżając blisko getta, zazdrościłam zamkniętym tam Żydom, że byli razem. Bardzo chciałam stać się jedną z nich i dzielić wspólny los. Przyszłość, która ich czekała, wydawała mi się łatwiejsza do zniesienia, gdyż dzielili ją z bliskimi. Strasznie trudno było mi samej bronić się przed stałym niebezpieczeństwem, wśród masy obojętnych, a nawet wrogich ludzi.

Na jakiej podstawie uważałam parę tygodni temu, że będę umiała siebie ocalić? Zaskoczyła mnie moja megalomania i brawura. Ja, osiemnastoletnia dziewczyna z małego miasteczka, chciałam oszukać

Niemców. Naiwność nie pozwalała mi wówczas zobaczyć, że moi prześladowcy są potężni, zorganizowani, że dysponują wielką armią pomocników.

Zapadał zmierzch i szybko zbliżała się noc. Z każdą upływającą chwilą czułam, jakby coś zaciskało się na mojej szyi. Wbrew moim obawom, Rosjanka otworzyła drzwi i wpuściła mnie do mieszkania. Zobaczyłam współczucie na jej twarzy, kiedy opowiadałam o próbie opuszczenia Warszawy. Miałam wrażenie, że zrozumiała moją tragiczną sytuację. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł na uratowanie się i błagałam ją o pomoc w jego realizacji.

Na biurku stało zdjęcie jej osiemnastoletniej córki, pięknej roześmianej dziewczyny. Prosiłam, aby pozwoliła mi użyć legitymacji córki w kasie kolejowej. Rosjanka nie chciała o tym słyszeć, uważała, że to oznacza narażanie jej dziecka. Wobec tego zmieniłam plan. Prosiłam, aby sama poszła na stację i na swój dowód kupiła bilet do Starachowic. Zdawało mi się, że w tym wypadku nie groziłoby jej żadne niebezpieczeństwo. Rosjanka nie zgodziła się również i na ten plan. Z upływem czasu jej nastrój pogarszał się, stawała się coraz bardziej zdenerwowana. W końcu kategorycznie odmówiła udzielenia mi jakiegokolwiek pomocy i zażądała, abym opuściła mieszkanie.

Przez okno widziałam zapadający zmierzch. Nie udało mi się wy dostać z Warszawy i nie mogłam w niej dłużej zostać. Nie widziałam żadnej możliwości wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji. Miałam uczucie, że doszłam do końca mojej drogi. Niespodziewanie dla mnie samej sposób umierania stał się bardzo ważny. Śmierć z rąk Niemców wydawała mi się najstraszniejszym rodzajem odejścia.

W łazience Rosjanki, na półce, między innymi rzeczami, znalazłam brzytwę. Kiedyś czytałam, że otworzenie żył pod wodą nie jest bolesne. Brzytwa była ostra i woda w umywalce szybko zabarwiła się moją krwią. W książce pisano prawdę – nie czułam bólu. Weszła Rosjanka i przerażona wyrwała mi brzytwę. Bandażując mi rękę płakała i przeklinała świat, który doprowadzał dzieci do takiej ostateczności. Przeklinała także mnie, za egoistyczne narażanie jej życia. Nie mogłam płakać razem z nią i nie czułam współczucia ani dla siebie, ani dla niej.

Zajście w łazience musiało nią jednak wstrząsnąć. Zmieniła bowiem zdanie i zgodziła się pójść na Dworzec Główny. Kazała mi pozostać w mieszkaniu do czasu jej powrotu. Wróciła z biletem kolejowym, jednak nie do Starachowic, ale do Koruszek, ponieważ do tej miejscowości można było kupić bilet bez przedstawienia papierów. Koruszki były stacją graniczną między Generalnym Gubernatorstwem a Niemcami.

Mogłam nareszcie wyjechać z Warszawy, co było dla mnie w tej chwili najważniejsze. Mój pociąg odchodził z Dworca Głównego przed godziną policyjną.

Rosjanka żegnając się ze mną zażądała, abym na zawsze zapomniała jej nazwisko, adres i w ogóle o jej istnieniu.⁹

⁹ Spełniłam jej prośbę. Po wojnie, kiedy chodziłam ulicami Warszawy, na próżno usiłowałam przypomnieć sobie chociażby dzielnicę, w której mieszkała. Zniknęło z mojej pamięci jej nazwisko, a nawet wygląd. Został jedynie obraz stojącego na politurowanym biurku zdjęcia jej roześmianej córki.

NA DWORCU GŁÓWNYM

Długo czekałam na tramwaj jadący na Dworzec Główny. Stojąc prawie bez ruchu na przystanku czułam, jak mróz przenika przez moje ubranie. Na pustej ulicy z rzadka pojawiali się przechodnie. W pewnym momencie zobaczyłam przejeżdżającą riksę – zwykły rower, zaopatrzony w siedzenie dla pasażera. Po uzgodnieniu ceny rowerzysta zgodził się zawieźć mnie na dworzec. Zręcznie manewrując między tramwajami, w krótkim czasie dojechał do centrum miasta. Riksza zatrzymała się przed wejściem na Dworzec Główny.

Znalazłam się w obszernej, zatłoczonej poczekalni dworcowej. Na ściennym zegarze sprawdziłam, że jest jeszcze trochę czasu do odjazdu pociągu do Koruszek. Usiadłam na ławce wśród grupy podróżnych i otworzyłam gazetę tak, aby osłaniała moją twarz przed oczami przechodzących. Byłam zmęczona, zmarznięta, głodna i czułam dotkliwy ból w pokaleczonej ręce. Ściśnięta na zatłoczonej ławce, poczułam przyjemne ciepło, promieniujące od siedzących obok ludzi.

– Dowód proszę – usłyszałam nagle ostry, męski głos.

Odsunęłam gazetę i spojrzałam przed siebie. Na wprost mnie stali dwaj mężczyźni w granatowych mundurach Bahnschutz Polizei (policji kolejowej). Ich oczy skierowane były wprost na mnie – nasze spojrzenia skrzyżowały się. Nie miałam wątpliwości, że to właśnie ode mnie policjanci żądają dowodu osobistego.

– Nie mam – odpowiedziałam, wstając z ławki.

– Żydówka – bardziej stwierdził niż zapytał jeden z nich.

– Tak – odpowiedziałam.

– Pani pójdzie z nami – rozkazał.

Policjanci prowadzili mnie przez dużą halę dworcową – oni po bokach, ja w środku. Wysocy i potężnie zbudowani, właściwie reprezentowali siłę władzy niemieckiej, która mnie teraz dosięgła. Idąc między nimi czułam coś w rodzaju ulgi. Mój los i życie przestały już należeć do mnie. Ci dwaj obcy policjanci wzięli je w swoje ręce. Aresztując mnie, uwalniali mnie od dalszych trudów i nie kończących się niebezpieczeństw ukrywania się po aryjskiej stronie. Kończyła się dla mnie konieczność szukania noclegu, pracy, dokumentów, pomocy i ustawicznego bronięcia się przed czyhającą zewsząd śmiercią. Wszystko, co najgorsze, to, czego się tak bardzo bałam, już na mnie spadło. To dawało mi nieoczekiwany spokój.

Policjanci prowadzili mnie na dworcowy posterunek, gdzie, jak mi powiedzieli, znajdował się punkt zborny wszystkich wyłapanych Żydów. Rola policjantów ograniczała się jedynie do wyłowienia z tłumu ludzi podejrzanych o żydostwo. Ostateczne rozstrzygnięcie losu złapanych należało do urzędujących tam Niemców. „Bahnschutz” wyjaśnili mi również, w jaki sposób poznali, że jestem Żydówką. Przerwywając jeden drugiemu i wtrącając różne szczegóły, opowiadali z wyraźną dumą, jak obserwowali ulicę przed wejściem na dworzec. Zauważyli moją riksę i patrzyli, gdy szybkim krokiem wchodziłam na stację. Wprawdzie na ulicy było już wtedy ciemno i nie mogli dobrze zobaczyć twarzy, ale z mojego chodu i ruchów zorientowali się, że jestem Żydówką.

Opowiadając mi o tym, chwalili się zdobytymi umiejętnościami w rozpoznawaniu ukrywających się Żydów, nawet gdy ich aryjski wygląd utrudniał im to zadanie. Uważali, że doszli do perfekcji dzięki dużej praktyce na dworcach kolejowych, przez które ostatnio przewinęło się pełno żydowskich zbiegów. Bez skrępowania opowiadali ze szczegółami o różnych przypadkach, w których osobiście brali udział. Dla postronnego obserwatora musieliśmy wyglądać jak grupa znajomych, w której mężczyźni zabawiają młodą dziewczynę ciekawymi historiami.

Myślałam, że przeżywam ostatnie chwile życia i chciałam podzielić się z kimś tą wiadomością. Zwróciłam się do policjantów, aby pozwolili

mi pożegnać się listownie z bliskimi. Zgodzili się bez oporów. Miałam wrażenie, że chcieli okazać mi w ten sposób swoje współczucie. Pomogli mi nawet kupić kartkę pocztową i zdobyli pióro.

Stali przy mnie, kiedy adresowałam kartkę do mojego przyjaciela Jakuba Lejbusiewicza w koneckim getcie. Patrzyli, gdy pisałam słowa pożegnania, podpisując je imieniem Hala. Podeszliśmy do skrzynki pocztowej i wrzuciłam do niej kartkę. Zdawałam sobie sprawę z absurdu tego, co robię. Przesyłałam bowiem wiadomość do getta, które najprawdopodobniej zostało już zlikwidowane. Pisałam do człowieka, którego los był mi obecnie nie znany. Zawiadamiałam o końcu mojego życia ludzi, dla których już dawno przestałam istnieć. Niemniej wysyłając to pożegnanie, miałam poczucie spełnienia ostatniego obowiązku.

Policjanci zaprowadzili mnie do pomieszczenia za poczekalnią. Zamknięta w dużej i niemal pustej izbie, oświetlonej słabą lampką, usiadłam na krześle pod ścianą i zastanawiałam się, jak długo będę musiała czekać na Niemców. Ta myśl nie wywoływała u mnie specjalnej reakcji. Czułam emocjonalne odrętwienie, zdawało mi się, że częściowo już przestałam istnieć. Obojętnie czekałam na śmierć, która miała przyjść po mnie do tego pokoju.

Zapałam w dziwny stan, w którym wyraźnie zobaczyłam koło siebie postacie moich koneckich przyjaciół. Wypełnili cały warszawski posterunek policji. Słyszałam ich głosy i widziałam twarze. Gutka Lubliner i Adela Rolicka rozmawiały o swoich rodzinach, wspominając dobrze mi znane historie. Szymek Laznowski i Samek Herszkowicz omawiali jakąś książkę, chodząc tam i z powrotem po całym pokoju. Jack, w czapce żydowskiego policjanta, stał przy drzwiach, jakby pilnował, by nikt nie zakłócał nam spokoju. Ogarnęło mnie uczucie, jakbym znowu była wśród bliskich mi ludzi.

Gwałtowny zgrzyt klucza natychmiast rozwiął moje halucynacje. Poczułam się znowu samotna i bezradna w pustym, obcym pokoju. Na widok policjanta wstałam z krzesła i milcząc czekałam na to, co mi każe zrobić.

– Czy pani ma pieniądze? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam i podałam mu portmonetkę.

Widząc jednak jego zdziwienie, zrozumiałam, że nie pytał mnie o tak małą sumę. Pokazałam mu więc miejsce, gdzie miałam zaszytą w palcie złotą rosyjską monetę. Z początku sam starał się rozpruć naramiennik, ale widocznie było to dla niego za trudne, bo kazał mi to zrobić. Podając mu złoto, poczułam zimno metalu.

– Ma pani coś jeszcze?

Bez słowa pokazałam mu drugi naramiennik, po czym wyjęłam z niego jeszcze jedną złotą monetę.

Utrata wszystkich pieniędzy nie wywołała we mnie żadnego żalu. W dalszym ciągu znajdowałam się jakby w letargu.

Policjant wychodząc z pokoju powiedział coś na temat przekupienia swego kolegi, ale nie rozumiałam dokładnego znaczenia jego słów.

Zostałam znowu zamknięta w moim więzieniu. Usiadłam na krzesle i natychmiast wróciły wizje przyjaciół pozostających w getcie. Tym razem byliśmy wszyscy, cała dziesiątka – Regina, Rachelka, Gutka, Adela, Samek P., Moniek, Szymek, Samek H., Jack¹⁰ i ja – w jadalni mojej sąsiadki, Krysi „Komisarzówny”. Samek H. grał na fortepianie Drugą Rapsodię Liszta. Jego długie palce poruszały się po klawiaturze z zadziwiającą szybkością i wyzwalały z niej zaczarowane dźwięki. Najpierw powolne, pełne smutku, układały się w marsz pogrzebowy, jakby miały odtworzyć majestat śmierci. Później radośniejsze, szybsze, przekształciły się w patetyczny hymn na cześć życia.

Słuchałam tego wspaniałego koncertu z zamkniętymi oczami. Kiedy zamarł ostatni akord, otworzyłam oczy i wróciła do mnie świadomość tragicznej rzeczywistości. Poczułam wdzięczność dla Samki, że pozwolił mi poznać i zapamiętać ten utwór. Dziękowałam mu za tę utopię muzyczną, która ozdobiła i ułatwiła mi ostatnie chwile życia.

Znowu usłyszałam przekręcany w zamku klucz i do pokoju wszedł ten sam policjant, który poprzednio zabrał mi pieniądze. Kazał mi iść razem z nim. Automatycznie wykonywałam jego polecenia. Szliśmy szybko, prawie biegiem, najpierw pustym korytarzem, a następnie

10 Regina Frydman, Rachelka Blumencwajg, Gutka Lubliner, Adela Rolicka, Samek Piżyc, Moniek Finkelsztajn, Szymek Laznowski, Samek Herszkowicz, Jack (Jakub) Lejbusiewicz – zostali zamordowani w czasie wojny.

wąskimi schodami. Zbiegając po nich popychał mnie, równocześnie mocno trzymając mnie za ramię.

Nagle znaleźliśmy się na zatłoczonym peronie. Fala tłumy napierała w kierunku nadjeżdżającego wolno pociągu. Stłoczona masa ludzka porwała nas. Policjant był stale obok mnie, ani na chwilę nie puszczał mego ramienia. Bolało mnie miejsce, w którym zaciskał palce. Próbowiałam się odsunąć, ale w żaden sposób nie mogłam się od niego uwolnić. Przyszła mi do głowy myśl, że teraz zepchnie mnie pod koła nadjeżdżającej lokomotywy.

Zanim pociąg całkowicie się zatrzymał, tłum rzucił się szturmując drzwi i okna. Powstało ogólne zamieszanie i hałas. Nagle policjant zaczął głośno krzyżeć na otaczających nas ludzi i tłum zatrzymał się w szturmie na pociąg. Wówczas usłyszałam, jak policjant, przeklinając zagradzających mu drogę, woła: „Przejdźcie dla mnie, przejdźcie dla mojej narzeczonej”. Szłam, popychana przez niego, wąskim szpalerem utworzonym przez rozstępujących się ludzi. Policjant otworzył drzwi do wagonu i wciągnął mnie do środka. W pustym przedziale kazał mi zająć miejsce pod oknem. Stojąc w otwartych drzwiach wpuścił do środka tylko osiem osób, tyle, ile było miejsc siedzących, i zatrzymał resztę pchających się podróżnych. W przedziale znalazły się wyłącznie kobiety, które nie podnosiły oczu ani na „bahnschutz”, ani na mnie. Gwizd pociągu dał znać o zbliżającym się odjeździe. Policjant pochylił się nade mną i powiedział szeptem: „Nie martw się, wojna niedługo się skończy”. Szybko pocałował mnie w policzek i wyskoczył z wagonu. Pociąg ruszył i postać „bahnschutz” zniknęła w ciemności.

POCIĄG DO KOLUSZEK

Pociąg wolno wyjeżdżał z Warszawy, stale zmieniając tory. Przez okno wagonu widziałam, jak posuwa się w labiryncie splątanych szyn. Myślałam o pożegnalnym zdaniu „bahnschutza”, że koniec wojny ma nastąpić niebawem. Przejeżdżając teraz przez Warszawę wydawało mi się to nieprawdopodobne. Niemcy czuli się wyraźnie zadomowieni i pewni siebie w zdobytej trzy lata temu polskiej stolicy, a tocząca się gdzieś daleko wojna była nierealna.

Tymczasem za oknem panowała już całkowita ciemność. Rytmiczny stukot kół działał na mnie kojąco. Zamknęłam oczy usiłując wrócić do równowagi po ostatnich przeżyciach. Jednak mimo ogromnego zmęczenia nie czułam się senna. W pamięci pojawił się wyraźny obraz policjanta w ciemnym mundurze Bahnschutz Polizei, który niedawno mnie zatrzymał. Miałam przed oczami jego wysoką, mocno zbudowaną, młodą postać i szybkie ruchy. Widziałam jasne, po wojskowemu ostrzyżone włosy, szare zimne oczy i wrogi wyraz twarzy. Pamiętałam jego władcze zachowanie i ostre spojrzenie, pod wpływem którego czułam się jak złapana na przestępstwie zbrodniarka.

Obraz drugiego „bahnschutza” był mniej dokładny. Wydawało mi się jednak, że obydwaj byli tak bardzo do siebie podobni, że czasem stawali się jedną osobą. Kiedy zażądali ode mnie dokumentów, na wysokości moich oczu zobaczyłam dwie pary szeroko rozstawionych nóg w identycznych wysokich, czarnych butach. Miałam wrażenie, że należą one do jednej czteronożnej istoty, która chwyciła mnie w swoje szpony i prowadzi na stracenie.

Uciekając z getta wiedziałam, że pewne cechy mojej twarzy mogą być uważane za semickie. Nie byłam jednak przygotowana na to, że w ciemnościach, wśród tłumy, mogę być rozpoznana jako Żydówka. Zastanawiałam się, co we mnie było takiego, co odróżniało mnie od przeciętnej polskiej dziewczyny? Jak wyskoczyłaby z rikszy chrześcijanka i jak przeszłaby przez ulicę? Jak siedziałaby na ławce Polka czytając gazetę? Czyżby piętno ściganego zwierzęcia było widoczne nie tylko na mojej twarzy, ale także w każdym moim ruchu?

Starałam się odtworzyć bieg wydarzeń na dworcu w Warszawie. Kim byli „bahnschutze”, którzy z łatwością zawodowców wypatrzyli mnie w tłumie podróżnych? Co nimi kierowało, że po obrabowaniu mnie, wielkodusznie pomogli w dalszej ucieczce?

Zadawałam sobie pytanie, jak to się stało, że dotychczas ocalałam. Przypomniałam sobie rzuconą w przelocie uwagę policjanta, że moimi złotymi monetami ma przekupić kolegę. Mogło to znaczyć, że jeden z „bahnschutzów” miał współczujące, dobre serce, a drugi potrzebował moich pieniędzy, żeby poczuć litość. Jeśli nawet tak było, to ta różnica w charakterach nie przeszkadzała im wspólnie wyłapywać Żydów na warszawskim dworcu.

Prawdą jednak było, że „dobry” policjant pozwolił mi żyć i ułatwił dalszą ucieczkę. Nie znałam jego imienia ani nazwiska. Najprawdopodobniej był Polakiem, bo pożegnalne zdanie, w odróżnieniu od poprzednich, naszpikowanych niemieckimi słowami, wypowiedział w czystej polszczyźnie.

Zastanawiałam się nad moją obecną sytuacją. Jechałam bez żadnego dokumentu pociągiem, w którym mogły być one sprawdzane rutynowo. Moją stacją docelową były Koluszki, leżące na granicy Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa, gdzie bez wątplenia odbywały się dokładne kontrole pasażerów. Nie miałam walizki ani żadnego tobołka, czym wyraźnie różniłam się od innych ludzi w wagonie. W dodatku nie miałam pieniędzy, żeby kupić bilet na dalszą trasę ani by opłacić ewentualnego kolejnego szantażystę.

Musiałam przestać myśleć o moim beznadziejnym położeniu; całym wysiłkiem woli skierowałam uwagę na otoczenie. Kobiety

w przedziale prowadziły głośną rozmowę o trudnościach rodzinnych, o mężach, dzieciach i sukcesach handlowych. Wynikało z tego, że wszystkie jechały gdzieś na wieś, aby kupić żywność, którą później zamierzały spieniężyć w Warszawie. Mówiły o cenach produktów żywnościowych, o tym, gdzie można zaopatrzyć się taniej, a gdzie sprzedać drożej. Dzieliły się informacjami na temat trudności w przeszmuglowaniu zakupionego towaru, o sposobach zmylenia czatujących Niemców i o przekupstwie granatowej policji. Zaskoczyło mnie ich zawodowe wyrobienie. Pamiętałam przedwojenne nastawienie Polaków, że handel to nieuczciwy zawód, godny jedynie Żydów. Wprawdzie endecka prasa namawiała do bojkotowania żydowskich sklepów i otwierania polskich, ale antysemicka propaganda zdawała się nie mieć dużego wpływu na powszechną ocenę tego zawodu i sytuację handlu w Polsce.

Teraz, przysłuchując się swobodnej i otwartej rozmowie kobiet, doszłam do wniosku, że mają wyraźne zamiłowanie do kupiectwa. Ich zdolności handlowe, przebiegłość i spryt przebijały z każdego zdania, gdy opowiadały, jak umiejętnie unikają zasadzek zastawionych przez okupanta. Przez ostatnie dwa lata, gdy byłam uwięziona w getcie i odizolowana od tego, co działo się w Polsce, myślałam, że wraz z zamknięciem Żydów w gettach skończył się handel w Polsce. Zrozumiałam, jak mylnie było to mniemanie.

Po pewnym czasie kobiety przerwały rozmowy i zaczęły przygotowywać posiłek. Na kolanach rozkładały białe szmatki, a na nich wyjmowane z koszyków prowianty. Przez na pół przymknięte powieki widziałam bochenki świeżego chleba, kawały suchej kiełbasy i wiejskie białe sery. Siedząca obok mnie kobieta wyjęła wędzony boczek, pokroiła go w cienkie paski i nałożyła na grube pajdy chleba. Wszyscy zaczęli wzajemnie się częstować i zapraszać do jedzenia. Od czasu do czasu ktoś mówił coś zabawnego i wówczas pasażerki wybuchały głośnym śmiechem. W przedziale zapanowała wesoła atmosfera towarzyskiego spotkania. W stosunku do mnie zachowywały się tak, jakbym nie istniała, a miejsce, na którym siedziałam, było puste. Żadna z nich nie zaprosiła mnie do wspólnego posiłku i nie zaproponowała mi poczęstunku. Widocznie złość na policjanta,

który zagradzając im drogę wprowadził mnie do pociągu, przelały na mnie.

Dawno zapomniany zapach wędzonego mięsa odurzył mnie do tego stopnia, że zakręciło mi się w głowie. Ostry ból jak cięcie nożem przeszył mój brzuch. Poczułam mdłości. Ogarnęło mnie przerażenie, że zacznę wymiotować w przedziale. Tłumiony od dawna głód, podrażniony widokiem i zapachem przysmaków dawał znać o sobie w sposób bardzo bolesny. Starłam się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz miałam w ustach jedzenie. Musiało to być wiele godzin przed oblawą gestapo w hotelu, czyli ponad 24 godziny temu. Myślałam o tym, żeby ukraść leżący blisko mnie chleb, gdy moja sąsiadka odwróci głowę. Moje ręce pozostały jednak nieruchome. Siedząc ze spuszczonej oczami, w myślach prosiłam kobiety, żeby dały mi coś do zjedzenia. Ale nie odezwałam się. Mimo silnego głodu nie byłam w stanie przemóc się, aby zebrać i nie mogłam również wyciągnąć ręki, aby ukraść. Byłam zła na siebie i na wyniesione z rodzinnego domu zasady, bardzo nieprzydatne w mojej sytuacji.

Po skończonej uczcie zrobiło się cicho, kobiety zapadły w drzemkę. Odwróciłam głowę w stronę okna i patrzyłam w noc. Usilnie starałam się koncentrować myśli na czymś przyjemnym, by zapomnieć o męczącym mnie głodzie.

Po pewnym czasie pociąg zaczął zwalniać, wydawało mi się, że zatrzymujemy się w polu. Panująca za oknami ciemność nie pozwalała nic zobaczyć.

Pasażerki początkowo nie reagowały na wyraźnie zmniejszającą się szybkość jazdy, tak jakby tego oczekiwały. Po paru minutach w wagonie zrobiło się gwarno i kobiety zaczęły pakować swoje bagaże. Pociąg jechał coraz wolniej. Zrozumiałam, że zbliżamy się do końcowej stacji. Za oknami było niezmiennie ciemno.

Za przykładem innych podróżnych wstałam z ławki i założyłam palto. Niespodziewanie zobaczyłam długi parterowy budynek, a na nim napis „Koluszki”. Kobiety w wagonie przeżegnały się i ustawiły przed drzwiami w kolejce do wyjścia. Naśladując ich ruchy, nakreśliłam, po raz pierwszy w życiu, znak krzyża. Wolno dotknęłam palcami

czoła, środka, lewej i prawej strony piersi. Robiąc to nie wiedziałam, czy powinnam była zacząć z lewej, czy też z prawej strony; przeraziła mnie myśl, że zrobiłam to niewłaściwie. Spojrzałam na kobiety, ale one nie zwracały na mnie uwagi. Stałam w kolejce za innymi. Ustał ból brzucha i przeszły nudności.

Pociąg zatrzymał się na stacji w Koluszkach.

KONTROLA NA GRANICY

Przez szeroko otwarte drzwi wdarło się do wagonu mroźne powietrze. Poczulałam przejmujące zimno i przeszły mnie dreszcze. Idąc wolno za innymi, znalazłam się na peronie. Po jego prawej stronie stał nasz buchający parą pociąg, po lewej kordon policji kolejowej. Ustawieni w regularnych odstępach „bahnschutze” zagradzali sobą przejście od strony torów. Kilkunastoosobowy oddział esesmanów posuwał się wzdłuż pociągu. Niemcy zatrzymywali się przy otwartych drzwiach i kontrolowali wnętrza opuszczanych przedziałów. Idący za nimi kolejarze zamykali na klucz sprawdzone wagony.

Tłum pasażerów posuwał się w tunelu między pociągiem a rzędem policji, w stronę dworca. Szłam razem z falą podróżnych, która zaprowadziła mnie po paru minutach do jasno oświetlonej, dużej dworcowej poczekalni. Gdy znalazłam się w środku, wydawało mi się, że całe wnętrze sali jest już szczelnie wypełnione. Zdziwił mnie więc napływ nowych podróżnych, którzy ciągle jeszcze znajdowali dla siebie jakieś miejsce. Zaskoczyła mnie liczba ludzi, którzy przyjechali jednym warszawskim pociągiem.

Wśród zgromadzonych, stojących przeważnie w grupach, panowała dość swobodna atmosfera. Słychać było okrzyki powitania, krótkie wybuchy śmiechu i ożywione dyskusje.

Pomyślałam, że powinnam nawiązać z kimś rozmowę, ponieważ mogłam zwracać na siebie uwagę swoim odizolowaniem od reszty podróżnych. Obok mnie jakaś kobieta zwierzała się znajomej, że jej bagaż jest bardzo duży. Obawiała się, że Niemcy zabiorą jej część albo

nawet wszystko, co posiada. Miło wyglądająca pani, która o tym mówiła, miała przy sobie kilka dużych walizek. Przeszło mi przez myśl, żeby zaproponować jej pomoc. Mogłam wziąć od niej jedną walizkę i zgłosić ją przy rewizji jako moją. Dla mego bezpieczeństwa byłoby też lepiej, gdybym posiadała jakiś bagaż. Szybko jednak odrzuciłam ten pomysł, ponieważ nie rozwiązywał mojego podstawowego problemu. Samo posiadanie bagażu nie mogło mnie uratować. Dobrze wiedziałam, że Niemcy zażądają przede wszystkim dokumentów, których przecież nie miałam. Zdawałam sobie sprawę, że mam znikome szanse wyjścia stąd i kontynuowania podróży. Razem ze mną zginęłaby również walizka nieznajomej pani.

Tymczasem ludzie przestali napływać do sali i wraz z ostatnimi podróżnymi wkroczyli esesmani i „bahnschutze”. Niemcy zamknęli za sobą drzwi, ustawili przed nimi długi stół i kilka krzeseł. Paru esesmanów zajęło miejsca za stołem, inni ustawili się obok. Grupa „bahnschutzów” stanęła po obu stronach stołu i przy drzwiach.

Na sali zapanowała cisza.

Niemcy ogłosili, że rozpoczynają kontrolę i poinformowali, jak będzie się ona odbywać. Kazali wszystkim podróżnym ustawić się w dwóch osobnych kolejkach – kobiety po prawej, a mężczyźni po lewej stronie. Każda osoba miała się wylegitymować i pokazać przewożone rzeczy. Wszystkie bagaże należało otworzyć i przygotować do rozłożenia na stole.

Przez parę minut na sali panował szum i ruch. Ludzie ustawiali się w odpowiednich szeregach. Mężczyźni stanęli równolegle do kobiet, w odległości około dwóch metrów. Zajęłam miejsce na końcu długiej, zakręconej kolejki. Przed sobą miałam widok na stół, przy którym odbywała się rewizja. Podróżni kładli na nim swoje papiery i bagaże. Esesmani oglądali dokumenty, zaglądali do otwartych waliz i w niektórych wypadkach rozkładali na stołach wyjmowane z nich rzeczy. Niekiedy przerywali sprawdzanie i porozumiewali się między sobą.

Dwie osoby – jedna kobieta i jeden mężczyzna – podchodziły równocześnie do sprawdzenia. Ci podróżni, którzy przeszli przez kontrolę, opuszczali salę przez wąskie drzwi, znajdujące się za stołem. Rewizja trwała bez zakłóceń, kolejka posuwała się bardzo wolno.

Starałam przygotować się do oczekującej mnie konfrontacji z Niemcami. Wiedziałam, że będę musiała wymyślić jakąś historię. Nie zamierałam podejść do nich i ogłosić, że jestem Żydówką. Ale co miałam im powiedzieć? Jak się nazywam? Skąd pochodzę i dokąd jadę? Jak podać kłamstwo, żeby mi uwierzyli? Przyszło mi do głowy, że jest mało prawdopodobne, aby gestapo w Koluszkach wiedziało, że podczas rewizji w Warszawie zostały zabrane dokumenty na nazwisko Maria Nowakowska. Mimo że w moim odczuciu od tamtej chwili upłynęły wieki, w rzeczywistości tylko kilkanaście godzin dzieliło mnie od najazdu Niemców na hotel i nadal był ten sam dzień.

Postanowiłam więc teraz podać wszystkie dane personalne zawarte w zabranych mi w Warszawie papierach. Znałam je na pamięć i nie bałam się pomyłek w odpowiedziach. Ale jak miałam usprawiedliwić brak dokumentów? Naprędce wymyśliłam, że uciekłam z domu, aby pojechać na roboty do Niemiec. Chciałam zarobić trochę pieniędzy i przy okazji zobaczyć świat. Nie wiedziałam jednak, czy esesmani w Koluszkach dadzą mi jakąś szansę wytłumaczenia braku papierów i czy uwierzą w moje wyjaśnienia. Czy nie wyda mnie moja twarz? Czy nie rozpoznają we mnie Żydówki?

Kolejka posuwała się naprzód. Niektórzy z czekających drzemali siedząc na walizkach. Byłam zmęczona i chciałam choć przez chwilę odpocząć w wygodniejszej pozycji, ale na sali nie było siedzących miejsc. Żeby odsunąć myśli o zmęczeniu, spojrzałam w bok, na rząd czekających mężczyzn.

Na wprost mnie zobaczyłam człowieka, który dziwnie się zachowywał. W odróżnieniu od innych mężczyzn, stał zwrócony bokiem do stołu, a twarzą w moim kierunku, jakby jego uwaga była skierowana na mnie. Kiedy zatrzymałam na nim wzrok, zaczął się uśmiechać i dyskretnie dawać mi jakieś znaki. Zaskoczyło mnie to do tego stopnia, że rozejrzałam się wokół, szukając innej osoby, do której mogły być one skierowane. Otaczające mnie kobiety drzemały jednak na swoich tobołkach i nie zwracały na niego uwagi.

Kiedy powtórnie spojrzałam na nieznajomego, zauważyłam, że facet jest pijany. Przeszł z nogi na nogę i od czasu do czasu wyraźnie tracił równowagę, a potem z wysiłkiem ustawiał się z po-

wrotem w stabilnej, pionowej pozycji. Miał trzydzieści parę lat, był średniego wzrostu, dosyć korpulentny. Nosił eleganckie zimowe palto z szerokim futrzanym kołnierzem i wysokie skórzane buty.

Zauważyłam, że pod wpływem mojego spojrzenia jego twarz rozpromieniła się. Wyraźnie zadowolony, zaczął zachowywać się bardziej ostentacyjnie, pokazując palcem kolejno na mnie i na siebie.

W odpowiedzi na jego porozumiewawcze znaki, posłałam mu najbardziej kokieteryjny uśmiech, na jaki umiałam się zdobyć. Udając, że rozbawiła mnie zaistniała sytuacja, zaczęłam głośno chichotać i znacząco gestykulować. Dawałam mu do zrozumienia, że mnie zainteresował i rozbawił.

Mężczyzna, zachęcony moim zachowaniem, stał się odważniejszy. Przyniósł się do mnie bliżej i szeptem zapewniał mnie o swoim uczuciu „od pierwszego wejrzenia”. Jego głos i mój śmiech zainteresowały ludzi w obu kolejkach, publiczny romans był dla nich przyjemną rozrywką w męczącej monotonii czekania. Z obu stron rozległy się zachęcające i dopingujące głosy. Mimo mojej tragicznej sytuacji, zainteresowanie nieznajomego przyjemnie mnie zaskoczyło. Dostrzegłam też w jego zachowaniu jakąś szansę dla siebie, chociaż nie miałam pojęcia, na czym mogłaby ona polegać.

Pijany mężczyzna stawał się coraz bardziej agresywny i głośny, a ja coraz przychylniej odbierałam jego zaloty. Starłam się być jak najbardziej kokieteryjna i z sukcesem grałam rolę wesolej dziewczyny. Wreszcie nieznajomy wystąpił z otwartą propozycją.

– Niech pani pojedzie razem ze mną – powiedział wychodząc ze swojej kolejki i stając przy mnie.

– Dokąd?

– Do mnie do domu. Mieszkam niedaleko Kuluszek.

– Niestety – odpowiedziałam – nie widzę takiej możliwości. Zanim tutaj skończy się rewizja, będzie już rano i będę musiała jechać dalej.

– Gdyby pani zgodziła się pojechać ze mną, moglibyśmy wyjść nawet teraz.

– Niech pan nie żartuje. Nikt stąd nie wychodzi bez kontroli, a my jesteśmy na końcu kolejek.

– Ja mogę wyjść, kiedy zechcę i z kim mi się podoba. Wszyscy tam przy stole są moimi kumplami. Pani mi się bardzo podoba i chcę wyjść z panią.

– Proszę pana, mam propozycję – zaczęłam mówić dość głośno, zanosząc się niby od śmiechu – jeśli Niemcy przy stole pozwolą panu przejść razem ze mną, jeśli mi pan udowodni, że ma pan tu znaczenie, to pójdę razem z panem.

– Dobrze – powiedział.

Facet odwrócił się i lekko się zataczając poszedł w kierunku stołu. Moje najbliższe otoczenie było podekscytowane zaistniałą sytuacją. Przeważała opinia, że mężczyzna przechwalał się po pijanemu.

Nie spuszczałam wzroku z tego, co działo się przy stole i nie przestawałam chichotać. Na widok zbliżającego się mężczyzny Niemcy przerwali pracę. Nieznajomy zwrócił się bezpośrednio do esesmanów i mówił coś do nich, mocno gestykulując. Jego opowiadanie przerywały częste wybuchy ogólnego śmiechu. Przy stole zapanowała bardzo wesoła atmosfera. Widać było, że mężczyzna nie kłamał i naprawdę jest dobrym kolegą Niemców, z którymi z pewnością porozumiewa się po niemiecku.

W pewnej chwili odwrócił się twarzą do sali i wskazał na mnie. Ryczący ze śmiechu esesmani z aprobatą poklepywali go po ramieniu. Ja śmiałam się razem z nimi. Mężczyzna przeszedł z powrotem przez salę, kierując się wprost do mnie. Jego chód był nadal niepewny i wydawało mi się, że od czasu do czasu na moment tracił równowagę. Nie mówiąc słowa wziął mnie pod rękę i razem przeszliśmy przez całą poczekalnię. Oczy ludzi stojących w obu kolejkach były zwrócone na nas. Słyszałam ich uwagi i żarty. Niemcy przerwali rewizję i również patrzyli na nas.

Szłam z nim przez długą salę i bez przerwy chichotałam. W głowie pulsowała mi jedna myśl: co będzie, jeśli esesmani jednak zatrzymają mnie w przejściu i zażądają dokumentów. Doszliśmy do stołu. Nie zatrzymani przeszliśmy koło Niemców i wyszliśmy z poczekalni przez otwarte dla nas drzwi. Mroźne powietrze gwałtownie zahamowało mój śmiech. Stanęliśmy na peronie, słabe światło latarni padło na twarz

mężczyzny. Wydawał mi się młodszy, niż go przedtem oceniłam. Przedstawił się i podał mi rękę.

– Mieszkam niedaleko stąd, ale musimy tam dojechać. Pociąg powinien niedługo nadejść – powiedział.

Wydawało mi się teraz, że wcale nie jest tak bardzo pijany.

– Proszę pana – zdobyłam się nagle na odwagę – jestem bardzo głodna. Czy mógłby mi pan kupić coś do jedzenia?

Był wyraźnie poruszony moją prośbą. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni palta napęczniały portfel i podał mi.

– Niech pani weźmie te pieniądze. Z drugiej strony budynku jest otwarty bufet, tam dostanie pani jedzenie. Ja tymczasem tutaj poczekam i postaram się wytrzeźwieć.

Odmówiłam wzięcia ze sobą całego portfela, wyjęłam z niego jeden banknot.

Szłam wolno we wskazanym kierunku, starając się opanować drżenie nóg. Przed oczami miałam jeszcze dwa szeregi stojących w kolejkach ludzi i esesmanów za stołem zagrządzającym wyjście. Widziałam siebie, jak się do nich zbliżam. Nie mogłam zapomnieć niemieckich twarzy wykrzywionych śmiechem i mojego własnego, histerycznego chichotu. Nie byłam w stanie uwierzyć w to, co się stało. Nie zostałam zatrzymana, nie zażądano ode mnie dokumentów i nie odkryto we mnie Żydówki. Wyszłam żywa z sali, gdzie odbywała się kontrola graniczna.

Zobaczyłam za zakrętem wejście do bufetu i skierowałam się w tamtym kierunku. Tymczasem niespodziewanie znalazłam się koło okienka kasy biletowej i zapytałam o najbliższe połączenie do Starachowic. Dowiedziałam się, że pociąg osobowy, idący przez Końskie, Skarżysko, Starachowice do Ostrowca, odjedzie za kilka minut z dość odległego toru. Poprosiłam o bilet. Kasjerka poradziła mi pospieszyć się. Bałam się tracić czas na kupno jedzenia. Szybko odszukałam właściwy pociąg. Jego wnętrze było ciemne, oświetlone jedynie latarniami z peronu. Pociąg był wypełniony podróżnymi. Chodząc wzdłuż przedziałów długo nie mogłam znaleźć siedzącego miejsca. W końcu zauważyłam wolną przestrzeń zaraz przy drzwiach z korytarza. Miejsce było wąskie, ale udało mi się tam wcisnąć.

Nagle przeraziła mnie myśl, że nowy znajomy z poczekalni dworcowej zauważy moją długą nieobecność i zrozumie, że uciekłam. Wiedziałam, że jeżeli zacznie mnie szukać i użyje do pomocy swoich kolegów esesmanów, nie będzie miał trudności, żeby mnie znaleźć.

W pewnej chwili lokomotywa gwałtownie szarpnęła wagony. Przez pierwsze minuty jazdy oczekiwałam, że zaraz usłyszę gwizdy na alarm i pociąg zostanie zatrzymany. Jechaliśmy jednak dalej.

JAZDA PRZEZ KOŃSKIE

Pociąg nabrał stałej prędkości, czego efektem był jednostajny stukot kół i łagodne kołysanie. Za oknem i w przedziale panowała głęboka ciemność. Tylko od czasu do czasu, kiedy mijaliśmy małe stacyjki, mogłam przez chwilę zobaczyć siedzących koło mnie pasażerów. W tym oświetleniu ich szare twarze z zamkniętymi oczami wyglądały jak martwe. Spali w przeróżnych dziwnych pozycjach. Niektórzy opierali głowy na tobołkach trzymanyh na kolanach lub na walizkach stojących przed nimi. Inni, zsunięci ze swoich miejsc, leżeli częściowo wisząc w powietrzu. Parę osób opierało się na swoich najbliższych sąsiadach.

Głowa mojej sąsiadki także zaczęła stopniowo opadać w moim kierunku i pod wpływem ruchu pociągu wylądowała na moim ramieniu. Kiedy odsunęłam niespodziewany ciężar, obudzona kobieta wymamrotała słowa przeprosin i usiadła wyprostowana. Po pewnym jednak czasie, gdy sytuacja wciąż się powtarzała, pozwoliłam, aby wygodnie oparła się na moim ramieniu. Ten bliski kontakt z inną osobą dawał mi nawet pewne zadowolenie – poczułam się bardziej związana z jadącymi ze mną ludźmi.

W wagonie panowała cisza, przerywana niekiedy nagłym chrapnięciem. Usiłowałam jak najwygodniej usadowić się w moim ciasnym kąci. Oparłam głowę o drzwi i zamknęłam oczy. Chciałam, choć na krótko, zasnąć, przestać myśleć, zapomnieć o wszystkim. Tylko sen mógł przynieść mi chwilę odpoczynku, o którą prosiła się każda komórka mego obolałego ciała. Co pewien czas czułam przeszywające

kłucie jakby tysiąca ostrych igiełek. Nogi miałam jak z waty i czułam, że ugięłyby się pode mną, gdybym musiała wstać. Głód i gwałtowne skurcze żołądka nie dawały mi spokoju. Niepokojące myśli o mojej obecnej sytuacji wywoływały przerażenie. Jechałam bez żadnych dokumentów, pociągiem w kierunku Końskich – miasta, w którym mieszkałam od urodzenia i skąd kilka tygodni temu uciekłam.

Ostatni raz spałam, przez krótki czas, zaraz po obławie gestapo w warszawskim hotelu. Wydawało mi się, że było to bardzo dawno temu i w zupełnie innym świecie. Wtedy we śnie zrodził się mój dokładny plan ucieczki z hotelu, który później udało mi się szczęśliwie zrealizować. Łudziłam się, że gdybym teraz zasnęła, również znalazłabym jakiś zbawienny pomysł.

Marzyłam o śnie, ale nie nadchodził. Zamiast niego z niebywałą wyrazistością wróciły obrazy nieprawdopodobnych przeżyć w Kuluszkach. Stanął mi przed oczami człowiek, który niedawno uratował mnie przed esesmanami. Na peronie powiedział mi, jak się nazywa, ale wówczas, pochłonięta własnymi problemami, nie słuchałam tego, co mówił. W myśli nazywałam go „mężczyzną z Kuluszek”. Kiedy po raz pierwszy zauważyłam go w poczekalni dworcowej, byłam pewna, że to jeden z podróżnych, czekających w kolejce na rewizję. Rzuciło mi się w oczy, że nie posuwał się w niej wraz z innymi ludźmi, ale stał wciąż w tym samym miejscu. W jego postawie było coś niedbałego, jakby to, co działo się wokół, mało go obchodziło. Przypisywałam to temu, że był pijany. Teraz miałam poważne wątpliwości co do tak prostego wytłumaczenia.

Może „mężczyzna z Kuluszek” w ogóle nie czekał w kolejce do rewizji? Może zauważył mnie i celowo zajął miejsce naprzeciw?

Przypominałam sobie chwilę, kiedy sprowokowany przeze mnie poszedł prosto do esesmanów. To – w moich oczach – zaskakująco odważne zachowanie tłumaczyłam sobie wtedy jego pijacką brawurą. Spodziewałam się, że Niemcy przywitają go krzykiem i wybuchem złości. Okazało się jednak inaczej.

„Mężczyzna z Kuluszek” powiedział mi, że esesmani przy stole są jego „kumplami”. Teraz podejrzewałam, że był on ich współpracownikiem przy kontroli podróżnych. To tłumaczyłoby fakt, że mógł

wyprowadzić mnie z sali. Jasne było, że Niemcy nie widzieli potrzeby sprawdzenia moich dokumentów tylko dlatego, że mu towarzyszyłam. Musieli mieć do niego zaufanie.

Przypomniałam sobie inne szczegóły, które potwierdzały moje podejrzenie. Nie miał ze sobą żadnego bagażu, co mogło wskazywać, że całe jego podróżowanie to ranna jazda do pracy w Koluszkach i wieczorny powrót do domu. Wypchany pieniędzmi portfel i porządne ubranie świadczyły o jego zamożności. Rewidowanie podróżnych na granicznej stacji mogło być źródłem dobrych dochodów. Zastanawiałam się, dlaczego z całego tłumu podróżnych wybrał właśnie mnie. Nie wydaje mi się, żebym przed rozpoczęciem mego „teatralnego” przedstawienia wyglądała na osobę szukającą miłosnych przygód.

Nagle przyszła mi do głowy nowa, dla mnie samej nieprawdopodobna myśl. Parę godzin wcześniej, w Warszawie, na ciemnej ulicy, „bahnschutze” umieli rozpoznać we mnie Żydówkę. „Mężczyzna z Koluszek” posiadał znacznie bardziej sprzyjające warunki – mógł obserwować mnie w pełnym świetle. Mógł również zauważyć moją napiętą uwagę, skoncentrowaną na toczącej się rewizji, odizolowanie od innych podróżnych i brak bagażu. Może podejrzewał, że jestem Żydówką i świadomie postanowił mnie uratować?

W takie wytłumaczenie mnie samej trudno było uwierzyć. Nieprawdopodobne było bowiem, aby esesman albo nawet Polak w ich służbie chciał się narażać, by uratować żydowską dziewczynę. Jak to możliwe, żeby kumpel esesmanów był tak ludzką osobą?

Moje myśli przerwał zgrzyt hamulców. Pociąg zwalniał i po krótkim czasie zatrzymał się na stacji. Latarnie na peronie oświetliły na parę minut wnętrze przedziału i wówczas udało mi się zobaczyć postacie otaczających mnie pasażerów. Zauważyłam, że tylko jedna osoba nie spała. Był to młody mężczyzna siedzący przy oknie na przeciwległej ławce. Przysunięty do szyby, uważnie obserwował, co dzieje się na stacji. Chciałam również spojrzeć przez okno i zobaczyć nazwę miejscowości, ale ułożenie głowy mojej sąsiadki uniemożliwiało mi jakikolwiek ruch. Pociąg krótko stał na stacji; kiedy wolno z niej wyjeżdżał, przeczytałam napis „Opoczno”.

Znałam dobrze to miasteczko, leżące w odległości dwudziestu paru kilometrów od Końskich. Świadomość, iż znalazłam się tak blisko mojej rodzinnej miejscowości, sprawiła, że poczułam zimno przesywające całe moje ciało. Wkrótce miałam z powrotem znaleźć się w miejscu, skąd niedawno uciekłam. Jak bardzo nieświadoma byłam wówczas tego, co oczekiwało mnie po aryjskiej stronie. Jak naiwnie wyobrażałam sobie możliwość uratowania się wśród Polaków.

W ciągu tak krótkiego czasu, dzielącego mnie od ucieczki z getta, przeżyłam tyle, że czułam się zmęczona i stara, chociaż skończyłam dopiero osiemnaście lat. Jak długo jeszcze będę mogła wymykać się z zastawionych wszędzie pułapek na Żydów? Bałam się, że moje niebываłe szczęście zawiedzie mnie w następnym krytycznym momencie.

Nagle usłyszałam hałas na korytarzu i zaraz potem dwóch granatowych policjantów stanęło w otwartych drzwiach przedziału. W rękach trzymali elektryczne latarki i kolejno oświetlali twarze pasażerów. „Kontrola” – ogłosili.

Obudzeni podróżni wyciągali dokumenty, otwierali bagaże i przygotowywali się do kontroli. Pomyślałam, że teraz nadchodzi mój koniec. Ironia losu sprawiła, że stanie się to właśnie w Końskich. Widocznie nie mogłam uciec przed przeznaczeniem. Poczułam, jakby paraliż unieruchomił moje ciało, a kleszcze zacisnęły się na moim gardle. Było mi trudno oddychać – gwałtownie chwytałam powietrze, co brzmiało jak kaszel.

Mimo to moje zmysły pracowały dość sprawnie. Zauważyłam, że mężczyzna siedzący przy oknie zachowywał się, jakby pogrążony był w głębokim śnie i nawet od czasu do czasu głośno chrapał. Ponieważ parę minut temu widziałam, jak uważnie obserwował peron w Opocznie, byłam pewna, że tylko udawał śpiącego.

Policjanci zaczęli przeglądać dokumenty siedzących na przeciwnej ławce pasażerów i wolno posuwali się w kierunku okna, gdzie siedział „śpiący” mężczyzna. Był czwarty w kolejności. Ja natomiast mogłam być zaraz po nim lub ostatnia w przedziale, w zależności od tego, w jakim kierunku postępowałoby sprawdzanie pasażerów na mojej ławce.

Rewidujący starali się obudzić „śpiącego” człowieka, najpierw podniesionym głosem, a potem szarpaniem za ubranie. Początkowo nieznajomy nie reagował na budzenie. Niespodziewanie zerwał się z ławki tak gwałtownie, że przewrócił pochylonego nad nim policjanta i wyskoczył z przedziału na korytarz. Policjanci natychmiast wybiegli za nim krzycząc: „Żyd, Żyd, ludzie, łapcie Żyda!”

Od razu zrobiło się głośno – wszyscy mieli coś do powiedzenia na temat uciekającego. Nikt nie miał wątpliwości, że był on Żydem. Niektórzy twierdzili nawet, że od początku jazdy podejrzewali go o to. Ktoś zauważył, że kiedy wszedł w Koluszkach do przedziału, od razu pchał się do okna w charakterystyczny dla Żyda sposób. Jedna kobieta zauważyła, że siedział pochylony jak Żyd, a inny pasażer dostrzegł jego chytre, żydowskie spojrzenie. Podróżni zgodnie orzekli, że uciekający nie ma żadnej szansy, by się uratować. Nikt nie wyraził współczucia dla człowieka, którego tragiczny los był oczywisty.

Pociąg tymczasem zaczął zwalniać i po paru minutach wjechał na oświetloną stację. Pasażerowie zerwali się z miejsc i skupili się przy oknie wychodzącym na peron. Automatycznie podniosłam się i stanęłam razem z innymi. Zobaczyłam dobrze mi znany budynek stacji kolejowej w Końskich. Wydawało mi się, że w grupie ludzi stojących przed wejściem do poczekalni poznałam moją szkolną koleżankę Dankę Miller, której ojciec był przed wojną zawiadowcą stacji. Instynktownie cofnęłam się w głąb ciemnego wnętrza.

Nagle zauważyłam grupę granatowych policjantów prowadzących mężczyznę z naszego przedziału. Szybko przeszli przez peron i zniknęli wewnątrz budynku. Pasażerowie odeszli od okna i tylko przez krótką chwilę komentowali ostatnie wydarzenia, szybko tracąc zainteresowanie całym zajściem. Byli wyraźnie zadowoleni, że wszyscy policjanci wysiedli razem ze złapanym człowiekiem, dzięki czemu zakończyła się rewizja.

Pociąg oddalał się od stacji, ludzie znów ułożyli się do snu. Wciąż jeszcze trudno mi było oddychać i co chwila zanosiłam się kaszlem. Stopniowo jednak te objawy ustąpiły. Zaczęłam natomiast gwałtownie ziewać i nie byłam w stanie tego zahamować.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu paru godzin ratował mnie obcy człowiek schwyty w moim bliskim otoczeniu. W warszawskim hotelu gestapowcy odkryli Żyda i podnieceni swoją zdobyczą łaskawie pozwolili mi zostać w pokoju do rana. Teraz policja zajęła się uciekającym człowiekiem, przez co uniknęłam kontroli moich nieistniejących dokumentów.

Zamknęłam oczy i poczułam obezwładniające zmęczenie. Nareszcie zapadałam w upragniony sen.

STARACHOWICE

Obudził mnie ruch i głośnie rozmowy. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam konduktora, który zawiadamiał pasażerów, że zbliżamy się do Starachowic. Dźwięk nazwy tego miasta od razu mnie rozbudził. Usiadłam wyprostowana na ławce i rozejrzałam się wokoło. W świetle latarki konduktora zauważyłam, że znikła moja najbliższa towarzyszka podróży i że nowi pasażerowie zajęli miejsca w przedziale. Przespałam całą drogę z Końskich. Sen w magiczny sposób pozwolił mi przejechać ten ostatni odcinek podróży bez zdenerwowania i lęku.

Teraz zbliżałam się do celu.

Szczęśliwie udało mi się dostać z Warszawy do Starachowic, okrężną, prawie podwójnie długą trasą, przez graniczną stację w Kolaszkach i przez moje rodzinne miasto. Całą tę podróż odbyłam bez żadnych osobistych dokumentów.

Jechaliśmy teraz wolno między gęsto zabudowanymi osiedlami. Domy i okna były nieoświetlone, ulice puste. Chociaż nie miałam zegarka, wiedziałam, że jest już późno w nocy. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce z napisem „Starachowice-Wierzbnik”. Zaniepokoiłam się, nie wiedziałam, czy to tutaj właśnie powinnam wysiąść. Konduktor poinformował mnie, że główna stacja w Starachowicach będzie następna.

Po krótkiej jeździe pociąg zatrzymał się przed bardzo podobnym do dworca w Końskich budynkiem z napisem „Starachowice”. Tylko kilka osób wysiadło tutaj ze mną. Wszyscy przyjezdni szybko rozeszli się

w różne strony, a ja znalazłam się sama w dużej poczekalni dworcowej. Okrążyły zegar, wiszący na ścianie na wprost wejścia, był pierwszą rzeczą, którą tam zauważyłam. Dochodziło wpół do trzeciej. Tylko jedna doba dzieliła mnie od momentu, w którym gestapo zabrało mi dokumenty i zrujnowało wszystkie moje nadzieje na urządzenie się w Warszawie.

W pustej poczekalni zauważyłam kasjera w okienku kasy biletowej. Zapytałam go, gdzie mogę kupić coś do jedzenia. Powiedział, że bufet dworcowy jest zamknięty przez całą noc, aż do późnego rana. Objął mi również dość dokładnie, gdzie znajduje się ulica, na którą miałam się udać. Według jego informacji ulica Kilińskiego ciągnęła się parę kilometrów, od centrum miasta aż na przedmieście.

Kiedy skierowałam się do wyjścia, kasjer wybiegł za mną, zaniepokojony, że zamierzam poruszać się po mieście w czasie godziny policyjnej. Jego gwałtowne ostrzeżenia przed ostrymi karami za przebywanie na ulicy bez odpowiednich dokumentów nie wywarły na mnie wrażenia, a nawet wydawały mi się śmieszne.

Szłam zupełnie pustymi ulicami, między dwoma szeregami dość wysokich domów. Bramy wejściowe były zamknięte, a wszystkie okna ciemne. Stawiając ciche i ostrożne kroki, posuwałam się blisko murów we wskazanym kierunku.

Idąc nocą po ulicach nie znanego miasta, czułam dziwne odrętwienie, które jakby blokowało zdolność odczuwania czegokolwiek. Nie bałam się, że zaskoczy mnie jakieś niespodziewane niebezpieczeństwo. Nie czułam zimna ani głodu, ani zmęczenia.

Noc była dość jasna i bez trudu znalazłam ulicę Kilińskiego. Była szeroka i prowadziła pod górę, w kierunku widocznej z daleka ściany lasu. Z początku miała charakter miejski, z wyższymi domami i wąskimi chodnikami po obu stronach. W miarę jednak jak oddalałam się od stacji kolejowej, brukowana ulica przeszła w piaszczystą drogę, skończył się chodnik, a miejsce piętrowych budynków zajęły partelowane domki. Po jednej stronie drogi zaczęły się pola, pokryte teraz cienką warstwą śniegu.

Szłam wolno ścieżką koło domów i w świetle księżyca odczytywałam numery. Towarzyszyło mi ciągle ujadanie psów; czasem odważ-

niejszy z nich wybiegał na drogę i obszczekiwał mnie z bezpiecznej odległości.

Zaskoczyło mnie, że pojawianie się psów i ich ataki nie wywołują we mnie strachu. Jeszcze niedawno bałam się każdego stworzenia, które w moim mniemaniu mogło się na mnie rzucić. Przed wojną omijałam z daleka krowy, konie, nawet syczące gęsi, a psy wydawały mi się szczególnie wrogimi zwierzętami. To uczucie lęku przed psami pogłębiło się w ciągu lat przeżytych w getcie, kiedy Niemcy szczuli swoje wielkie wilczury na przypadkowo spotkanych Żydów. Raz, schowana za framugą okna, widziałam, jak ku ucieście dwóch Niemców ich pies rzucił się na starego człowieka i powalił go na bruk. Czerwień krwi zabarwiła jego ubranie i kamienie, na których leżał.

Starachowickie psy zaczęły gromadnie wybiegać ku mnie na drogę i stawały się coraz bardziej agresywne. Poszukałam paru kamieni, gotowa do obrony, gdyby mnie zaatakowały.

Numery domów systematycznie malały. Po parterowych, stojących obok siebie budynkach, nastąpiły wille w rozległych ogrodach, często dość znacznie oddalone od drogi. Kiedy trudno było zobaczyć z ulicy numer, musiałam wchodzić przez furtkę do ogrodu.

Przez całą ubiegłą dobę pokonywałam wiele trudności, aby znaleźć się w Starachowicach, które stały się dla mnie niekwestionowanym symbolem ocalenia. Pragnienie, by dotrzeć do tego miasta, było źródłem siły, koniecznej do omijania kolejnych niebezpieczeństw i przeszkód. Rodziło we mnie odwagę, pomysłowość i spryt – nie wiedziałam nawet, że posiadam takie cechy charakteru. Teraz, kiedy byłam już blisko, cel mojej 24-godzinnej podróży przestawał być wyraźny i zaczął budzić pewne wątpliwości.

Przyjechałam do Starachowic, bo było to jedyne miejsce po aryjskiej stronie, które znałam. Adres: „Pani Słowik, Starachowice, ulica Kilińskiego 4” – był wyryty w mojej pamięci. Maria Kamer¹¹, miła, trzydziestoletnia Polka, o jasnych włosach i niebieskich oczach, dała mi adres swojej matki i siostry, które tam mieszkały od wybuchu wojny.

¹¹ Maria Kamer – z domu Słowik, ur. w 1909 roku, zm. 4 listopada 1980 w Łodzi.

Wczesną jesienią 1942 Maria zjawiała się zupełnie przypadkowo w naszym gettowskim mieszkaniu, by kupić potrzebne jej rzeczy. Podczas jednego z jej pobytów u nas dowiedziałam się, że całe życie mieszkała w Łodzi, skąd została wysiedlona dwa lata temu. Ponieważ Niemcy pozwolili jej zabrać z mieszkania tylko ograniczoną liczbę rzeczy, starała się teraz uzupełnić braki u sprzedających wszystko bardzo tanio Żydów. Spodobała jej się szafa z dużym lustrem z naszej przedwojennej sypialni, ostatni porządny mebel z dawnych lat. Bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy, a ta szafa była za duża na warunki mieszkaniowe w getcie, więc byliśmy zadowoleni, że znalazł się ktoś, kto chce ją kupić.

Nieznamoma Polka sprawiała dobre wrażenie. Okazywała wrażliwość i zrozumienie dla beznadziejnej sytuacji Żydów zamkniętych w getcie. Pewnego razu, wzruszona do łez warunkami naszego życia, namawiała nas gorąco do ucieczki na aryjską stronę. W pewnej chwili, pod wpływem emocji i współczucia podała nam adres swojej najbliższej rodziny. Teraz przyszło mi na myśl, że jej starachowicka rodzina wcale nie musi być taka sama jak ona. Poza tym istniała ogromna różnica między okazaniem szczerego współczucia w pokoju na terenie koneckiego getta, a wpuszczeniem do własnego mieszkania Żydówki, niosącej ze sobą wyrok śmierci.

Maria, podając adres swojej matki w Starachowicach, zastrzegła, abym udała się tam tylko w ostateczności. Nie miałam żadnej wątpliwości, że dla mnie zaistniała ta „ostateczność”.

Przyjechałam do Starachowic również dlatego, że Sara z Helenką udały się tam przede mną. Chciałam wejść do ich mieszkania i prosić o pomoc, chociaż wiedziałam, że nie wolno mi ich narażać i że nie powinnam od nich niczego oczekiwać. Niemniej marzyłam, aby zjeść u nich gorący posiłek, odpocząć na łóżku i przez chwilę pooddychać rodzinną atmosferą. Chciałam móc rozplakać się nad moją bezradnością i znaleźć zrozumienie i radę.

Ale czy one tu w ogóle dojechały?

Znając z własnego doświadczenia niebezpieczeństwa ustawicznie czyhające na Żydów, szczególnie w pociągach, nie byłam tego pewna. A jeśli nawet szczęśliwie znalazły się w tym mieście – czy zostały życzliwie przyjęte pod starachowickim adresem? Czy jeszcze tam się

znajdowały? A może dawno zostały wyrzucone i takie samo przyjęcie czeka teraz mnie.

Nie mogłam się doliczyć, ile dni upłynęło od chwili pożegnania z Sarą i Helenką w warszawskim hotelu. W ostatnim okresie mego życia były takie minuty, godziny i dni, które wydłużały się w nieskończoność. Pamiętałam jedynie, że był rok 1942, ale nie wiedziałam, czy jeszcze listopad, czy też zaczął się już grudzień.

Czarna ściana lasu przybliżyła się, a na domach pojawiły się jednocyfrowe numery. Dwa identyczne, jednopiętrowe budynki stały przytulone do siebie. Na jednym z nich figurował numer cztery. Otworzyłam furtkę i weszłam do małego ogródka. Wąska ścieżka prowadziła prosto na frontowy ganek. Zaczęłam pukać do drzwi, najpierw delikatnie, a potem coraz energiczniej. Po dość długim czasie jakiś męczyzna odezwał się, że mieszkanie pani Słowik znajduje się na piętrze, a wejście jest od podwórza.

Kilka schodków prowadziło do zamkniętych drzwi wejściowych. Znowu musiałam długo i głośno pukać, zanim wewnątrz domu odezwał się głos. Przez zamknięte drzwi jakaś kobieta pytała, jak się nazywam, skąd pochodzę, do kogo i po co tutaj przyszłam. Podałam jej dane personalne, które figurowały w dokumentach zabranych mi przez gestapo, dodając, że przyjechałam z Warszawy do pani Słowik. Słyszałam pukanie i głośną wymianę zdań. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły. Na wprost mnie stała olbrzymiej tuszy kobieta, zagradzająca sobą wejście. Poczułam na sobie jej przenikliwy wzrok. Miałam wrażenie, że w jednej chwili udało jej się zobaczyć wszystko, co usiłowałam przed nią ukryć. Przeraziła mnie możliwość, że właśnie ona jest osobą, do której przyjechałam.

Nagle znad balustrady na pierwszym piętrze odezwała się inna kobieta, która zapewniła panią Helenę (osobę zagradzającą mi drogę), że jestem przez nią oczekiwana. Potężna kobieta usunęła się na bok, pozwalając mi wejść na schody. Osoba stojąca na piętrze przywitała się ze mną jak z dobrą znajomą, głośno i wylewnie. Równocześnie pchnęła mnie do środka mieszkania i szybko zamknęła za nami drzwi na klatkę schodową. Znalazłam się nagle w jasnym, kolorowym, ciepłym pokoju i ta gwałtowna zmiana tak mnie zaskoczyła, że nie mogłam

zrobić kroku ani wypowiedzieć słowa powitania. Stałam oniemiała przy samych drzwiach, jakby wrośnięta w podłogę.

Znalazłam się nagle w dawno zapomnianym świetle światła, czystości i kolorów. Zdawało mi się, że za drzwiami tego pokoju pozostawiłam zmorę ustawicznie doganiającej mnie niemieckiej pogoni. Pętla na mojej szyi przestała się zaciskać. Ogarnęło mnie uczucie, jakbym już ostatecznie zdołała uciec prześladowcom i znalazła bezpieczne miejsce.

Pokój, do którego weszłam, był tak mocno oświetlony, że instynktownie szukałam wzrokiem źródła tej jasności. Zaskoczyło mnie, że zwykła żarówka elektryczna pod przezroczystym, szklanym kloszem mogła zalać światłem całą przestrzeń. Po latach spędzonych w getcie, gdzie jedynym źródłem światła był płomień stale wybuchającej karbidówki, ta zadziwiająca jasność oślepiła mnie.

Białe, czyste ściany, ozdobione obrazami w złotych ramach, kontrastowały z jaskrawą czerwienią podłogi. Na parapecie okna, częściowo zasłoniętym tiulowymi firankami, stały doniczki z kwiatami. Dwa pokryte śnieżnobiałą i wyprasowaną pościelą szerokie łóżka z kolorowymi dywanikami przed nimi zajmowały środek pokoju.

Przypomniał mi się pokój o szarych, brudnych ścianach, w którym mieszkałam, a także pokryte niedopraną pościelą łóżko, na którym w ostatnich latach sypiałam, często całkowicie ubrana.

Na jednym łóżku siedziała starsza kobieta. Jej ładna twarz zwrócona była w moim kierunku. Nie spuszczała ze mnie wzroku, jej ciemne oczy lustrowały mnie od stóp do głowy. Pod wpływem jej spojrzenia poczułam się brudna, potargana i źle ubrana. Siwe włosy starszej pani były skręcone szmatkami w rolki wokół całej głowy. Zaskoczyło mnie, że w tych czasach, dla mnie pełnych tragedii, kobiety dbają o swój wygląd i kręcą sobie na noc włosy.

Ciszę przerwała stojąca obok mnie młodsza pani.

– Nazywam się Dziunia Słowik¹² – powiedziała podając mi rękę.

Była to trzydziestoletnia kobieta o włosach blond z lekko rudawym odcieniem. Na jej pokrytej piegami twarzy o bardzo jasnej cerze

12 Olga (Dziunia) Słowik – ur. w 1907 roku, zm. 26 lutego 1946 w Łodzi.

uwydatniały się czerwone policzki. Miała niebieskie, mocno podkrążone oczy i ostry wyraźny nos. Nie była podobna do osoby siedzącej na łóżku ani do Marii Kamer z Końskich. Jej zaciśnięte usta, wypieki na policzkach i szyi wyraźnie wskazywały, że jest zdenerwowana.

– A to jest moja matka¹³ – dodała.

Podeszłam do siedzącej na łóżku kobiety. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że nie mam imienia i nazwiska. Nie mogłam się zmusić, aby przedstawić się nazwiskiem Nowakowska ani prawdziwym Kon. Wymamrotałam więc tylko używane w Warszawie imię Maria. Było to jedyne słowo, które zdołałam wypowiedzieć.

Starsza pani w dziwny sposób wyciągnęła do mnie rękę. Kiedy ją uścisnęłam, zrozumiałam, że została podana do pocałowania. Mimo że dotąd nie spotkałam się z całowaniem w rękę kobiety przez inną kobietę, odczułam, że popełniłam nietakt.

Żadna z obu kobiet nie zadała mi dotychczas ani jednego pytania. Ja natomiast stałam bez ruchu, niezdolna do wypowiedzenia choćby jednego zdania, które mogłoby usprawiedliwić moją obecność w ich domu. Stałe widziałam urzekającą jasność pokoju i panujący w nim spokój. Poczułam się tutaj bezpieczna i wiedziałam, że dobrowolnie stąd nie wyjdę.

Dziunia przerwała długo trwającą ciszę i kazała mi wejść do sąsiadującej z pokojem kuchni. Ta izba była również bardzo czysta i przyjemnie urządzona. Pośrodku stał stół nakryty serwetą i kilka krzeseł. Pod ścianą znajdowało się zaścielone łóżko.

– Proszę położyć się spać, dobranoc – powiedziała Dziunia i natychmiast wyszła, zamykając za sobą drzwi do pokoju.

Leżąc w łóżku uświadomiłam sobie, że nie widziałam tutaj żadnego śladu obecności Sary i Helenki. Zmęczenie nie pozwoliło mi jednak zastanawiać się nad tym.

13 Karolina Słowik – ur. w 1887 roku, zm. 14 sierpnia 1957 w Łodzi.

W POLSKIM DOMU

W szybko następujących po sobie marach sennych uciekałam przed pogonią Niemców albo bezskutecznie szukałam noclegu na nadchodzącą noc. Czasem moi prześladowcy pozwalali mi wymknąć się z zastawionych siideł, ale zaraz potem łapali mnie znowu w innym miejscu. Niekiedy łaskawi ludzie przyjmowali mnie na nocleg, ale po krótkim czasie wyrzucali mnie z powrotem na ulicę.

Śniłam, że ukryłam się za szafą na strychu obcego domu w konczym getcie. Granatowy policjant wyciągnął mnie stamtąd i trzymając mocno za ramię prowadził do Niemców. Nie reagował na moje prośby, mimo że błagałam go o wypuszczenie. Nagle uświadomiłam sobie, że on ich nie słyszy, bo moje słowa nie mają dźwięku.

Tłum przechodniów otoczył mnie na warszawskiej ulicy. Stojący wokoło ludzie wyśmiewali się ze mnie i szydzili z ukrywających się Żydów. Oglądali mnie ze wszystkich stron i złościли się na mnie, że będąc Żydówką nie różnię się od polskiej dziewczyny. Gestapowcy wykryli, że mieszkam w hotelu bez dokumentów. Kazali mi ubrać się i iść z nimi na Szucha. Ponieważ nie chciałam tego zrobić, prowadzili mnie przez ulice w nocnej koszuli i boso.

Na brukowanym dziedzińcu Niemcy bawili się mną jak piłką. Śmiejąc się, rzucali mnie wysoko w górę. Lecąc widziałam trupie czaszki na ich przekrzywionych czapkach. Gdy spadałam, chwyтали mnie w powietrzu lub odbijali na kamieniach.

Byłam w jakimś małym miasteczku i padał śnieg. Nadchodził zmierzch i zbliżała się godzina policyjna. Bezskutecznie szukałam

miejsca, żeby schronić się przed nocą. Wszystkie bramy były zamknięte i nikt nie odpowiadał na moje pukanie. Drogocenny czas uciekał, a ja wciąż pozostawałam na ulicy. Bezradna usiadłam na mokrym śniegu. Czułam, że powoli zamieniam się w lód.

Jedne makabryczne sny kończyły się i od razu zaczynały się inne, podobne do poprzednich. Zmieniały się w nich tylko miejsca i prześladowające mnie postacie. Natomiast przerażenie i bezradność pozostawały te same. Wielokrotnie budził mnie mój własny krzyk i płacz. Otwierałam wówczas oczy, ale ponieważ nie mogłam rozpoznać miejsca, w którym byłam, szybko zamykałam je z powrotem.

Czasem słyszałam głos kobiety, która mówiła, że należałoby mnie obudzić. Chciałam ją poprosić, żeby to zrobiła i uwolniła mnie od męczących snów, ale nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu.

Raz wydawało mi się, że dziewczyna o jasnych włosach rozpala ogień. Słyszałam syczenie płomieni i czułam ich gorąco. Ogarnęło mnie przerażenie, że płonie miejsce, w którym udało mi się schronić przed nocą. Nie mogłam jednak wykonać żadnego ruchu i jak sparaliżowana czekałam na to, co miało nastąpić.

Wreszcie opuściły mnie koszmarne sny. Obudzona, przez pewien czas nie wiedziałam, gdzie jestem. Powoli jednak przypominałam sobie przyjazd do Starachowic i moje nocne wtargnięcie do mieszkania obcych kobiet. W pewnej chwili zobaczyłam obie panie Słowik, stojące przy mnie, i poczułam przerażenie na myśl, że każą mi zaraz opuścić ich mieszkanie.

Z wielkim wysiłkiem uśmiechnęłam się do nich i przeprosiłam za długie wylegiwanie się w łóżku. Byłam bardzo zażenowana, gdy dowiedziałam się, że spałam czterdzieści parę godzin. Dziunia powiedziała, że często płakałam i krzyczałam przez sen. Ponieważ takie odgłosy mogły wywołać podejrzenia sąsiadów, wielokrotnie starała się mnie obudzić, ale bez skutku.

Kiedy byłam już ubrana, panie zaprosiły mnie na obiad. Siedząc przy stole, poczułam tak silny głód, że musiałam użyć całej siły woli, żeby nie rzucić się na jedzenie. Z niepokojem zauważyłam, że moja porcja zupy jest bardzo mała i sięga poniżej załamania talerza.

Chociaż moja uwaga skoncentrowana była głównie na jedzeniu, kątem oka widziałam, jak starsza pani obserwuje moje zachowanie przy stole. Jej krytyczne spojrzenie spowodowało, że czekałam na zaproszenie do rozpoczęcia jedzenia. Mimo że głód skręcał mi wewnątrzności, wolno, hamując drżenie rąk, podnosiłam do ust każdą łyżkę. Zdawało mi się, że pierwszy raz w życiu mam w ustach tak dobre jedzenie. Parę łyżek zupy wywołało u mnie zaskakujące uczucie sytości, nie byłam już w stanie zjeść niczego więcej.

Obie panie były ładnie ubrane, miały starannie ułożone włosy, upudrowane twarze i umalowane usta. Ich wygląd i sposób zachowania sprawiały wrażenie elegancji i dobrego tonu. Dziunia prowadziła przy stole lekką rozmowę, w której starałam się również brać udział. Chwaliłam jedzenie, urządzenie mieszkania i uprzejmość gospodyni, starając się podtrzymać przyjemny ton konwersacji i nie dopuścić do poważnej rozmowy. Na moją prośbę obie panie zaczęły nazywać mnie Marylą, ponieważ ta odmiana imienia Maria najbardziej im się podobała. Dziunia również chciała, abym zwracała się do niej po imieniu, tłumacząc to koniecznością zachowania pozorów.

Po skończonym obiedzie gospodyni zawiadomiły mnie, że spodziewają się gości. Bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że oczekują pani Petroneli z córeczką. Było to bowiem imię Sary, która według polskich dokumentów nazywała się Petronela Rudna. Wiadomość, że ona i Helenka dotarły do tego domu i żyją w tym samym mieście, obudziła we mnie nadzieję również na moją przyszłość.

Zwróciłam się do starszej pani Słowik, aby pozwoliła mi sprzątnąć po obiedzie. Moja chęć pomocy wyraźnie ją zaskoczyła. Całą pracę wykonałam dokładnie i szybko. Było mi przyjemnie, kiedy zobaczyłam w jej oczach aprobatę i usłyszałam pochwałę.

Spotkanie z moją rodziną było bardzo emocjonalne. Podczas naszej rozłąki Sara i Helenka wyraźnie zeszczuplały. Obie miały ziemistą cerę i zapadnięte oczy. Sara osiwiła w ciągu tego krótkiego czasu, a na jej twarzy pojawiły się głębokie bruzdy.

Helenka, uradowana moją niespodziewaną obecnością, ani na moment nie chciała mnie zostawić. Cały czas była tak wzruszona, że jej maleńka twarzyczka drżała od połykanych łez. Mimo to ani razu nie

zwróciła się do mnie po imieniu. Wiedziała, że w żadnej sytuacji nie wolno jej użyć mego prawdziwego imienia, a najprawdopodobniej nie mogła nazywać mnie inaczej. Sara była zarówno ucieszona niespodziewanym spotkaniem ze mną, jak i poważnie zaniepokojona. Rozumiała, że musiało stać się coś bardzo złego, skoro opuściłam Warszawę i przyjechałam do Starachowic. Zaskoczyły ją również zmiany fizyczne, które u mnie zauważyła. Według niej, w ostatnich tygodniach moje rysy nabrały nieprzyjemnej ostrości.

Na prośbę obu pań Słowik, Sara opowiedziała o swoim życiu w Starachowicach. Dzięki pomocy pana Bolesława¹⁴, znajomego Dziuni, udało się jej wynająć pokój u rodziny robotniczej, gdzie została formalnie zameldowana. Gospodarzom wyjaśniła, że jest żoną oficera, który nie wrócił z kampanii wrześniowej 1939 roku. Dała im również do zrozumienia, że na skutek osobistego zagrożenia musiała nagle opuścić mieszkanie w Warszawie i w związku z tym nie mogła zabrać bagażu.

Mimo że historia była prawdopodobna, bo takie sytuacje zdarzały się dość często, Sara w krótkim czasie zaczęła wyczuwać wzrastającą nieufność otoczenia. Sąsiadów intrygowało zachowanie Helenki, według nich odmienne od jej rówieśników. Dziwiło ich, że stale przebywa w mieszkaniu z matką i stroni od innych dzieci, bawiących się na podwórzu. Uważali, że jest niegrzeczna, ucieka od dorosłych i nie odpowiada na zadawane jej pytania. Właścicielka mieszkania przesadnie interesowała się codziennym życiem nowych lokatorek. Szczególnie ciekawił ją ich stosunek do religii i regularność uczęszczania na nabożeństwa. W każdą niedzielę nalegała na wspólne pójście do kościoła, przystąpienie do spowiedzi oraz komunii świętej.

Sara wyczuwała powstającą wokół niej pustkę. Sąsiedzi często milkli, gdy zbliżała się do nich. Inaczej niż w pierwszych dniach, obecnie nikt nie zapraszał jej do siebie i nie odwiedzał. Niepokoiło ją również, że nie mogła znaleźć żadnego zarobku, mimo że wszędzie wokół pytała o pracę. Proponowała między innymi, że za małą opłatą będzie uczyć dzieci, które nie mogły chodzić do szkoły.

¹⁴ Bolesław – Stanisław Kostrzewa, zameldowany pod tym nazwiskiem przy ul. Kilińskiego 4.

Dzięki grzeczności pana Bolesława, udało się jej sprzedać jedną złotą monetę, ale uzyskane pieniądze szybko zniknęły, wydawane na komorne i jedzenie. Sara uważała, że jej sytuacja w Starachowicach jest ciężka i – wobec wzrastających podejrzeń otoczenia – niebezpieczna.

Obie panie Słowik oceniały położenie Sary o wiele lepiej niż ona sama. Uważały, że niespodziewane zjawienie się kobiety z dzieckiem w małym mieście, jakim były Starachowice, wywołało naturalną ciekawość mieszkańców. W tym odruchu prostych ludzi nie widziały zagrożenia i niepokój Sary przypisywały jej przewrażliwieniu. Były przekonane, że sąsiedzi szybko zaspokoją swoją ciekawość i ułatwią jej znalezienie pracy. Zapewniały, że nikt nie może jej posadzać o żydostwo, ponieważ ma typowo aryjski wygląd, mówi poprawną polszczyzną i niczym nie różni się od otoczenia.

Opowiadanie Sary zmartwiło mnie. Nie podzielałam optymizmu moich gospodyń. Według mnie zaciekawienie, jakie wywołała Sara, było spowodowane podejrzeniem, że jest Żydówką, a to oczywiście wiązało się z poważnym zagrożeniem. Zrozumiałam, że nie mogę liczyć na jej pomoc. Przygniotła mnie świadomość, że znowu jestem zdana wyłącznie na siebie.

Dziunia zwróciła się do mnie, abym wyjaśniła, w jakim celu tak nieoczekiwanie zjawiłam się u nich w Starachowicach.

Zaczęłam od stwierdzenia, że nie mogłam zostać w Warszawie, ponieważ straciłam wszystkie dokumenty. Kiedy jednak miałam opisać, w jaki sposób to się stało, wewnętrzne ostrzeżenie wstrzymało mnie przed powiedzeniem prawdy. Pomyślałam, że jak przysłowiowa kropla przelewa pełny dzban, tak ta informacja może stanowić dla Dziuni i jej matki o jedno zagrożenie za dużo. Zdecydowałam się zataić, że gestapo zabrało mi dokumenty i że nie zgłosiłam się na Szucha po ich odbiór. Zamiast tego powiedziałam, że zostałam okradziona na ulicy w Warszawie. Dalsze wypadki opisałam dość dokładnie. Mówiłam o utracie obiecanej pracy, o trudnościach z wydostaniem się z Warszawy i o długiej podróży do Starachowic.

Opowiadając, na nowo przeżywałam nie kończące się niebezpieczeństwa i własną bezradność. Kiedy zamilkłam, zobaczyłam głębokie

wzruszenie na twarzach słuchaczek. Przez pewien czas nie powiedziały ani słowa, jakby moje przeżycia odebrały im mowę. Wreszcie Dziunia przerwała ciszę, mówiąc, że dołoży wszelkich starań, aby uzyskać dla mnie nowe dokumenty. Nie zdążyłam jej jeszcze podziękować, kiedy Sara oznajmiła, że zbliża się godzina policyjna, szybko się pożegnała i wyszła razem z Helenką. Jej nagłe odejście wyraźnie zaskoczyło obie panie. Widocznie oczekiwały, że Sara zabierze mnie do siebie i że jeszcze dziś opuszczę ich mieszkanie.

W pokoju zapanowała nieprzyjemna cisza. Obie panie były wyraźnie zdenerwowane. Nie zaprosiły mnie przecież, żebym została, a moja obecność w ich mieszkaniu o tej porze zmuszała je do udzielenia mi następnego noclegu. Rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu rozładowania napiętej atmosfery, zaczęłam sprzątać ze stołu i przygotowywać się do zmywania naczyń. Żadna z pań nie reagowała na to, co robiłam.

Nagle rozległo się pukanie i do mieszkania wtargnęła ta sama kobieta, która wpuściła mnie w nocy do domu. Miała około pięćdziesięciu lat, zadarty nos, wąskie świdrujące oczy i siwe włosy ściągnięte z tyłu głowy w mały kok. Mimo swojej olbrzymiej tuszy poruszała się zwinnie i w ułamku sekundy znalazła się koło mnie.

– Pani Dziuniu, widzę, że panie mają gości. Proszę mi przedstawić tę młodą osobę. Już dwa dni czekam, żeby ją poznać – powiedziała, wyciągając do mnie rękę.

– To jest Marylka, córka naszych przyjaciół z Warszawy, która przyjechała nas odwiedzić. Pani Helena Kostrzewowa, właścicielka tego domu i nasza najbliższa sąsiadka – Dziunia przedstawiła nas sobie.

Poczułam uścisk wilgotnej ręki. Na twarzy Heleny pojawił się uśmiech zadowolenia. Powiedziała mi parę komplementów, dodając, że już podczas pierwszego spotkania rozpoznała we mnie dziewczynę ze stolicy. Nadmieniła, że chciałaby dowiedzieć się czegoś o życiu w Warszawie i widać było, że miała wielką chęć porozmawiać. Obie panie Słowik starały się jednak jak najszybciej zakończyć jej wizytę.

Helena zapytała, jak długo będą trwały moje odwiedziny. Dodała, że gdyby miały przekroczyć parę dni, to zgodnie z obowiązującym zarządzeniem będzie musiała mnie oficjalnie zameldować. Po czym,

wyraziwszy nadzieję, że będziemy miały jeszcze okazję dłużej porozmawiać, pożegnała się i wyszła.

Tego wieczoru, gdy leżałam już w łóżku, usłyszałam przez zamknięte drzwi burzliwą rozmowę prowadzoną w sypialni. Pani Słowik mówiła o śmiertelnych konsekwencjach obecności Żydówki pod ich dachem i potępiała lekkomyślność Dziuni, która trzymała mnie w mieszkaniu. Obawiała się wścibstwa Heleny i innych sąsiadów. Żądała, aby córka nazajutrz zmusiła mnie do opuszczenia ich domu. Dziunia nie zaprzeczała argumentom matki. Tłumaczyła się jednak, że nie była zdolna wypędzić mnie na ulicę, gdzie bez ich pomocy mogłabym zginąć. Zgadzała się na to, aby matka sama porozmawiała ze mną i przeprowadziła wszystko to, co według niej należało zrobić. Ich rozmowa przechodziła chwilami w głośną awanturę, której towarzyszył płacz starszej pani.

Do późna w nocy słyszałam w sypialni zdenerwowane głosy matki i córki. Były one tak wyraźne, że miałam wrażenie, iż panie chcą, aby ich słowa dotarły do mnie. Obie zgodnie chciały jak najszybciej się mnie pozbyć, ale każda zrzucała przeprowadzenie tego na drugą. Wielokrotnie w rozmowie za ścianą powtarzało się: „Powiedz jej, żeby sobie poszła” – „Ty jej to powiedz”.

Słuchałam tego przerażona i dopiero, gdy za ścianą zapanowała cisza, mogłam zebrać myśli. Zjawiłam się w spokojnym i ustabilizowanym życiu tych kobiet jak grom z jasnego nieba, wnosząc do ich domu wyrok śmierci. Wiedziałam teraz, co one czują, ale starałam się o tym nie myśleć.

Przez jakiś nadzwyczajny splot okoliczności znalazłam dwie Polki o sercach pełnych współczucia i zrozumienia. Tym kobietom, mimo ich bezpośredniego zagrożenia, trudno było wyrzucić mnie ze swego mieszkania, w którym ja, po raz pierwszy od chwili ucieczki z getta, poczułam się bezpieczna.

Postanowiłam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby u nich pozostać.

W OCZEKIWANIU NA DOKUMENTY

Podczas bezsennej nocy postanowiłam zdobyć sympatię obu pań, przejmując na siebie jak najwięcej prac domowych. Tego dnia wstałam bardzo wcześnie rano. Wiedziałam już, że Dziunia przed wyjściem do pracy rozpała ogień w kuchennym piecu i szykuje śniadanie dla siebie i matki. Moim pierwszym zadaniem miało więc być zastąpienie jej w tych czynnościach. Chciałam przywitać ją gorącym jedzeniem w ogrzanej kuchni.

Rozpalenie ognia w piecu nastęczyło mi dużo trudności. Rachi- tyczny płomień tlił się przez chwilę, po czym gaś – nie pomagało osłanianie go rękami ani dmuchanie. Zaskoczona moją nieumiejęt- nością wykonania takiej prostej, zdawałoby się, roboty, żałowałam, że nie wyniosłam z domu potrzebnego doświadczenia.

Nie mogłam sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek w życiu roz- palała ogień w piecu. Przed wojną mieliśmy służącą, która zajmowała się całym gospodarstwem. Mało przebywałam z nią w kuchni i jeszcze mniej interesowałam się tym, co robi. Podczas wojny Sara i jej matka przejęły obowiązek żywienia domowników. W tych zajęciach tylko niekiedy brałam udział. Z czasem coraz rzadziej jedliśmy gorące po- siłki, bo nie było z czego ich przyrządzać. Jediną gotowaną potrawą była zupa, którą robiło się ze zdobytych jarzyn (kartofli, marchwi, brukwi), często nadgniłych lub przemarzniętych.

Gdy w getcie skończyły się zapasy drewna i węgla, przedwojenne kuchnie stały się bezużyteczne. Gotowanie odbywało się na małym żelaznym piecyku z długą rurą odchodzącą za okno. Był on ważnym

urządzeniem, szczególnie zimą, ponieważ stanowił jedyne źródło ciepła w naszym mieszkaniu. Paliwo do niego było drogie i trudno dostępne. Do rozpalania służył torf lub trociny, zanieczyszczone mo- krą ziemią; ta mieszanina często rozsadzała całe urządzenie.

Po wielu próbach udało mi się w końcu rozpać ogień. Płomień ogarnął ułożone drewno, w piecu zaczęło przyjemnie huczeć i w izbie zrobiło się ciepło.

Kiedy Dziunia weszła do kuchni, stół był nakryty i śniadanie przy- gotowane. Jej zadowolenie było dla mnie najwyższą zapłatą. Zaprosiła mnie, bym zjadła razem z nią. Byłam jej za to wdzięczna, bo na widok chleba znowu zaczął męczyć mnie głód. Dziunia była tego poran- ka uśmiechnięta, serdeczna, na jej twarzy nie było śladu nocnego zdenerwowania. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jakieś ciepło promieniuje od tej kobiety. Możliwe, że to wrażenie wywoływały jej jasnoniebieskie oczy, żywy sposób mówienia i bezpośredniość. Wy- dawało mi się, że traktuje mnie jak bliską osobę, która naprawdę przyjechała w odwiedziny.

Pani Słowik również przywitała mnie w miły sposób i taktownie nie okazywała uczuć, o których mówiła w nocy do córki. Podczas całego dnia, który spędziłyśmy razem, starałam się wyręczać ją we wszystkich zajęciach. Chłonełam jej codzienne zwyczaje i obser- wowałam uważnie każdą czynność. Patrzyłam, w jaki sposób przy- rządziła jedzenie, gotowała potrawy, obierała jarzyny i notowałam w pamięci szczegóły z tym związane. Starsza pani była dumna ze swoich umiejętności kulinarnych i chętnie dzieliła się ze mną po- siadaną wiedzą.

Poznawałam również mieszkanie i dwa przyległe poddasza, wy- korzystywane jako łazienka, spiżarka i podręczny magazyn. Do- wiedziałam się, gdzie mają swoje miejsca przedmioty codziennego użytku. Zaczęłam słać łóżka i sprzęta, stosując się do wszystkich poleceń gospodyni. Nie szczędziłam wysiłku; starałam się być przy tym uśmiechnięta, pogodna i zabawiać starszą panią rozmową. Pani Słowik była pedantką i było mi przyjemnie, kiedy pozytywnie oceniała moje wysiłki. Jednak mimo że chwaliła wykonaną pracę, mogłam zauważyć jej niechęć do mnie, ukrytą pod uprzejmością.

Wieczorem, gdy obie panie poszły spać, słyszałam przez zamknięte drzwi taką samą rozmowę, jak poprzedniej nocy. Pani Karola płakała i nalegała, abym natychmiast opuściła jej mieszkanie. Dziunia zgadzała się na to, ale nie chciała brać udziału w wyrzucaniu mnie i proponowała matce, żeby zrobiła to sama.

Minęło parę dni. Przejęłam palenie w piecu, przygotowywanie prostego jedzenia i sprzątanie mieszkania. Stale wynajdywałam nowe rzeczy wymagające dodatkowego umycia, wyczyszczenia lub wypozerowania. Wielokrotnie podczas zmiatania zbierałam rozsypane na podłodze pieniądze. Raz nawet głęboko pod łóżkiem znalazłam złotą broszkę. Bez słowa kładłam na stole znalezione rzeczy. Zrozumiałam, że moja uczciwość poddawana jest próbie i sprawiało mi to przykrość. Przed wojną Sara miała zwyczaj podrzucać pieniądze nowo przyjmowanym służącym. Może dla tamtych wiejskich kobiet miały one tak duże znaczenie, że gotowe były je ukraść. Dla mnie nie złota broszka, ale prawo do łóżka w tym domu stanowiło nieocenioną wartość.

Codziennie zajęcia zmuszały mnie, abym wyszła poza obręb mieszkania; nie mogłam pozwolić, by Dziunia lub jej matka dźwigały ciężary po schodach. Zaczęłam więc przynosić opał z komórki, wodę ze studni, wynosić śmieci i pomyje.

Studnia na podwórzu miała drewniany wał, zakończony metalową korbą. Na wale był nakręcony sznur z przywiązany na końcu wiadrem. Moje pierwsze próby nabrania wody skończyły się niepowodzeniem – wiadro pływało na powierzchni. Kiedy usiłowałam pokonać tę trudność, usłyszałam za plecami śmiech. Moja ignorancja rozbawiła stojącą koło studni dziewczynę w moim wieku.

– Nabierasz wodę jak Żydówka – powiedziała i jednym szarpnięciem sznura zanurzyła wiadro w wodzie.

Na dźwięk słowa „Żydówka” po moim ciele przeleciała, jak prąd elektryczny, fala gorąca. Uśmiechnęłam się jednak i podziękowałam za pomoc, tłumacząc się, że w Warszawie nie widziałam takich studni.

Nocne rozmowy między matką i córką na mój temat wciąż się powtarzały. Często przechodziły w ostre słowne starcia i wówczas obawiałam się, że za chwilę otworzą się drzwi i któraś z pań każe mi natychmiast wynosić się z ich domu.

Pewnego wieczoru przyszedł do nas Stanisław, bliski kuzyn Heleny, właścicielki naszego domu. Był to czterdziestoletni mężczyzna, średniego wzrostu, o ciemnych wypomadowanych włosach i z krótkim wąsikiem.

Byłam przygotowana na jego przyjście, wiedziałam, że działa w podziemiu. Dziunia powiedziała mu otwarcie, kim jestem i skąd wzięłam się w jej domu. Doradzał, aby ograniczyć do minimum liczbę osób wtajemniczonych w moją sytuację. Ostrzegwał przed sąsiadami, szczególnie przed Heleną, która do tego stopnia nienawidziła Żydów, że mogła być niebezpieczna.

Stanisław przyrzekł, że wykorzysta swoje kontakty, by zdobyć dla mnie autentyczne dokumenty. Radził, abym do tego czasu jak najmniej wychodziła. Żegnając się, jeszcze raz zalecił nam wielką ostrożność i dodał, że w tym domu ściany mają uszy, a ludzie niebezpieczne charaktery. Życzył mi wiary w szybkie zakończenie wojny, zapewniając, że niedługo da znać o postępie sprawy.

Tej nocy rozmowa za ścianą między Dziunią i panią Karolą miała trochę inny charakter. W odpowiedzi na nalegania matki, abym opuściła jej dom, Dziunia prosiła ją o krótką zwłokę – do czasu, aż dostanę nowe dokumenty. Sprzeciw starszej pani był stosunkowo słaby.

W ten sposób dowiedziałam się, że otrzymałam prawo tymczasowego pobytu. Moja wdzięczność była wielka, ale przygniatał mnie problem, co zrobię po uzyskaniu papierów.

W ciągu następnych dni poznałam najbliższą rodzinę Słowików. Pani Karola miała troje dzieci – dwie córki i syna.

Dziunia była najstarsza z rodzeństwa. Pracowała obecnie jako kasjerka w „konsumie” żywnościowym przy fabryce zbrojeniowej w Starachowicach. Do jej zadań należało pobieranie od kupujących opłaty i sprawdzanie kartek zaopatrzeniowych, z których wycinała odpowiednie kupony na żywność. Racjonowane produkty przydzielano po stosunkowo niskich cenach wyłącznie pracownikom fabryk zbrojeniowych. Pensja Dziuni była nieduża, nie wystarczała na utrzymanie dwóch osób, a przysługująca jej przydział żywności nie pokrywał podstawowych potrzeb.

Dziunia zastosowała sprytną metodę, dzięki której mogła zaopatrzyć w jedzenie nie tylko siebie i matkę, ale również wiele innych

osób. Z jej pomocy korzystała cała rodzina, wielu przyjaciół i znajomych. Dla pewnych ludzi dostarczana przez nią żywność była jedynym źródłem przetrwania.

Dziunia przecinała kupony z kartek żywnościowych w taki sposób, że otrzymywała dowód na sprzedanie większej ilości żywności, niż to naprawdę miało miejsce. Dwie połówki jednego kuponu wykorzystywała do wydania dwóch racji; odcięte z trzech różnych kuponów trzy małe fragmenty, złożone razem, pozwalały uzyskać jeden dodatkowy przydział. W zakładach zbrojeniowych w Starachowicach była duża płynność personelu, szczególnie niemieckiego. Ich nie odebrane przydziały pokrywały nadwyżkę wydawanego towaru. Z tymi kombinacjami związane było niebezpieczeństwo, bo kontrola konsumpcji znajdowała się w rękach Niemców. Dziunia była świadoma, na co się naraża, ale to, że w tych ciężkich, wojennych warunkach może pomagać ludziom, dawało jej głęboką satysfakcję.

Najmłodszym dzieckiem pani Karoli był Zdzisław. Mieszkał niedaleko niej, ze swoją żoną Stasią i dwuletnią córeczką Alinką. Zdzisław rzadko przebywał w domu, często znikał na całe tygodnie. Kiedy pierwszy raz zjawił się u nas, wywarł na mnie nieprzyjemne wrażenie. W niczym nie przypominał sióstr ani matki. Miał 28 lat, ciemne włosy i oczy. Zachowywał się głośno i nonszalancko. Moja obecność w domu matki bardzo go zaskoczyła i najwyraźniej nie całkiem uwierzył w historjkę o mnie jako córce przyjaciół z Warszawy. Zaczął zasypywać mnie pytaniami, na które odpowiadałam nie przygotowana na egzamin, uważając na każde słowo.

Stasia robiła wrażenie łagodnej kobiety, przeciwieństwa swego męża. Pochodziła z Kołomyi, gdzie Zdzisław znalazł się ranny po zdemobilizowaniu w 1939 roku. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941, sprowadził ją i dziecko do Starachowic. Cała ta trzyosobowa rodzina była na wyłącznym utrzymaniu Dziuni.

W pierwszą sobotę mego pobytu zjawiła się u pani Karoli jej młodsza córka, Maria Kamer z Końskich. Nie od razu skojarzyła mnie z żydowską dziewczyną w getcie, której kiedyś dała adres swojej rodziny.

Tej nocy, za zamkniętymi drzwiami, toczyła się długa i burzliwa rozmowa między panią Karolą, Dziunią i Marią. Z pojedynczych słów,

które do mnie dochodziły, dowiedziałam się, że Maria podała nam adres swojej matki i siostry bez ich pozwolenia i w dodatku nigdy im o tym nie powiedziała. Już pojawienie się Sary bardzo je zdziwiło, natomiast moje wtargnięcie było dla nich całkowitym zaskoczeniem. Teraz obie panie zarzucały Marii, że samowolnie i lekkomyślnie postawiła je w trudnej sytuacji i naraziła na śmiertelne niebezpieczeństwo. Maria tłumaczyła się, że gdy była w getcie, wzruszyło ją nasze nieszczęście i chciała nas zachęcić do ucieczki. Nie przeszło jej wówczas przez myśl, że kiedykolwiek zjawimy się w Starachowicach.

Dzięki przyjazdowi Marii mogłam nareszcie uzyskać wiadomości o losie Żydów w koneckim getcie. Dowiedziałam się, że na początku listopada 1942 Niemcy i Łotysze przeprowadzili akcję likwidacyjną. Żydów wywieziono wagonami towarowymi w nieznanym kierunku. Mimo że Polakom nie wolno było zbliżać się do terenu getta ani przebywać koło torów kolejowych, wszyscy wiedzieli, że dzieją się tam straszne rzeczy. Krzyki i odgłosy strzałów słychać było w całym mieście. Po paru dniach tej akcji w getcie pozostało tylko niewielu Żydów.

W ciągu tej i następnych nocy szczególnie boleśnie odczuwałam samotność i tęsknotę za bliskimi. W dzień jednak starałam się być uśmiechnięta i wesoła. Nikt przecież nie lubi smutnych i nieszczęśliwych ludzi, a ja musiałam zdobyć uczucia obu pań Słowik.

Czasem, gdy nie mogłam spać, wstawałam z łóżka i wpatrywałam się w światła wartownicze położonego niedaleko obozu, w którym, jak mi powiedziano, zamknięci byli Żydzi. Kilkakrotnie widziałam, jak prowadzono ich wieczorem drogą koło naszego domu. Stałam wówczas ukryta za firanką i nie spuszczałam oczu z przesuwających się szeregów, bezskutecznie szukałam wśród nich jakiejś znajomej postaci. Ludzie ci, z gwiazdą Dawida na ubraniach, szli wolno, powłócząc nogami. Mimo że był mroźny grudzień, nie mieli na sobie palt.

Moje serce było z nimi.

Sara odwiedzała nas co kilka dni. Pani Słowik częstowała ją zwykle jakimś posiłkiem. Obserwowałam, jak ładnie Helenka zachowywała się przy stole. Była powściągliwa i opanowana, mimo że podawane jedzenie stanowiło dla niej niebываły przysmak. Czekwała na zaproszenie

gospodyni i za wszystko dziękowała. Zastanawiałam się, kiedy i gdzie to dziecko nauczyło się tak grzecznego zachowania. Na pożegnanie Dziunia zawsze dawała Sarze trochę żywności.

Czasem odprowadzałam je wieczorem do domu. Szłyśmy bocznymi drogami i ścieżkami wśród pokrytych śniegiem pól. Przeważnie nie widywałyśmy po drodze nikogo. Powiedziałam Sarze o wiadomościach z Końskich. Bolałyśmy nad losem matki Sary, Izia – asystenta ojca, naszych przyjaciół i znajomych. Zadawałyśmy sobie głośno pytania, gdzie oni wszyscy mogą obecnie przebywać i nie znajdowałyśmy odpowiedzi.

Dzieliłam się z nią smutnymi myślami na temat mojej najbliższej przyszłości. Spodziewałam się, że gdy dostanę obiecane dokumenty, zarówno Dziunia, jak i jej matka kategorycznie zażądają, abym opuściła ich mieszkanie. Dokąd wtedy pójdę? Co z sobą zrobię?

Sara nie była w stanie nic mi poradzić ani pomóc. Sama była w poważnych kłopotach.

Przychodziła mi do głowy myśl, aby pojechać na roboty do Niemiec. Mogłabym zgłosić się do Arbeitsamtu albo zmieszać się z Polkami podczas łapanki na ulicy. Zdawałam sobie jednak sprawę, że w obozie pracy miałabym małą szansę przeżycia. Skoszarowana gdzieś w Niemczech, nie mogłabym utleniać włosów i czarne odrosty szybko wydałyby mnie jako Żydówkę.

Coraz częściej myślałam o powrocie do getta w Końskich. Wiedziałam, że pozostali tam jacyś ludzie i sądziłam, że mogłabym się do nich przedostać. Byłabym wtedy wśród swoich. Nie miałam złudzeń co do Niemców i wiedziałam, że nie mogą planować niczego dobrego dla Żydów ocalałych po likwidacji getta. Gdyby jednak życie po aryjskiej stronie stało się dla mnie niemożliwe, nie pozostawało mi nic innego, jak podzielić ich los.

Postanowiłam napisać do mego przyjaciela Jacka, który najprawdopodobniej pozostał w getcie, z prośbą o radę i pomoc. Zdecydowałam, że poproszę Marię, która przyjeżdżała do Starachowic prawie co tydzień, aby doręczyła mu list i postarała się przywieźć odpowiedź.

ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA

Zbliżało się Boże Narodzenie 1942 roku i w domu Słowików zapanało gorączkowe podniecenie. Panie oczekiwały przyjazdu Marii z mężem i córką. Zdzisław, Stasia i mała Alinka byli również zaproszeni na całe święta. Dziunia opowiadała mi, że w ubiegłym roku nie chcieli nawet wracać do siebie na noc, spalili więc u nich na rozłożonych na podłodze siennikach.

Parę tygodni wcześniej zaczęły się olbrzymie przygotowania, które wykonywałam z całkowitym oddaniem, pod kierunkiem pani Karoli. Przede wszystkim należało przyszykować pościel na dodatkowe łóżka i białe obrusy na stoły oraz odświeżyć firanki wiszące w oknach.

Rozpoczęłam wielkie pranie. Robiłam je na wzór zawodowych praczek, które kiedyś pracowały w moim rodzinnym domu. Na strychu ustawiłam drewnianą balię, dużą beczkę napełniłam studzienną wodą i zamoczyłam brudną bieliznę na 24 godziny w mydlanym roztworze. Każdy kawałek bielizny tarłam na metalowej tarce, białe sztuki gotowałam w kotle na piecu kuchennym. Powtórnie uprane kawałki przepuszczałam przez tryby wyżymaczki, wielokrotnie płukałam, farbkowałam w niebieskim płynie i krochmaliłam.

Pranie zanosilałam na strych, na który wchodziło się po wąskiej drabinie, i tam rozwieszałam wszystko na sznurach. Wysuszona na mrozie bielizna była krucha i pachnąca świeżym powietrzem. Małe kawałki układałam sama, a duże sztuki rozciągałam i składałam razem z Dziunią. Całą bieliznę prasowałam na kuchennym stole żelazkiem

z rozpaloną do czerwoności duszą. Na koniec pani Karola układała złożone rzeczy w szafie.

Przez cały tydzień prania wnosилаm na piętro niezliczoną liczbę wiader wody i opału z komórki, wносиłam na dwór mydliny. Praco-wałam od wczesnego rana do późna w nocy, nie szcędząc wysiłku. W nagrodę byłam często chwalona przez Dziunię i panią Karolę.

Następnie zrobiłam dokładne świąteczne porządki w całym miesz-kaniu. Myłam, pastowałam i froterowałam podłogi, szorowałam drewniane półki na obu strychach i odkurzałam stojące tam weki z przetworami.

Ustawiając te zapasy z powrotem zauważyłam, że na słoikach z na-poczętymi konfiturami zaznaczony był ich poziom. Trochę z przekory, ale bardziej z niepohamowanego łakomstwa, po kryjomu wyjadałam usmażone w cukrze płatki różane, wiśnie, truskawki i zielone pomido-ry. Rozkoszując się tymi wspaniałościami myślałam o Helence, która nigdy w życiu nie miała w ustach takich smakołyków i postanowiłam, że przy najbliższej sposobności dam jej trochę spróbować. Po uczcie zmywałam ze szkła stary poziom konfitur i zaznaczałam nowy.

Najwięcej jednak czasu i pracy zajmowało przygotowywanie świą-tecznego jedzenia. Pani Karola była mistrzynią w tej dziedzinie i osobiście nadzorowała wykonanie każdej potrawy. Zaczęłyśmy piec ciastka, makowce, nugaty i torty. Tarłam mak z cukrem do konsystencji masła, ugniatałam ciasto drożdżowe, aż odchodziło od ręki, ubijałam białka na zimnym powietrzu, aż widelec stawał w twardej pianie, ucierałam żółtka z cukrem i miazdżyłam orzechy w ciężkim moździerzu. Ilość szykowanych ciast, pieczonego chle-ba, marynowanego mięsa i wędlin była tak duża, że wprowadzała mnie w zupełne oszołomienie. Pani Karola wydawała się jednak stale niespokojna, nie dowierzając ani ilości, ani jakości potraw. „Święta przecież nadchodzą” – powtarzała i to stwierdzenie miało uzasadnić jej niepokój.

Po ciężkim i długim dniu zasypiałam natychmiast, ledwo dotknę-łam głową poduszki. Codzienny wysiłek i zmęczenie chroniły przed nocnymi rozmyślaniami i tłumili lęk, który rozrastał się we mnie w każdej wolnej chwili. Wmawiałam sobie także, że moja usługa

i przydatność będą zauważone i przychylnie ocenione przez panią Karolę. Była to dla mnie jedyna droga, aby stać się lubianym domow-nikiem, a może nawet niezastąpioną pomocą.

W tym okresie byłam coraz bardziej nienasycona i stale głodna. Mimo że panie nie żałowały mi jedzenia i zawsze zapraszały, abym dużo nakładała na talerz, musiałam dożywiać się między posiłkami. W efekcie ustąpił ziemisty kolor twarzy i na moich policzkach pojawiły się kolory. Zniknęły ropne wrzody, pokrywające dotychczas moje ciało i powróciła menstruacja, której nie miałam od dwóch lat. Wyglądałam o wiele lepiej, zdrowiej i ładniej.

Pewnego dnia Dziunia przyniosła wysokie, zielone drzewko, które ustawiłyśmy pośrodku pokoju. Panie ubrały choinkę przechowanymi z poprzednich lat ozdobami, rozwiesiły również upieczone ciastka i cukierki, rozsypały na gałęziach cienkie paski białego papieru. Pod drzewkiem ułożyły prezenty dla obu wnuczek pani Karoli. W całym mieszkaniu przyjemnie pachniało lasem.

Obserwowałam radosne podniecenie Dziuni i jej matki – chcia-łam, żeby ich nastrój udzielił się również mnie. Było to pierwsze Boże Narodzenie, z którym bezpośrednio się zetknęłam; dotychczas wiązało się ono dla mnie jedynie z zimowymi wakacjami. W tym okresie w szkole stała udekorowana choinka, a na lekcjach śpiewano kolędy. Moi polscy rówieśnicy z radością oczekiwali nadejścia świąt. Zazdrościłam im tego, a szczególnie ozdobionej choinki. W moim rodzinnym domu nie obchodziło się żadnych świąt i w dzieciństwie brakowało mi związanej z nimi uroczystej atmosfery.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Pani Karola od rana zajęta była swoją toaletą. Zauważyłam, że ułożenie włosów nastęrczało jej dużo trudności, więc zaferowałam pomoc. Zgodziła się, nie ukry-wając braku zaufania do moich umiejętności w tej dziedzinie. Mnie samą przeraziła moja zuchwałość. Nigdy nikomu nie układałam wło-sów i nawet nie widziałam, jak robi to fryzjer. Siwe włosy pani Karoli były cienkie i delikatne jak jedwab. Najpierw usztywniłam je trochę, smarując krochmalem, potem wszystko już poszło dość łatwo. Efekt wypadł nadspodziewanie dobrze i ładna twarz pani Karoli promieniała zadowoleniem. Następną moją klientką została Dziunia.

Tego dnia przyjechali goście z Końskich. Mąż Marii, Mieczysław, przystojny mężczyzna, z uśmiechem wyciągnął do mnie rękę na przywitanie. Nagle przyjemny wyraz jego twarzy uległ całkowitej zmianie. Zaskoczyła mnie ta gwałtowna i niezrozumiała reakcja. Nie mogłam uwierzyć, aby jedno krótkotrwałe spojrzenie wystarczyło mu, by rozpoznać we mnie Żydówkę. Krysia, siedmioletnia córka Marii, odnosiła się do mnie z wyraźną niechęcią, jakby była zazdrosna o obecność obcej osoby w domu babki. Zjawił się również Zdzisław z całą swoją rodziną. W mieszkaniu zrobiło się gwarno i tłoczno. Razem z gospodynią zajęłam się przygotowywaniem stołu. Nakryty białym obrusem, przybrany zieleńią i zastawiony różnymi smakołykami wyglądał według mnie po królewsku.

Wieczór wigilijny zaczął się od składania życzeń i dzielenia się opłatkiem. Wszyscy się obejmowali, a panią Karolę całowali w rękę. Poszłam za ich przykładem.

Kolacja składała się z dwunastu bezmięsnych potraw symbolizujących – jak mi Dziunia wytłumaczyła – liczbę apostołów. Ucztowano w wesołej atmosferze przez długie godziny. Pani Karola, otoczona dziećmi i wnukami, była szczęśliwa. Trójka rodzeństwa zabawiła się wspominaniem świąt Bożego Narodzenia spędzanych przed wojną w Łodzi.

Przez cały wieczór bardzo uważałam, aby zachowywać się jak inni. Dzieliłam się ze wszystkimi opłatkiem, składałam życzenia, brałam udział w rozmowach i śpiewałam kolędy, zapamiętane ze szkoły. Przez cały czas widziałam, że Mieczysław wyraźnie mnie obserwuje i słucha tego, co mówię. Sam jednak nie próbował nawiązać ze mną rozmowy. Był poważny, mimo że wszyscy wokół byli podnieceni i weseli. Jego zachowanie mocno mnie zaniepokoiło.

Po kolacji wszyscy zdecydowali się pójść o północy na pasterkę. Na wigilijną noc Niemcy znieśli godzinę policyjną. Szliśmy ciemnymi drogami w mroźną, piękną noc. Spotykaliśmy ludzi idących w tym samym kierunku. Mijały nas kobiety i mężczyźni, starzy i dzieci, ubrani po miejsku i w chłopskich chustach. Wszyscy pozdrawiali nas, chwalać Chrystusa.

Kościół był przepelniony i z trudem udało się nam dostać do środka. Stałam koło Dziuni, aby móc ją obserwować i naśladować jej za-

chowanie. Tak jak ona zanurzyłam palce w święconej wodzie, robiłam znak krzyża i klękałam na kamiennej podłodze.

Zagrały organy i tłum podchwycił zainicjowaną melodię. Święteczna atmosfera, muzyka i chóralny śpiew zjednoczyły zebranych w kościele. Poczułam się odizolowana od innych i bardzo samotna wśród religijnej i narodowej jedności otaczających mnie ludzi. Świadomość, że znalazłam się w obcym tłumie, w obcym miejscu i w obcym świecie sprawiała mi ból prawie nie do zniesienia. Ogarnęła mnie tęsknota za ludźmi, wśród których wyrosłam i byłam przez całe życie. Poczułam jak nigdy dawniej silną więź z moim prześladowanym narodem. Jak to się stało, że ludzie są radośni i rozśpiewani, gdy my, Żydzi, nie mamy miejsca na ziemi? Dlaczego nie obchodzi ich, że my ginimy? Dlaczego świat jest taki obojętny na nasze cierpienia? Jaka byłaby reakcja tłumu, gdybym teraz, w tym kościele przyznała się, że jestem Żydówką?

Świąteczne dni minęły bez specjalnych zakłóceń. Udało mi się pokonać niechęć Krysi, opowiadając jej przed snem wymyślane przeze mnie bajki. Nie udało mi się jednak rozbić muru, którym odgradził się ode mnie Mieczysław. Wszystkie próby nawiązania z nim kontaktu spełzły na niczym.

Wiele osób przychodziło z życzeniami świątecznymi. Ponieważ mieszkanie składało się tylko z jednego pokoju i niedużej kuchni, musiałam stale spotykać się z odwiedzającymi. Poznałam przy tym mieszkańców naszego i sąsiednich domów, koleżanki z pracy Dziuni i innych zaprzyjaźnionych ludzi. To moje publiczne wyeksponowanie, wymagające stałej kontroli każdego słowa i ruchu szalenie mnie wyczerpywały.

Pewnej nocy napisałam krótki list do Jacka Lejbusiewicza. List ułożyłam w taki sposób, że obcy człowiek odczytałby go jako szablonową notatkę o zdrowiu i planach wakacyjnych. Jack mógł jednak z niego wywnioskować, że moja sytuacja po aryjskiej stronie jest tak trudna, iż biorę pod uwagę możliwość powrotu do koneckiego getta. Pytałam go również o jego rodzinę i obecne życie w getcie.

Gdy znalazłam się sama z Marią, zapytałam, czy zgodziłaby się przekazać wiadomość do getta, otwarcie wyjaśniając, dlaczego pro-

szę ją o tę przysługę. Zapewniłam, że jeśli nawet odda ten list przypadkowo zatrzymanej w getcie osobie, dotrze on do Jacka. Maria zgodziła się spełnić moją prośbę i sądziła, że uda się jej przywieźć odpowiedź podczas następnej wizyty w Starachowicach. Było jej przykro, że myślałam o powrocie do getta. Korzystając z tego, że byliśmy same, zapytałam, czy zauważyła dziwne zachowanie jej męża wobec mnie. Maria odpowiedziała, że przy najbliższej okazji chciałaby o tym ze mną porozmawiać.

PRACA LATEM 1942

Pewnego wieczoru Maria zaprosiła mnie na wspólny spacer. Kiedy oddaliśmy się od domu i znalazłyśmy się na pustej, polnej ścieżce, wytłumaczyła mi, dlaczego Mieczysław tak nieoczekiwanie zareagował na mój widok. Było to dla mnie dużym zaskoczeniem.

Na początku ubiegłego lata Mieczysław zobaczył przez okno swego mieszkania w Końskich żydowskich policjantów prowadzących grupę młodych kobiet z białymi opaskami z niebieską gwiazdą na prawym ramieniu. Pojawienie się Żydówek na spokojnej, położonej na przedmieściu ulicy bardzo go zaintrygowało. Od tego czasu, ukryty za firanką w mieszkaniu lub za drzewem w ogrodzie śledził przechodzący rano i wieczorem kobiece oddziały. Z czasem mógł nawet z daleka zidentyfikować poszczególne postacie idące w szeregu.

Szczególne uwagę zwrócił na „czarną Żydówkę”, jak ją w myśli nazywał. Miała kruczoczarne warkocze, upięte w koszyk z tyłu głowy i nosiła zawsze czarną suknię. Poczł do niej jakąś sympatię i niekiedy zastanawiał się nawet nad jej imieniem i nazwiskiem. Nigdy jednak nie odważył się nikogo o nią zapytać.

Udało mu się wysledzić miejsce, do którego codziennie prowadzono tę grupę. Był to budynek przedwojennego gimnazjum przy ulicy Polnej 6, który w tym okresie został przekształcony w szkołę dla młodych hitlerowców.

Upłynęło parę miesięcy i pewnego jesiennego dnia Żydówki przestały pojawiać się na ulicy Polnej. Mieczysławowi brakowało ich co-

dziennego widoku i zastanawiał się nad losem tych dziewcząt, a szczególnie „czarnej Żydówki”. Ale nikomu się do tego nie przyznał.

Według jego życiowej filozofii, szansę na przetrwanie wojny mieli jedynie ci Polacy, którzy żyli na uboczu, nie rzucając się w oczy okupantowi. Uważał również, że – w miarę możliwości – nie należało robić niczego, co było zabronione przez Niemców. Fakt, że przez parę miesięcy śledził Żydówki i nawet zainteresował się ich losem, wydawał mu się bardzo niebezpieczny. Na początku wojny cała jego rodzina została wysiedlona z mieszkania w Łodzi. Niemcy zabrali prawie wszystko, co posiadał i kazali mu opuścić miasto w bardzo krótkim czasie. Kiedy z żoną i córeczką osiedlił się w Końskich, celowo zamieszkał na skraju miasta. Odmówił pójścia do pracy dla Niemców i prawie dosłownie zamknął się w mieszkaniu, niechętnie je opuszczając.

Tego roku Mieczysław przyjechał na święta Bożego Narodzenia do teściowej po długich namowach żony i córki. Uderzyło go moje podobieństwo do „czarnej Żydówki”. Jego początkowe podejrzenie szybko zmieniło się w pewność.

Obecność Żydówki w domu jego najbliższej rodziny przeraziła go tak dalece, że chciał natychmiast wracać do siebie. Lęk przed niebezpieczeństwem, zagrażającym nie tylko jemu, ale wszystkim jego bliskim, spowodował, że opowiedział żonie o letniej „obsesji” na temat dziewcząt z getta. Z niedowierzaniem przyjął zapewnienia Marii, że jestem córką przyjaciół matki i pochodzę z Warszawy. Stanowczo twierdził, że chociaż jasny kolor włosów zmienił trochę mój wygląd, jestem „czarną Żydówką” z Końskich. Po długich namowach zgodził się zostać do końca zaplanowanej wizyty, ale zagroził żonie, że nie przyjedzie już do Starachowic, dopóki ja nie opuszczę domu Dziuni.

Opowiadanie Marii bardzo mnie zmartwiło, ponieważ ta sytuacja mogła spowodować nieporozumienia w rodzinie Słowików. Mieczysław raczej nie mylił się, identyfikując mnie z „czarną Żydówką”. Przez kilka miesięcy bowiem pracowałam w szkole dla Hitlerjugend w Końskich i codziennie byłam prowadzona przez żydowskich policjantów ulicą Polną, przy której mieszkała rodzina Kamerów. W tym

czasie, bezpośrednio po śmierci ojca, ubierałam się na czarno i nosiłam włosy upięte w koszyk z tyłu głowy. Maszerując z innymi dziewczętami jezdnią, starałam się nie patrzeć na Polaków przyglądających się nam z chodników. Często słyszałam kpiny przechodniów na nasz temat. Poniżało mnie, że policjanci prowadzą mnie jak zbrodniarkę. Byłam oznakowana opaską, nie wolno mi było stanąć na chodniku, musiałam ustąpić każdemu z drogi. Czułam się bardzo upokorzona faktem, że jestem Żydówką. Zawsze starałam się iść z opuszczonymi oczami i unikać kontaktu, nawet wzrokowego, z dawnymi polskimi znajomymi.

Opowiedziałam o tym wszystkim Marii. Na szczęście, sensacyjna historia Mieczysława nie wywarła na niej specjalnego wrażenia.

– Nie martw się, on jest podszyty tchórzem – krótkim zdaniem zbagatelizowała ten problem.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Wróciły do mnie wspomnienia z pracy w szkole dla Hitlerjugend. Mimo że działo się to zaledwie parę miesięcy temu, miałam wrażenie, że od tego czasu upłynęło wiele lat.

Na początku czerwca 1942 rozeszła się w getcie wiadomość, że bogaci mieszkańcy przekupili gestapowców, którzy dzięki temu zgodzili się zatrudnić żydowskie kobiety. Powstała specjalna „placówka” w szkole Hitlerjugend, mająca dawać gwarancję bezpieczeństwa dla pracujących tam osób.

Do tego czasu w getcie w Końskich było bardzo mało miejsc pracy dla kobiet. Stanowiska w gminie żydowskiej, w podległych jej komisjach, policji, służbie porządkowej i sanitarnej oraz we wszystkich brygadach roboczych w mieście, zajmowali prawie wyłącznie mężczyźni. Ponieważ powszechnie uważano wówczas, że tylko osoby legitymujące się stałą pracą dla Niemców są zabezpieczone przed wywiezieniem, kobiety, na równi ze starymi ludźmi i dziećmi, były najbardziej zagrożone.

Mój ojciec był wtedy ciężko chory i leżał przykuty do łóżka. Słyszac jednak o tej „nadzwyczajnej” szansie dla młodych kobiet w getcie, zwrócił mi na to uwagę: „Byłoby dobrze, gdyby i tobie udało się dostać tę pracę”.

W parę dni po jego śmierci żydowski policjant przyniósł mi do domu list z Judenratu nakazujący stawienie się w ich biurze. Wezwanie do Rady Starszych wiązało się często z dużym niebezpieczeństwem. Zdarzało się bowiem, że żydowskie władze ściągają mieszkańców getta do swej siedziby, a Niemcy wywozili ich stamtąd do dalekich obozów. Deportacja odbywała się tak szybko, że bardzo często zaskoczeni ludzie nie mogli nawet zawiadomić rodziny. Policjant, który prowadził mnie do gminy, uspokoił mnie, że w ostatnich dniach Niemcy nie zgłaszali zapotrzebowania na ludzi do obozów pracy.

Byłam bardzo zaskoczona, kiedy Rosen, prezes Rady Starszych w Końskich, przyjął mnie w swoim gabinecie. Oświadczył, że w uznaniu za wieloletnią społeczną pracę mego ojca, między innymi w Komisji Sanitarnej, Rada Starszych włączyła mnie do specjalnej grupy dziewcząt, które zostaną zatrudnione w szkole dla Hitlerjugend. Poinformował mnie przy tym, że będę musiała całkowicie podporządkować się panującej tam dyscyplinie i ostrzegł, że jakimkolwiek nieposłuszeństwem mogę narazić siebie oraz inne osoby na śmiertelne konsekwencje.

W ten sposób znalazłam się w grupie młodych kobiet, które według ogólnej oceny zdobyły gwarancję bezpieczeństwa. Miejsce mojej pracy znajdowało się w gmachu dawnego państwowego gimnazjum im. Stanisława Kostki, w którym do wybuchu wojny ukończyłam trzy klasy. Obecnie mieściła się tam szkoła i internat dla młodych hitlerowców, którzy byli jeszcze na wakacjach i w tym czasie niemiecki zarząd robił przygotowania na następny rok szkolny.

Pracowało tam kilkadziesiąt żydowskich kobiet w wieku od 16 do 25 lat. Znałam je wszystkie dobrze, z wieloma z nich chodziłam kiedyś do szkoły. W większości przypadków pochodziły z zamożnych domów. Były to przeważnie córki przedwojennych fabrykantów, właścicieli domów i dużych sklepów. Fakt, że głównie takie dziewczęta znajdowały się w tej placówce, potwierdzał pogłoskę, że Niemcy zostali przekupieni. Wcześniej rano żydowscy policjanci prowadzili nas do roboty, a późnym wieczorem zabierali z powrotem do getta.

Cała nasza grupa była podzielona na małe oddziały, którymi kierowały zarówno Polki, jak i Niemki. Moją pracę nadzorowała Polka, dawna woźna z mojego gimnazjum. Dobrze mnie знаła, bo przez trzy lata nauki dwa razy dziennie przychodziłam do jej mieszkania. Wraz z kilkoma innymi uczniami wieszałam u niej w szafie zimowe palto, chroniąc je w ten sposób przed szybkim zniszczeniem w szkolnej szatni. Za tę przysługę pobierała od naszych rodziców określoną miesięczną opłatę.

Woźna powitała mnie krzykiem i wyzwiskami, jakbym to ja była przyczyną jej trudnych warunków życia przed wojną. Obrzucając mnie ordynarnymi antysemitkami obelgami, przydzieliła mnie do mycia ustępów. Ubikacje szkolne mieściły się na dziedzińcu. Były one nie skanalizowane, brudne i cuchnące. Czyszczenie ustępów napawało mnie takim obrzydzeniem, że stale dławiłam się wymiotami. W pewnym momencie straciłam przytomność. Po ocknięciu się leżałam na trawie na dziedzińcu. Dziewczęta, z którymi pracowałam, przykładały mi mokrą szmatę do rozbitej głowy.

Kiedy w środku dnia przyniesiono ze szkolnej kuchni zupę, nikt z naszej grupy nie mógł jej przełknąć. Po krótkiej przerwie na jedzenie musiałyśmy wrócić do tej samej roboty. Woźna co pewien czas obrzucała nas nowymi obelgami i groziła biciem.

Od wczesnego rana do późnego wieczora myłam ubikacje i podlewałam gnojówką pomidory w ogrodzie.

Pewnego dnia, kiedy jakaś polska dziewczyna przyniosła nam w południe zupę, zwróciłam uwagę na jej ręce. Przypomniałam sobie przeglądany kiedyś opis egipskiego sennika i wyrysowane tam objaśnienia linii papilarnych dłoni. Postanowiłam wykorzystać tę znajomość i zapytałam, czy chciałaby, abym powróżyła jej z ręki. Dziewczyna, podniecona taką propozycją, okazała się bardzo pomocna przy wrózeniu. Swoją mimiką, słowami i spontaniczną reakcją naprowadzała mnie na to, co chciała ode mnie usłyszeć. W przypadku, gdy przepowiednia mogła być łatwo i szybko sprawdzona, mówiłam jak Pytia. Od tego czasu wśród polskich pracownic kuchni rozeszła się fama o moich wróżbiarskich zdolnościach. Coraz częściej zgłaszały się do mnie „klientki”, które

jako zapłatę dawały mi jedzenie. Pewnego dnia, dzięki ich interwencji u niemieckiego kierownika, zostałam przydzielona do pomocy w kuchni.

Moje warunki pracy uległy radykalnej poprawie. Wprawdzie w dalszym ciągu harowałam od rana do nocy, obierając kartofle i szorując podłogi, ale teraz miałam dużo lepszego zwierchnika. Praca w kuchni nie trwała jednak długo; zostałam skierowana do innej roboty. Kolejne zajęcia zmieniały się dość często.

W pewnym okresie byłam prasowaczką i stojąc przez dziesięć godzin dziennie wygładzałam gorącym żelazkiem męskie koszule i bieliznę pościelową. Młoda Niemka, która nas pilnowała, chodziła stale z pejcem. Trzaskała nim, gdy tylko udało się jej zauważyć choćby drobne zgniecenia. Syczący dźwięk jej bicza tak mnie przerażał, że z trudem udawało mi się utrzymać w ręku gorące żelazko.

Pracowałam również w polu, a także w ogrodzie, zbierając dojrzewające jarzyny i owoce. W tym okresie przemycałam czasem jabłko lub pomidora dla Helenki.

Później jeszcze raz moim bezpośrednim kierownikiem została woźna. Przydzielono mnie do grupy, która myła okna. Budynek szkolny był dwupiętrowy i miał bardzo dużo wysokich, podwójnych okien. Wszystkie one otwierały się na zewnątrz w taki sposób, że można je było myć jedynie stojąc na parapecie.

Woźna była stale obecna i nie szczędziła nam ordynarnych wyzwisk. Mnie traktowała ze szczególną nienawiścią. Pewnego dnia, gdy przechylona na zewnętrzną stronę okna czyściłam szyby na wysokości drugiego piętra, zaczęła mnie uderzać mokrą szmatą po nogach. Broniąc się przed utratą równowagi, starałam się dostać do pokoju. Wówczas, ogarnięta furią, zaczęła z całej siły bić mnie po twarzy. Stałam bezradna na parapecie okna, a woda zalewała mi twarz i ubranie. Woźna była dużo starsza ode mnie i na pewno słabsza. Nie opuszczała mnie myśl, żeby wyrwać jej szmatę z ręki i zbić ją tak samo, jak ona to robiła. Powstrzymała mnie świadomość konsekwencji, zarówno dla mnie, jak i dla pozostałych dziewcząt. Przynależała jej jednak w myśli zemstę i ta świadomość pozwoliła mi znieść upokarzające i bolesne bi-

cie. Postanowiłam wówczas, że po wojnie ja też zbiję ją mokrą szmatą po twarzy.¹⁵

We wrześniu 1942 ta placówka, która miała nam gwarantować stałe bezpieczeństwo, została przez Niemców zlikwidowana. Wkrótce potem uciekłam z getta.

15 Po zakończeniu wojny, pod koniec 1945 roku, pojechałam do Końskich, żeby spełnić tamto „ślubowanie zemsty”. Łatwo odszukałam woźną, która nadal mieszkała w swoim przedwojennym mieszkaniu na terenie dawnego gimnazjum. Zamarła z przerażenia na mój widok. Kiedy ją zapytałam, czy mnie poznaje, kiwnęła potwierdzająco głową. Kazałam jej przynieść wiadro zimnej wody i zanurzyć w niej szmatę. Kiedy to zrobiła, powiedziałam jej, że będę ją biła tak samo, jak ona to robiła trzy lata temu. Kiedy jednak wzięłam do ręki mokrą szmatę, zaskoczył mnie widok woźnej. Stała przede mną trzęsąca się ze strachu stara kobieta. Nie byłam w stanie jej uderzyć. Odwróciłam się i wyszłam.

KONIEC GETTA W KOŃSKICH

Po odjeździe gości nasz rytm życia wrócił do przedświątecznej rutyny. Teraz, po kilkutygodniowej intensywnej praktyce, wykonywanie prac domowych przychodziło mi z łatwością. Umiałam samodzielnie przygotowywać śniadania, obiady, kolacje, piec ciasta i przyrządzać różne pracochłonne potrawy. Znałam mieszkanie i wiedziałam, co i kiedy należało sprzątnąć, wyczyścić lub uprać. Przede wszystkim jednak poznałam zwyczaje i charaktery obu pań i to pozwalało mi sprawiać im przyjemność różnymi drobiazgami. Starsza pani nadzorowała moją robotę, ale zostawiała mi dużą swobodę i samodzielność. Czasem nawet głośno przyznawała, że teraz, dzięki mojej pomocy, może spędzać więcej czasu z córką, synową i wnuczką.

Pani Karola odnosiła się z czcią do specjalnej godziny, kiedy zmierzch wypierał jasność dnia. Wprowadziła zwyczaj obowiązkowego odpoczynku o tej porze. Przerzywałam wówczas pracę i obie siadałyśmy koło ciepłego, kuchennego pieca. Przez pokryte mrozem szyby okienne przedostawały się do mieszkania resztki dziennego światła. W mroku widziałam, jak pani Karola modli się, przesuując paciorki różańca. Tę godzinę poświęcała Bogu, ponieważ, jak twierdziła, podczas szarówki wyraźnie czuła jego opiekuńczą bliskość.

Od kilku tygodni przeraźliwie huczał wicher. Nasz nieostłonięty, stojący na górcie dom był przedmiotem jego ataku. Głośne zawrozczenie wiatru brzmiało jak rozpaczliwy płacz. W godzinach zmierzchu, kiedy

w naszym mieszkaniu panowała cisza, jego wycie było dla mnie szczególnie niepokojące. W takich chwilach miałam poczucie, że ściany mieszkania Słowików są dla mnie jedyną ochroną przed Niemcami i że tylko tutaj mogę być bezpieczna. Bliskość modlącej się kobiety stanowiła element mistycznej opieki.

Z rodzinnego domu nie wyniosłam żadnej religii. Moi rodzice wyraźnie demonstrowali własny ateizm. Wcześniej przejęłam od nich i od najbliższego otoczenia ironiczny, a nawet wojowniczy stosunek do każdej wiary, łącznie z judaizmem.

Teraz, kiedy było mi tak źle, kiedy stale bałam się rozpoznania i utraty dachu nad głową, czułam potrzebę Boga. Chciałam móc wierzyć, że Niebiańska Istota pokieruje moim losem i otoczy mnie opieką. Chciałam móc się modlić. Wydawało mi się, że gdybym potrafiła zwrócić się całym sercem do Boga, wówczas nie tylko osiągnęłabym spokój, ale również zobaczyłabym, jak powinnam się ratować.

Obie panie Słowik były głęboko wierzącymi katoliczkami. Codziennie się modliły, w niedzielę chodziły do kościoła i często przystępowały do komunii. Matkę Boską i Dzieciątko Jezus traktowały jak żywe i bliskie osoby. Wszystkie dobre koleje ich życia przypisywały niebiańskiej interwencji. Wierzyły w ostateczną sprawiedliwość, mimo że, jak przyznawały, nie zawsze rozumiały skomplikowane drogi opatrności. Ich głęboka wiara i promieniujący z niej spokój – działały na mnie kojąco.

Kiedy w kuchni robiło się zupełnie ciemno, zapalałyśmy światło i czytałam pani Karoli książki. Miała słaby wzrok i sama nie mogła już czytać. Czekala na te wieczorne chwile. Według niej intonacja mego głosu ożywiała bohaterów opowiadań, ich historie stawały się bardziej realne i dzięki temu łatwo przenosiła się w świat fikcji.

Byłam bardzo zadowolona, że udaje mi się sprawić jej przyjemność i wydawało mi się, że przez to czytanie stałam się jej trochę bliższa. Mimo to nadal słyszałam nocne rozmowy Dziuni z matką na mój temat. Obie kobiety niezmiennie chciały, abym opuściła ich mieszkanie zaraz po uzyskaniu od Stanisława dokumentów. Miałam jednak wrażenie, że teraz mówiły o tym rzadziej i spokojniej.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwałam na ponowny przyjazd Marii. Często w godzinach szarówki moja myśl biegła do bliskich, zamkniętych w getcie i w dalekich obozach pracy. Zastanawiałam się, jak sobie radzą podczas mrozów, przy stałym niedożywieniu i atakujących ich chorobach. Fakt, że nawet w myślach nie byłam w stanie być razem z nimi, ponieważ nie umiałam wyobrazić sobie ich życia, sprawiał mi ból. W takich chwilach szczególnie silnie odczuwałam samotność i bardziej skłaniałam się do powrotu do koneckiego getta.

Wreszcie pewnego dnia Maria przywiozła mi odpowiedź od Jacka. Był to mały, kwadratowy kawałek papieru, na którym Jack napisał niebieskim ołówkiem parę słów: „Hala, komm sofort, aber noch heute. Jack” („Hala, przyjedź natychmiast, ale jeszcze dzisiaj. Jack”). Moje imię było podkreślone równą linią.

Maria opowiedziała, jak udało jej się skontaktować z Jackiem. Pewnego dnia, kiedy szła chodnikiem wzdłuż płotu oddzielającego polską część ulicy Krakowskiej od terenu getta, zauważyła przechodzącą po drugiej stronie ogrodzenia żydowską dziewczynę. Wówczas kilkakrotnie powtórzyła półgłosem moje imię i nazwisko. Nieznajoma podeszła bliżej płotu i zapytała o mnie. Z zadawanych przez nią pytań wynikało, że nie tylko mnie zna, ale interesuje ją mój obecny los. Maria wręczyła jej list i powiedziała, że przyjdzie po odpowiedź następnego dnia. Kiedy zjawiła się o umówionej porze, Jack czekał na nią przy ogrodzeniu. Ich rozmowa była krótka. Jack przypuszczał, że nie opuściłam dotychczas Końskich i stale ukrywam się gdzieś w pobliżu. Nalegał, abym natychmiast wróciła do getta. Maria nie wyprowadziła go z błędu i przyrzekła jak najszybciej przekazać mi jego odpowiedź.

List Jacka wywarł na mnie bardzo silne wrażenie. Z jednej strony upewniał mnie, że mój dawny świat naprawdę istniał, w co zaczynałam już wątpić. Z drugiej strony zaskoczył mnie, bo nie było w nim odpowiedzi na żadne z moich pytań. Jack nie podał choćby najmniejszej informacji na temat warunków, w jakich żyje. Nie napisał o losie swojego sześcioosobowego rodzeństwa, nie wspomniał o rodzicach, nie wymienił miejsca pracy ludzi wywiezionych pod-

czas likwidacji getta. Patrząc na kartkę, którą dzień przedtem Jack trzymał w ręce, zobaczyłam zawarte w tych kilku słowach ostrzeżenie. Wróciły do mnie moje własne argumenty, które pod koniec października spowodowały, że pozostawiłam wszystkich i uciekłam z getta. Tak samo jak wtedy miałam świadomość osaczającego mnie niebezpieczeństwa. Ogarnął mnie strach, znowu poczułam w ustach jego gorzki smak.

Pani Karola, Dziunia i Maria nie powiedziały ani słowa na temat tego listu. Szybko opuściły pokój, pozostawiając mnie samą z myślami.

Nie mogłam oderwać oczu od tej małej kartki papieru; w kółko czytałam napisane tam zdanie: „Hala, przyjedź natychmiast, ale jeszcze dzisiaj”.

Tej nocy ułożyłam następną list do Jacka. Prosiłam go o wyjaśnienie pewnych spraw, konieczne do podjęcia decyzji. Zadawałam mu konkretne pytania i prosiłam o wyraźną odpowiedź. Mimo narzuconego mi przez Jacka pośpiechu, zdecydowałam się poczekać z powrotem do koneckiego getta do czasu uzyskania odpowiedzi. List był krótki i tak napisany, że nie stanowił zagrożenia dla doręczycielki. Maria zgodziła się po raz drugi przemycić go do getta.

Upłynęło dziesięć dni i Maria znów zjawiła się w domu matki. Tym razem nie przywiozła odpowiedzi na mój list. Nie widziała Jacka ani żadnych innych Żydów. Getto w Końskich zostało całkowicie zlikwidowane. Wywieziono wszystkich jego mieszkańców, pozostałych po selekcji w listopadzie 1942. Niemcy przeprowadzili ostateczną deportację Żydów szybko i po cichu. Pewnego dnia Maria dowiedziała się, że Żydów nie ma już w Końskich i nie mogła się nawet dowiedzieć, kiedy i dokąd ich wywieziono.¹⁶

Żydowska ludność, stanowiąca około 50 procent mieszkańców 13-tysięcznego, powiatowego miasta Końskie, zniknęła bez śladu. Około 9 tysięcy Żydów – miejscowych, a także wysiedlonych z Łodzi i z okolicznych miasteczek – którzy w październiku 1942 żyli w getcie,

¹⁶ W styczniu 1943 ok. 300 Żydów, pozostałych po likwidacji getta w Końskich w listopadzie 1942, wywieziono najpierw do Szydłowca, a następnie do obozu zagłady w Treblince. („Biuletyn ŻIH” nr 15-16/1955)

zapadło się jakby pod ziemię. Zniknęli gdzieś moi przyjaciele, sąsiedzi, znajomi, ciotka Miriam Szpitbaum i Jack Lejbusiewicz.¹⁷

Upłynęło parę dni. Pewnego wieczoru Dziunia niespodziewanie objęła mnie i pocałowała. Byłam tym bardzo zaskoczona, bo dotychczas nigdy jeszcze nie okazywała mi w ten sposób uczucia. Pani Karola, jak na umówiony znak, wyszła z pokoju zostawiając nas same. Zrozumiałam, że Dziunia chce mnie zawiadomić o czymś ważnym i widząc jej zdenerwowanie nie oczekiwałam niczego dobrego.

Dziunia powiedziała mi, że Niemcy wywożą ludzi ze wszystkich gett do obozów śmierci. Według niej takie miejsca zagłady znajdowały się w Oświęcimiu i Treblince. Żydzi byli tam dowożeni zamkniętymi towarowymi wagonami i wielu umierało podczas tego wielodniowego transportu bez jedzenia, wody i powietrza. Ci, którym udało się to wszystko przeżyć, byli truci w specjalnie do tego celu wybudowanych gazowniach, a ciała ich palono w wielkich piecach. W dużym promieniu od tych miejsc zagłady dymy spalenizny pokrywały niebo, a powietrze było przesycone strasznym odorem palonych ludzkich ciał.

Słuchałam tego z całkowitym niedowierzaniem. Byłam zdziwiona, że Dziunia bezkrytycznie uwierzyła w takie nieprawdopodobne historie. Zapytałam ją, skąd się o tym dowiedziała i otrzymałam ogólnikową odpowiedź – tak, jakby to była powszechnie znana prawda.

Ogarnęła mnie złość na Dziunię. Nie mogłam zrozumieć, jak taka dobra i uczynna kobieta może powtarzać antysemitki bzdury. Czego w takim razie mogłam się spodziewać po ludziach, którzy nie posiadali jej nadzwyczajnych walorów?

Przypomniałam sobie, jak powszechna była wśród Polaków opinia, że Żydzi dodają do wyrobu macy krew chrześcijańskich dzieci. Widziałam analogię między oskarżeniem Żydów o rytualne morderstwo i teorią o gazowaniu ich w specjalnych obozach śmierci, mimo że pozornie były to różne sprawy. Dla mnie to podobieństwo nazywało się po prostu antysemityzmem.

17 Po wojnie próbowałam ustalić, ile osób z getta koneckiego zdołało się uratować. Według moich obliczeń, liczba ta nie przekraczała kilkunastu osób.

Nazajutrz powtórzyłam Sarze wszystko, co usłyszałam poprzedniego wieczoru. Jej reakcja była bardzo podobna do mojej. Nie wierzyła, aby takie zbrodnie były możliwe.

W ciągu następnych dni ani przez moment nie mogłam zapomnieć o tym, co usłyszałam od Dziuni. Z upływem czasu te przerażające informacje stawały się coraz bardziej prawdopodobne. Zaczynałam rozumieć, dlaczego wywożeni Żydzi nie dawali znaku życia i znikali bez śladu. Nazwy usłyszanych po raz pierwszy miejscowości – Oświęcim i Treblinka – wryły mi się głęboko w pamięć.

JÓZEFA CZAJKOWSKA

Pewnego dnia zjawił się u nas Stanisław. Zadowolony oznajmił, że przyniósł mi przyrzeczone polskie dokumenty. Była to metryka, wydana przez rzymskokatolicką parafię w Koloniach Konarskich. Stwierdzała ona, że w dniu 23 stycznia 1923 w Koloniach Konarskich, powiat opatowski, województwo kieleckie, urodziła się córka Jana i Katarzyny Czajkowskich, która została ochrzczona imieniem Józefa. Noworodek wkrótce zmarł, jednak dzięki staraniom Stanisława akt zgonu został zniszczony i w archiwalnych papierach parafii Józefa nadal żyła. Teraz ja stanowiłam kontynuację jej ziemskiej egzystencji.

Imieniem Józefa nie byłam zachwycona, a jego zdrobnienia wydawały mi się śmieszne. Obie panie Słowik uważały prawdopodobnie tak samo, ponieważ postanowiły nadal nazywać mnie Marylą. Stanisław wręczył mi również uzyskany w gminie Kolonie Konarskie odcinek wymeldowania Józefy Czajkowskiej z datą sprzed paru dni. Ze względu na bezpieczeństwo osób, które wyrabiały te dokumenty, polecił jak najszybciej zameldować mnie pod obecnym adresem. Przypomniiał nam również, że jego kuzynka, właścicielka naszego domu, skarżyła się, że mieszkam tu od paru miesięcy nie zameldowana.

Byłam przejęta moimi nowymi danymi personalnymi, ale jeszcze bardziej koniecznością szybkiego zameldowania. Przeraziła mnie ta nowa presja. Bałam się, że skoro posiadam już dokumenty, Dziunia każe mi natychmiast opuścić mieszkanie.

Tymczasem Stanisław zaczął przekazywać ostatnie, wspaniałe wiadomości. Radio angielskie podało, że olbrzymia armia niemiecka pod dowództwem Paulusa została otoczona pod miejscowością Stalingrad w Związku Radzieckim. Władze alianckie oceniały, że w krótkim czasie Sowietnicy zlikwidują lub wezmą do niewoli kilkaset tysięcy otoczonych tam niemieckich żołnierzy. Klęska Niemców była tak olbrzymia, że kojarzyła się z pokonaniem Napoleona pod Moskwą w 1812 roku. W dodatku, oprócz militarnej katastrofy w Rosji, Niemcy doświadczyli również dotkliwych niepowodzeń na froncie afrykańskim. Armie aliantów, w skład których wchodziły także oddziały amerykańskie, stale rozбивały wojska niemieckie, dowodzone przez Rommla, wypierając je z Afryki. Stanisław uważał, że ogólna sytuacja polityczna jest bardzo dobra. Według jego optymistycznej opinii zwycięstwo było po stronie aliantów, a nieunikniona klęska niemiecka miała nastąpić podczas nadchodzącej wiosny 1943 roku.

Chłonęłam te nadzwyczajne wiadomości. Przez ostatnie lata docierały do nas tylko propagandowe opisy niemieckich sukcesów wojennych. Zamknięta w getcie, byłam całkowicie odcięta od wiadomości ze świata przekazywanych przez londyńską rozgłośnię. Radia zarekwirowano nam już na początku wojny. W strasznej gettowskiej ciasnocie nikt nie miał możliwości, by skutecznie je ukryć. Wszelkie informacje, które do nas docierały, opierały się na tym, że „ktoś coś usłyszał od kogoś, kto coś usłyszał”. Ich wiarygodność była problematyczna – zazwyczaj były to tylko takie wiadomości, które pomagały ludziom w przetrwaniu. Trudności codziennego życia i stałe niebezpieczeństwo pochłaniały całą naszą uwagę. To, co działo się gdzieś daleko, było mniej istotne niż to, co miało miejsce bezpośrednio w getcie.

Życie wstąpiło we mnie wobec tych niezwykłych sukcesów aliantów. Tylko parę miesięcy dzieliło nas od końca wojny. Miałam nadzieję, że może w tej nowej sytuacji Dziunia i jej matka pozwolą mi u nich zostać.

Objawy ogólnej radości przedostały się przez cienkie ściany do mieszkania gospodyni, która również dołączyła się do naszej celebracji bliskiej klęski Niemców. Helena często manifestowała swój głęboki patriotyzm. Wyzwoloną Polskę widziała jako kraj narodowo

i religijnie jednolity, gdzie nie było miejsca dla żadnych mniejszości, a szczególnie dla Żydów. Jej nienawiść do nich była tak samo spontaniczna i ostentacyjnie demonstrowana, jak miłość do ojczyzny. Swoje polityczne uczucia wyrażała otwarcie, nie zachowując specjalnej ostrożności. Miałam możliwość zaobserwować to podczas świąt, kiedy rozmawiała z zupełnie obcymi jej ludźmi.

Helena dość często „wpadała” do pani Karoli i prawie zawsze sprowadzała rozmowę na temat Żydów. Słuchając jej czułam, jak zalewa mnie fala gorąca. Niekiedy musiałam uciekać się do podstępów, aby zamaskować wypieki, które nagle pojawiały się na mojej twarzy.

Nie znajdując nigdy poparcia dla swoich antysemickich teorii u pani Słowik, u mnie szukała zrozumienia i aprobaty. W takich sytuacjach starałam się wycofać z rozmowy, a gdy to było niemożliwe, udawałam znudzenie. Nie byłam jednak na tyle odważna, aby otwarcie stanąć w obronie atakowanych Żydów. Mimo iż zdawałam sobie sprawę, że moje postępowanie jest usprawiedliwione względami bezpieczeństwa, czułam się potem, jakbym zdradziła bliską osobę.

Dziunia załatwiła moją oficjalną rejestrację. W książce meldunkowej, będącej w posiadaniu Heleny Kostrzewowej, właścicielki domu przy ulicy Kilińskiego 4 w Starachowicach, pojawił się wpis, że w mieszkaniu Olgi i Karoliny Słowik została zameldowana Józefa Czajkowska. W rubryce „pokrewieństwo z głową rodziny” figurowało określenie „kuzynka”.

Wieczorem, po pracy, Dziunia pokazała matce książkę meldunkową, dodając przy tym, że jest bezpieczniej dla wszystkich, jeśli mieszkając u nich jestem oficjalnie zameldowana. Z tego samego powodu zdecydowała się podać mnie jako krewną. Pani Karola nie wyraziła sprzeciwu i nawet zaproponowała mi, abym w związku z tym nazywała ją ciotką.

Helena natomiast zjawiała się u nas z pretensjami i z żądaniem wyjaśnień. Chciała wiedzieć, dlaczego przedstawiłam się jej jako Maria Nowakowska, podczas gdy naprawdę nazywam się Józefa Czajkowska. Podejrzewała, że kryje się za tym jakaś tajemnica i czuła się urażona, że nie została dopuszczona do sekretu. Bolał ją, jak to głośno wyraziła, brak zaufania obu pań Słowik.

Dziunia wyjaśniła jej tę rozbieżność, podając zmyśloną, ale wiarygodną historię. Według niej, Niemcy złapali mnie na ulicy w Warszawie i skierowali na roboty do Rzeszy. Szczęśliwie udało mi się po drodze uciec. Ponieważ nie mogłam wrócić do domu, moja matka kazała mi schronić się u jej szkolnej przyjaciółki, Karoliny Słowik w Starachowicach. Kiedy Helena legitymowała mnie w środku nocy, podałam jej zmyślane imię i nazwisko, bałam się bowiem zdradzić nie znanej osobie prawdziwe dane personalne. Naprawdę nazywam się Czajkowska i chociaż ochrzczono mnie imieniem Józefa, rodzice zawsze wołali na mnie Maryla. Obecnie, kiedy najprawdopodobniej moja sprawa poszła u Niemców w zapomnienie, zameldowanie mnie w Starachowicach stało się możliwe.

Helena przyrzekła zachować tajemnicę. Fakt, że została dopuszczona do sekretu, bardzo poprawił jej stosunek do mnie. Zaś dokumenty i oficjalne zameldowanie dobrze wpłynęły na mnie – poczułam się nareszcie bezpieczna.

Pewnego dnia zabrakło w domu kilku produktów. Ponieważ był to dzień targowy, pani Karola postanowiła, że pójdziemy po zakupy na miejscowy rynek, który znajdował się w centrum miasta, w dość dużej odległości od domu. Był mroźny dzień i w taką pogodę długa droga mogła być dla starszej osoby trudna. Zaproponowałam cioci, jak teraz nazywałam panią Karolę, że sama pójdę na targ.

Rzadko i niechętnie wychodziłam do miasta. Starachowice leżą stosunkowo niedaleko Końskich i w znajdujących się tutaj zakładach amunicji pracowało wielu ludzi z okolicznych miejscowości. Prawdopodobieństwo, że mogłam przypadkowo spotkać kogoś, kto znał mnie z Końskich, było dość duże. Szłam szybko pustymi ulicami, z rzadka mijając spieszących się przechodniów. Byłam ciepło ubrana. Na głowie miałam dużą wełnianą chustkę, która chroniła przed mroźnym wiatrem, zakrywając mi prawie całą twarz. Spod chustki wychodziły, specjalnie tak ułożone, jasne włosy.

Na rynku było mało osób. Parę po miejsku ubranych kobiet robiło zakupy przy chłopskich furmankach, grupka ludzi rozmawiała na środku placu. Najpierw przeszłam wzdłuż całego rynku szukając na wozach potrzebnych produktów i sprawdzając ceny. Po tym krótkim

rozpoznaniu bez trudu kupiłam wszystkie rzeczy. Kiedy już płaciłam za ostatnie zakupy, usłyszałam nagle blisko siebie głośny krzyk. Wyraźne słowa przeszły mnie jak rewolwerowy pocisk:

– Żydowa, patrzcie, tam stoi Żydowa!

Natychmiast odwróciłam się i spojrzałam w kierunku, skąd dochodził głos. Parę metrów ode mnie stał kilkunastoletni chłopak. Jego oczy patrzyły prosto na mnie. Jego wyciągnięta ręka wskazywała na mnie. Jego oskarżenie dotyczyło mojej osoby. Jego twarz promieniała przy tym nieukrywaną radością – widać było, że jest ubawiony swoim zaskakującym odkryciem.

Głośne wołanie chłopca, które rozlegało się po całym rynku, przeraziło mnie, ale równocześnie jego rozbawiona twarz wywołała we mnie niepokonaną złość. Ten smarkacz zagroził nagle mojemu życiu, a może również życiu Dziuni i jej matki. Dla własnej zabawy i uciechy wystawił nas na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie miałam sekundy do stracenia. Wszystko zależało od mojej natychmiastowej reakcji. Pozwoliłam, aby instynkt i wściekłość pokierowały moim postępowaniem.

Blaskawicznie znalazłam się przy chłopcu, który stale jeszcze miał wyciągniętą rękę i usta otwarte do krzyku. Zaczęłam ze złością popychać go i szarpać za kłapy ubrania. Krzyczałam mu przy tym prosto w twarz, ale tak głośno, aby wszyscy wokół słyszeli: „Do jasnej cholery, gdzie jest ta parszywa Żydowa, prędko, bo nam ucieknie”.

Wielokrotnie powtarzałam to samo wezwanie, zmieniając tylko przekleństwa i antysemickie epitety, demonstrując przy tym znajomość wulgarnego języka oraz nienawiść do Żydów. Moja agresywność całkowicie zaskoczyła chłopaka. Oglupiały, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Starł się wyrwać z uchwytu, ale trzymałam go mocno. Zdawało mi się, że dopóki był w moich rękach, mogłam go kontrolować i zmusić do cofnięcia publicznego oskarżenia. Głośno domagałam się od niego odpowiedzi, jakby złapanie Żydówki było wyłącznie moją sprawą. Wreszcie kompletnie przerażony chłopiec, jękając się, powiedział, że wcale nie widział Żydówki. Trzymając go stale za ubranie odwróciłam się, żeby zobaczyć reakcję ludzi na rynku. Wszyscy patrzyli na nas, nikt nie ruszał się z miejsca. Wokół panowała niezmacona cisza.

– Szkoda, że nie było tu żadnej Żydówki – powiedziałam do nich. – A ciebie ojciec powinien dobrze sprać pasem za głupie zabawy – zwróciłam się do chłopca, puszczając go.

Chłopiec tak szybko znikł mi z oczu, że nie zdążyłam nawet zobaczyć, w którą stronę uciekł. Poprawiłam chustkę na głowie i bardzo wolno wyszłam z rynku. Będąc już na ulicy przyspieszyłam kroku i pierwszym możliwym przejściem weszłam na polną ścieżkę. Szłam szybko, nie odwracając się; dopiero będąc daleko od rynku rozejrzałam się wokoło. Byłam sama wśród pokrytych śniegiem pól. Nikt za mną nie szedł. Nikt mnie nie śledził.

Dopiero wtedy mój organizm zareagował na przeżyty wstrząs. Nogi ugięły się pode mną, jakbym za chwilę miała stracić równowagę. Trzęsły mi się ręce i nie mogłam utrzymać koszyka. Zakupy rozsypały się. Skuliłam się i starałam opanować drżenie rąk, słabość nóg i wzmagające się mdłości. Wolno wracałam do siebie. Teraz byłam w stanie zastanowić się nad tymi wydarzeniami.

Myślałam o sprawie moich niespodziewanych przeżyć – małym chłopcu, sięgającym mi zaledwie do ramion. Był ubrany w grubą, trochę za dużą marynarkę, wokół szyi miał przewiązany brunatny szal, a na głowie takiego samego koloru czapkę. Jego ubranie, a szczególnie brak zimowego palta w mroźny dzień, świadczyło, że był z biednego domu. Sposób, w jaki wymawiał poszczególne słowa, wskazywał, że pochodzi z miasta. Najprawdopodobniej był sam na rynku, bo nikt z dorosłych nie stanął w jego obronie, gdy go popychałam.

Jak to możliwe, że taki mały, prosty chłopak rozpoznał we mnie Żydówkę?

Zachowywałam się na rynku swobodnie i nie myślałam o żadnym zagrożeniu. Zakupy robiłam szybko i cały czas byłam nimi zajęta. Wybierałam potrzebne produkty przy jednej furmance, płaciłam i przechodziłam do następnego wozu. Nie przeczuwałam niebezpieczeństwa.

Po czym on poznał, że jestem Żydówką? Czym różniłam się od wszystkich innych ludzi na rynku?

Musiał być taki moment, kiedy znajdował się blisko mnie. Może wówczas spojrzał mi w oczy i ta krótka chwila wystarczyła, żeby odkrył

moją śmiertelną tajemnicę. Krzyk tego małego chłopca mógł spowodować, że nie uratowałyby mnie żadne, nawet najbardziej „prawdziwe” papiery. Publiczne stwierdzenie smarkacza, że jestem Żydówką, groziło także śmiertelnym niebezpieczeństwem rodzinie Słowików.

Moje dokumenty na nazwisko Józefy Czajkowskiej chroniły mnie wówczas, gdy nie byłam podejrzewana o żydostwo. Wobec oskarżenia mogły okazać się bez wartości. Zastanawiałam się, jak skończyłyby się ten epizod, gdyby moja reakcja była inna. Jaki byłby mój los, gdyby na rynku znajdował się w tym czasie jakiś Niemiec lub granatowy policjant? Zrozumiałam, że niebezpieczeństwo grozi mi w każdej chwili, w każdym miejscu, ze strony każdego człowieka.

Musiałam wracać do domu. Obawiałam się, że ciotka zacznie się niepokoić moją długą nieobecnością. Zebrałam rozsypane na ziemi produkty i poszłam w kierunku domu. Szybki marsz pod górę pozabawił mnie oddechu, ale równocześnie przywrócił utracony spokój. Postanowiłam, że wydarzenie na rynku pozostanie moją tajemnicą.

WIOSNA

Wiosną 1943 roku Sara i Helenka opuściły Starachowice. Przez cały czas pobytu w tym mieście Sara nie mogła znaleźć żadnej zarobkowej pracy. Kończyły się więc ich zasoby materialne, mimo że zimą oszczędzały na jedzeniu i świetle, a nawet spędzały wiele dni w łóżku, w nie opalanym pokoju. Dziunia starała się im pomagać i wydawała im nielegalne przydziały żywności z konsumu, kiedy to tylko było możliwe. Nie mogła tego jednak robić zbyt często – ze względu na bezpieczeństwo swoje i Sary.

Ciotka Karola również ułatwiała im przetrwanie trudnego okresu, zapraszając je na posiłki. Musiała jednak ograniczać ten kontakt, bo Helena zaczęła się nimi bardzo interesować. Miałam wrażenie, że zawsze słucha odgłosów na schodach i kiedy poznawała dziecięce kroki, zaskakiwała Sarę z córeczką na korytarzu, zasypując, zwłaszcza Helenkę, różnymi pytaniami.

Od samego początku pobytu w Starachowicach Sara miała kłopoty w miejscu zamieszkania. Jej gospodyni była dla niej coraz bardziej nieprzyjemna, aż w końcu otwarcie kazała jej opuścić wynajmowany pokój. Wtedy przyszedł im z pomocą Stanisław, który dla Sary nazywał się „pan Bolesław”. Przez swojego bliskiego znajomego, Piotra, znalazł dla nich miejsce w maleńkiej osadzie nad Wisłą, na wschód od Starachowic. Był pewny, że tam Sara łatwiej znajdzie mieszkanie i jedzenie jako zapłatę za pomoc w gospodarstwie. Starł się również przygotować je do życia na wsi, tłumaczył, jak powinny zachowywać się w chłopskim otoczeniu, żeby nie wzbudzać podejrzeń i zjednać sobie zaufanie.

Pewnego wieczoru pożegnałam Sarę i Helenkę na polnej miedzy. Mimo że nie widywałyśmy się zbyt często i nigdy nie byłam u nich w mieszkaniu, świadomość ich bliskości pomagała mi w trudnych chwilach. Teraz rozstawałyśmy się na czas nieokreślony, bo następne spotkanie planowałyśmy dopiero po wojnie. Postanowiłyśmy nie pisać do siebie i nie kontaktować się w żaden inny sposób. Umówiłyśmy się, że gdy wojna się skończy, odnajdą mnie poprzez członków rodziny Słowików.

Stanisława widywałam w dość dużych odstępach czasu. Znikał na całe tygodnie, po czym niespodziewanie pojawiał się w mieszkaniu Heleny, które nazywał swoim domem. Wiedziałam teraz, że jest łącznikiem i aktywnym działaczem Gwardii Ludowej. Kiedy wracał po długiej nieobecności, przychodził do nas na rozmowę. Przynosił ze sobą wiadomości usłyszane w radio i wyczytane w tajnych gazetkach. Nie miałam już żadnych wątpliwości co do losu Żydów i stale poznawałam nowe miejsca masowych mordów.

Pewnego dnia dowiedziałyśmy się od Stanisława o powstaniu Żydów w Warszawie. Mówił nam z dumą o powiewających tam obok siebie dwóch chorągwiach – biało-czerwonej i białej z niebieską gwiazdą Dawida, o bohaterskiej walce polskich Żydów, ginących na ulicach warszawskiego getta. Fakt, że warszawscy Żydzi umierali w nierównej walce z uzbrojonymi Niemcami, nie wywoływał we mnie dumy. W ich beznadziejnej walce słyszałam tylko pełne rozpaczę wołanie o pomoc i nie wierzyłam, że ją uzyskają. Wiedziałam, że są skazani na śmierć, tak jak wszyscy Żydzi w miastach całej Polski. Stale czułam ciężar tej świadomości.

Helena i inni ludzie, których spotykałam na podwórzu lub którzy odwiedzali ciotkę Karolę, robili żarty na temat powstania w getcie i walki Żydów. Opowiadali ze śmiechem, podrabiając żydowski akcent: „Żydki się biją, Mońki i Rywki idą strzelać do Niemców”.

Dziunia i ciotka były głęboko przekonane, że koniec wojny nastąpi w bardzo krótkim czasie i to mobilizowało je do wzmożonej aktywności konspiracyjnej. Mieszkanie pań Słowik stało się skrzynką kontaktową Armii Krajowej. Często teraz przechowywałyśmy w domu nielegalne gazetki, suchary, ubrania, a niekiedy nawet broń. Nie było

jednak u nas żadnego miejsca, gdzie można by właściwie ukryć te rzeczy, za posiadanie których groziła kara śmierci. Leżały one na przylegającym do sypialni strychu, przykryte starymi kocami.

Często odwiedzali nas łącznicy AK i partyzanci, którzy mogli stosunkowo bezpiecznie przedostać się z lasu do naszego domu, położonego na skraju miasta. Czasem w nocy budziło nas delikatne uderzenie w szybę grudką ziemi. W ciemnościach mogłam wówczas zobaczyć postać mężczyzny, stojącego zazwyczaj pod drzewem. Bardzo cicho, starając się nie zbudzić sąsiadów, wpuszczałyśmy „chłopców z lasu” do mieszkania. Byli to młodzi ludzie, wychudzeni, zmęczeni i na ogół brudni. Nie zawsze mieli dość czasu, aby odpocząć, umyć się lub zjeść. Przeważnie odchodzili tak samo szybko, jak się pojawiali, zabierając przygotowane dla nich rzeczy.

Dziunia i jej matka były dumne, że mogą uczestniczyć w wyzwaniu Polski i nigdy nie wspominały o niebezpieczeństwie z tym związanym. Maria również wstąpiła do tajnej organizacji. Stała się łączniczką Armii Krajowej w Starachowicach. Zjawiała się u nas prawie co tydzień i zaraz po przyjeździe zgłaszała się do swego punktu kontaktowego. Wielokrotnie udawała się do lasu z różnymi poleceniami dla partyzantki.

Zdzisław opuścił rodzinę i przyłączył się do leśnych oddziałów AK pod dowództwem „Ponurego”. Jego grupa działała w okolicznych lasach.

Patriotyczna atmosfera, panująca w całej rodzinie Słowików, udzieliła się i mnie. Ja także chciałam pomóc w walce z Niemcami, mieć własny wkład w przyspieszenie ich ostatecznej klęski. Prace przy wypiekaniu sucharów dla partyzantów, nocne spotkania z nimi, drobne zlecenia związane ze skrzynką AK – sprawiały mi satysfakcję i dawały poczucie przynależności do oddziałów walczących z Niemcami.

Wraz z nadejściem cieplejszych dni ciotka zaczęła przygotowywać grządki, które dostała do swego użytku w ogródku Heleny. Planowała, jak dawniej, posadzić tam jarzyny, których brakowało na rynku. Nie wierzyła jednak, że będziemy konsumować wyhodowane produkty. Często żartowała, że plony swego ogrodnictwa przekaże Helenie jako pożegnalny prezent.

Myśl o opuszczeniu Starachowic wywoływała w ciotce tęsknotę za dawnym, brutalnie odebrany jej życiem. Często słuchałam, jak z utęsknieniem mówiła o przedwojennych latach w Łodzi i o otaczających ją tam bliskich ludziach. Dziunia również chciała jak najszybciej powrócić do swojej pracy na poczcie i znaleźć się w gronie dawnych koleżanek i kolegów, z którymi przepracowała wiele lat. Obie panie głośno marzyły o Polsce wolnej, niepodległej, takiej, w jakiej żyły przed wojną.

Ja nie umiałam nawet marzyć o życiu po wojnie. Po kataklizmie, który zniszczył mój świat, nie pozwalałam sobie na ten luksus. Nie umiałam sobie wyobrazić, w jakiej Polsce chciałabym mieszkać. Wiedziałam jednak dobrze, że nie chcę, aby była taka, jaką pamiętałam z lat przedwojennych. Pod tym względem różniłam się zasadniczo od Dziuni, ciotki i wszystkich ludzi, z którymi stykałam się w tym domu.

To antysemityzm był przyczyną mojej awersji do przedwojennego kraju. Przy przyjmowaniu do państwowego gimnazjum w Końskich stosowano numerus clausus i rocznie akceptowano tylko 2–3 procent Żydów. Należałam do nielicznych wybrańców losu, którzy mogli się uczyć. W ciągu trzech lat, które do wybuchu wojny spędziłam w tej szkole, wiele razy byłam traktowana w sposób poniżający przez uczniów i dyskryminowana przez nauczycieli.

Dobrze jeszcze pamiętałam sytuację, jaką przeżyłam w ostatnim roku mojej nauki. We „francuskiej” klasie, do której należałam, były dwie Żydówki. Tego pamiętnego dnia byłam sama, ponieważ ta druga zachorowała. Po dużej przerwie, kiedy wszyscy wrócili do klasy, uczeń Adam Klusek wstał i poprosił o spokój. W całkowitej ciszy, która zapadła, zażądał, abym natychmiast opuściła klasę. Chciał – jak się wyraził – przeprowadzić zebranie w czysto polskiej atmosferze. Wśród ogólnego śmiechu, oklasków i antysemickich epitetów zostałam zmuszona do wyjścia z sali. Stałam za drzwiami i tam czekałam na przyjście nauczyciela. Ale on, gdy dowiedział się, dlaczego stoję na korytarzu, wcale na to nie zareagował. Byłam dobrą uczennicą i wielu uczniów korzystało z mojej pomocy przy rozwiązywaniu zadań matematycznych i fizycznych. Podczas tego zajęcia nikt jednak

nie wyraził sprzeciwu wobec sposobu, w jaki zostałam potraktowana i nikt potem nie wy tłumaczył się ze swego zachowania.

Uczniowie zwracali się do siebie po imieniu, natomiast do mnie tylko po nazwisku. W klasach znajdowały się dwuosobowe ławki, nigdy jednak nie siedziałam razem z polską koleżanką. Gdy była nieparzysta liczba, zarówno Żydówek, jak i chrześcijanek – dwa miejsca były wolne. Żadna polska uczennica nie zgadzała się dzielić tę samą ławkę z Żydówką. Nikt w mojej klasie nie utrzymywał ze mną kontaktów towarzyskich ani w szkole, ani po lekcjach.

Podczas ważnych świąt żydowskich, takich jak Nowy Rok czy Sądny Dzień, nie chodziłam do szkoły. Dobrze wiedziałam, że następnego dnia, gdy wrócę do klasy, wielu nauczycieli wywoła mnie do odpowiedzi i sprawdzi, czy odrobiłam zaległe lekcje. W związku z tym musiałam dowiedzieć się, co przerabiano w szkole i zadano do domu podczas mojej nieobecności. Na całą pięćdziesięcioosobową klasę znałam tylko dwie uczennice chętne, by udzielić mi tych informacji. Jedną z nich była Krystyna Wielgosińska, cicha, skromna dziewczyna i zarazem prymus klasowy. Zwykle wieczorem, po święcie, pukałam do jej drzwi, a ona wychodziła z zeszytami na ciemny korytarz. Tam pokazywała mi przerobiony materiał i zadane lekcje. Nigdy jednak nie zaprosiła mnie do swego mieszkania i nie przedstawiła swojej rodzinie. Druga uczennica, do której czasem przychodziłam z tego rodzaju pytaniami, to była Lodzia Czarnocka, córka hrabskiego robotnika. Bardzo pospiesznie przekazywała mi potrzebne informacje, przeważnie gdzieś w zabudowaniach gospodarczych. W jej mieszkaniu również nigdy nie byłam i nie znałam jej rodziny.

Pamiętałam, że mój brat bezskutecznie ubiegał się przez dwa lata o przyjęcie na medycynę w Warszawie. Myśl o kraju, w którym nie miałabym możliwości studiowania, była bardzo przykra. Życie w powojennej Polsce, gdzie mogłabym być poniżana i dyskryminowana tylko za to, że jestem Żydówką, stało się dla mnie nie do przyjęcia.

Pewnej nocy zobaczyłam, że drzwi między kuchnią, gdzie spałam, a pokojem, gdzie spały Dziunia z matką, były szeroko otwarte. Dotych-

czas Dziunia, udając się na odpoczynek, zamykała je życząc mi spokojnej nocy. Sądziłam, że drzwi, niedokładnie zamknięte, otworzyły się same. Zauważyłam jednak, że w ciągu następnych nocy pozostawały w dalszym ciągu otwarte.

Zrozumiałam znaczenie tego prostego gestu. Obie panie zawiadamiły mnie w charakterystyczny dla siebie, delikatny sposób, że pozwalają mi zostać razem z nimi. Olga i Karolina Słowik naprawdę przyjęły mnie do swego domu. Moja wdzięczność i głębokie uczucie dla nich nie miały granic. Był koniec wiosny 1943 roku.

MIESZKAŃCY NASZEGO DOMU

Podczas ciepłych dni wiosny i lata 1943 często musiałam opuszczać bezpieczne ściany naszego mieszkania. Było ogólnie przyjęte, że w czasie ładnej pogody robiło się intensywne domowe porządki na świeżym powietrzu, co znacznie ułatwiało wykonywanie tych prac. Piorąc na podwórzu nie trzeba było wnosić wody i opału po schodach, a suszenie bielizny na rozwieszonych za domem sznurach zapobiegało wspinaniu się z ciężkim praniem po drabinie na strych. Słoneczne dni sprzyjały także wietrzeniu pościeli, czyszczeniu chodników i tym podobnym robotom.

Opiekowałam się też angorowymi królikami, które Dziunia dostała w prezencie od wdzięcznego klienta konsumu. Dobrze odżywiane, czyszczone i regularnie wypuszczane na powietrze, rosły i szybko się mnożyły. Hodowałyśmy je z myślą, że będą naszym pożywieniem, gdyby działania wojenne odcięły nas od zaopatrzenia. Natomiast z ich pięknej sierści planowałam zrobić na drutach swetry dla ciotki i Dziuni.

Przebywając teraz częściej na podwórzu, siłą rzeczy więcej czasu spędzałam w otoczeniu lokatorów naszego domu. Starłam się być dla nich zawsze miłą i uczynną. Dbałam, aby w miarę możliwości stwarzać wrażenie wesołej, zadowolonej z życia dziewczyny. Chciałam być przez wszystkich lubiana, bo wierzyłam, że dobra opinia o mnie i powszechna sympatia osłoni mnie przed podejrzeniami.

W naszym domu było pięć mieszkań – dwa na piętrze i trzy na parterze. Na górze poza nami mieszkała tylko Helena ze Stanisławem.

Na dole, od strony podwórza pokój z kuchnią zajmowali Pragowie, młode małżeństwo z kilkumiesięcznym synkiem. Ich kuzynka Wanda, sprowadzona niedawno ze wsi, opiekowała się niemowlęciem i pomagała w domu. Była to prosta dziewczyna w moim wieku, o flegmatycznych, niezgrabnych ruchach. Robiła wrażenie zagubionej w otaczającym ją świecie. Często, zła na rodzinę, skarżyła się, że żądają od niej niezrozumiałych rzeczy i mają nieuzasadnione pretensje. Codziennie rano, niezależnie od pogody, słyszałam pod oknem jej ciężkie kroki – szła do kościoła.

Wanda była dla mnie wzorcową postacią, widziałam w niej symbol rdzennej, chłopskiej polskości. Chciałam z taką samą łatwością jak ona wzywać na pomoc wszystkich świętych i żegnać się krzyżem. Byłam pewna, że nikt nigdy nie mógłby podejrzewać jej o żydostwo; sama myśl o tym wydawała mi się śmieszna. Staralam się więc zachowywać tak jak ona i często naśladowałam jej charakterystyczne powiedzenia. Miałam wrażenie, że ona z kolei była zainteresowana moją osobą, prawdopodobnie dlatego, że „pochodziłam ze stolicy”. Mimo że Wanda okazywała mi pewien respekt, w wielu sytuacjach nie mogła pohamować rozbawienia wywołanego moją niezdarkością. Każde takie dziwne dla niej zachowanie nazywała „żydowskim” i zanosila się od śmiechu patrząc, jak „po żydowsku” wyzynałam bieliznę, goniłam za kurą i wyciągałam królika z klatki. Mimo że w jej prostym języku „po żydowsku” oznaczało „inaczej”, zawsze odczuwałam niepokój na dźwięk tych słów.

Pani Pragowa, jej gospodyni i krewna, była jasną blondynką z zadartym nosem. Zawsze ciekawa wszystkiego, co działo się wokoło, pierwsza wiedziała o wydarzeniach w całej okolicy. Lubiła plotki i aktywnie rozpowszechniała ich wzbogaconą wersję. Często słyszałam jej krzykliwy głos, który – mimo że od paru lat mieszkała w Starachowicach – nie utracił chłopskiego brzmienia. Było to szczególnie uderzające, kiedy złościła się na Wandę i z jej ust płynął strumień przekleństw. Pragowie żyli z handlu. Pan domu jeździł po produkty do okolicznych wsi i sprzedawał je w mieście. Przywoził również pędzony na wsi bimber i pijackie awantury małżonków często zakłócały spokój naszego domu. Rodzina ta przy każdej okazji wyrażała żywiołową nienawiść

do Żydów. Ich antysemityzm, prostactwo, plotkarstwo i alkoholizm sprawiały, że czułam zagrożenie z ich strony.

Mieszkanie na wprost nich zajmowała starsza para z kilkunastoletnim synem. Pan domu zajmował przed wojną wysokie stanowisko w Starachowicach. Sąsiedzi pamiętali o tym i odnosili się do nich z szacunkiem, chociaż uważali ich za odludków i dziwaków. W tej rodzinie nikt nie zarabiał i ich ciężkie warunki materialne były powszechnie znane.

Od frontu mieszkało małżeństwo z kilkuletnią córeczką. Dziewczynka przypominała wyglądem Helenkę i jej widok wywoływał we mnie tęsknotę za siostrą. Myślałam czasem o odmiennych losach tych dwóch rówieśnic.

Ojciec dziewczynki był zatrudniony w fabryce zbrojeniowej w Starachowicach. Zawsze wcześniej rano, z dokładnością co do minuty, wychodził do pracy i o ściśle określonej porze wieczorem wracał do domu. Dwa razy dziennie słyszałam jego kroki na ścieżce, od razu wówczas wiedziałam, która jest godzina. Jego żona Zofia, ładna kobieta, trudniła się obecnie krawiectwem. Podczas ciepłych dni wystawiała maszynę do szycia na ganek i w całym domu słychać było jej stukot. Zofia przyjaźniła się z Pragową; często widziałam je razem, szepczące sobie jakieś sekrety.

Wszyscy mieszkańcy naszego domu odnosili się z dużym szacunkiem do starszej pani Słowikowej, uważając ją za „prawdziwą damę”. W jej obecności nikt nie pozwalał sobie na niegrzeczne słowo ani na niewłaściwe zachowanie. Stosunek współlokatorów do Dziuni był natomiast pełen uwielbienia. Sąsiedzi stale korzystali z jej pomocy i wyrażali się o niej jak o zesłanej przez opatrzność opiekunce.

Podczas pogodnych dni na naszym podwórzu toczyły się długie rozmowy i gorące dyskusje. Czasem poruszano w nich problemy osobiste, także te związane z najbliższą rodziną. Otwarcie wyrażano opinie polityczne, uwagi na temat działań konspiracyjnych i przyszłości kraju. Ze szczerości wypowiedzi wynikało, że nikt nie obawiał się swoich sąsiadów.

Bardzo często mówiono o Żydach i wszyscy zgodnie mieli o nich niepocholebne zdanie. Według nich, Żydzi byli oszustami, wyzyski-

waczami, przyczyną przedwojennej biedy, sprawcami międzynarodowych intryg, roznosicielami chorób... Nigdy nie słyszałam jakiegoś wyrazu współczucia dla ich losu. Wiadomości dotyczące mordowania Żydów były przekazywane i odbierane przez lokatorów z taką obojętnością, jakby mówili o zabijaniu bydła.

Na ogół starałam się unikać towarzyskich zgromadzeń na podwórzu. Nie chciałam jednak, aby posądzano mnie, że stronię od sąsiadów i dlatego czasem przyłączałam się do rozmowy. Spodziewałam się, że prędzej czy później zaczną mówić o Żydach i z lękiem czekałam na ten temat. Wiedziałam bowiem, że na dźwięk słowa „Żyd” fala gorąca obleje moje ciało, a na twarzy pojawiają się czerwone plamy. Niekiedy udawało mi się na czas odejść i przeczekać na uboczu, aż całkowicie ochłone. Czasem odwracałam od siebie uwagę obecnych udając, że coś mi upadło na ziemię, czymś się uderzyłam lub dusi mnie nagły kaszel. Taki atak trwał parę minut i na ogół uodparniał mnie potem na pewien czas. Gdy znikwały wypieki na twarzy, mogłam bez obawy dołączyć się do rozmawiających i zachować całkowity spokój, nawet wobec najbardziej antysemitycznych wypowiedzi.

Ponieważ nie byłam w stanie zahamować tej widocznej reakcji, wiele czasu poświęcałam na wymyślanie różnych sposobów, by zamaskować moje gwałtowne czerwienienie się. Miałam straszne uczucie, że moja osobowość składa się z dwóch istot, które chcą się nawzajem zniszczyć. Jedna robiła wszystko, aby ukryć groźną śmiercią tajemnicę, a druga chciała ją ujawnić. Nie wiedziałam, jak ratować się przed samą sobą.

Mieszkańcy naszego domu interesowali się moim życiem w Warszawie. Dopytywali o szkołę, znajomych, rodzinę. Chcieli wiedzieć, czym zajmuje się mój ojciec, matka, jakie mam rodzeństwo. Intrygowało ich, dlaczego dotychczas nikt z rodziny nie przyjechał mnie odwiedzić i kiedy wrócę do Warszawy. Dziwili się, że nie szukam męskiego towarzystwa i całe dni spędzam w domu. W moich opowiadaniach ojciec był oficerem armii polskiej i powołany w 1939 roku nigdy nie wrócił z wojny. Matka często cierpiała z powodu chronicznie słabego serca. Mój jedyny brat zajmował się chorą matką i pracował na utrzymanie domu.

Opisując fikcyjną rodzinę, starałam się podać jak najwięcej prawdziwych szczegółów z mego dawnego życia. Naprawdę miałam jednego brata¹⁸, a moja od wielu lat nieżyjąca matka chorowała na serce. Zawód mego ojca postanowiłam jednak zmienić, ponieważ wydawało mi się, że w tym otoczeniu wojskowy będzie bardziej akceptowany niż lekarz dentysta. Dociekliwe pytania sąsiadów wznagły stale towarzyszący mi strach. Nie wiedziałam, czy kieruje nimi prosta ciekawość, czy niebezpieczne podejrzenia. Wielokrotnie rozmawiałam o tym z Dziunią i wspólnie szukałyśmy jakiegoś dowodu na potwierdzenie mego fikcyjnego życiorysu.

Wiedziałyśmy, że byłoby dobrze, gdybym dostawała korespondencję z Warszawy. Pojawienie się listonosza z zaadresowanym do mnie listem zostałoby od razu zauważone i omówione przez domowników. Dziunia nie mogła jednak znaleźć nikogo na tyle zaufanego, żeby bez ryzyka poprosić go o pomoc w tej sprawie.

Postanowiłyśmy zainscenizować przyjazd mojej matki. Przy każdej okazji opowiadałam wszystkim sąsiadom o zapowiedzianej wizycie. Grałam rolę podnieconej i uradowanej córki, która nie może doczekać się tego spotkania. Kiedy zbliżała się data „przyjazdu”, rozpoczęłam, z pomocą ciotki Karoli, specjalne przygotowania kulinarne; zapach piezonego ciasta rozchodził się po całym domu. Pożyczyłam od sąsiadów dodatkowe łóżko i ułożyłam na nim świeżo powleczonej pościel. Helena, która była głównym świadkiem przygotowań, rozpowszechniała te wiadomości wśród sąsiadów. Dzięki niej wszyscy mieszkańcy naszego domu dobrze wiedzieli, kiedy zjawi się u nas „matka panny Maryli, pani Czajkowska”.

W dzień rzekomego przyjazdu udałam się z ciotką, Dziunią, Stasią i małą Alinką na dworzec kolejowy. Pociąg z Warszawy przyjechał o oznaczonej godzinie i wysiadło z niego wielu pasażerów. Grając rolę stęsknionej córki biegałam wzdłuż peronu i szukałam matki wśród przyjezdnych. Zaglądałam do przedziałów i nawet pytałam konduktora o starszą panią, która wsiadła na Dworcu Głównym. Udawałam rozczar-

18 Mój brat, Jerzy Rudny, ur. jako Jerzy Kon w 1919 roku w Końskich, uratował się w Związku Radzieckim, a obecnie mieszka w Szwecji.

rowanie i smutek, kiedy poszukiwania okazały się bezowocne. Moje aktorstwo było chyba dobre, bo Stasia, która nie знаła prawdy, serdecznie mnie pocieszała. Rolę zawiedzionej i zaniepokojonej córki odgrywałam przez następne dni również wobec sąsiadów, aż w końcu powiedziałam im, że matka zachorowała i jej przyjazd został odłożony. Miałam wrażenie, że wszyscy uwierzyli w zainscenizowaną przez nas historię.

Po pewnym czasie, kiedy znowu nasiliły się docieklive pytania na mój temat, zdecydowałam się inaczej wzmocnić moją pozycję w polskim świecie. Postanowiłam znaleźć kawalera, który mógłby uchodzić za mego narzeczonego.

Najbliższą koleżanką Dziuni była Stasia Cadrzyńska, która pracowała z nią jako kasjerka w konsumie. Mieszkała ze starszym bratem i byli raz u nas oboje ze świątecznymi życzeniami. Dowiedziałam się od nich, że pochodzą z Katowic, gdzie przed wojną Karol Cadrzyński pracował jako inżynier w przemyśle górniczym. Na początku wojny zostali wysiedleni ze Śląska i wówczas zamieszkali w Starachowicach. Karol nie chciał pracować dla Niemców i przybity swoją bezczynnością zamknął się w domu. Stasia zwierzyła się Dziuni, że jej brat czuje się bardzo samotny w tym mieście, gdzie nikogo nie zna. Ponieważ wybrałam go na bohatera mego planu, Dziunia zaproponowała, żeby nas zbliżyć.

Pewnej słonecznej niedzieli Karol zaprosił mnie na spacer i od tego czasu utarł się zwyczaj, że razem spędzaliśmy niedzielne popołudnia. Miał około czterdziestu lat i robił wrażenie miłego, łagodnego, dobrodusznego człowieka. Opowiadał mi, jak po śmierci rodziców musiał zająć się młodszą siostrą; wzruszała mnie ta rodzinna historia.

Ogólna opinia o Karolu była pozytywna i sąsiedzi od razu określili go jako mojego „starającego się”. Kiedy przechodziliśmy razem przez podwórze, witali nas z aprobatą. Mój plan się udał i był dla mnie nawet przyjemny. Wraz z upływem tygodni Karol coraz bardziej tracił – cechujące go na początku wobec mnie – zażenowanie i rezerwę. Częściej mówił o swoich uczuciach, myślach i planach. Ja również coraz bardziej przyzwyczajałam się do tego miłego człowieka. Czasem nawet wydawało mi się, że ktoś tak porządny jak on mógłby zaakceptować prawdę o mnie.

Pewnego razu poszliśmy w niedzielę na daleki spacer i znaleźliśmy się na szczycie wzgórza, skąd otwierał się piękny widok na całą okolicę. Usiedliśmy tam, żeby odpocząć i Karol pokazywał mi poszczególne części miasta i olbrzymie tereny fabryki zbrojeniowej. Niespodziewanie zmienił temat rozmowy. Z pasją zaczął mówić o swojej nienawiści do Niemców za ich brutalne niszczenie kraju, zrujnowanie jego osobistego życia i kariery zawodowej. Jednak, mimo że całym sercem uważał ich za wrogów, w jednej dziedzinie czuł dla nich prawdziwą wdzięczność. Uważał, że wykonali dla Polski zbawienną robotę oczyszczając ją z Żydów.

– Niedawno na tym wzgórzu – opowiadał – Niemcy wymordowali setki Żydów. My, Polacy, powinniśmy postawić tutaj pomnik Hitlerowi za to, że rozwiązał za nas problem żydowski. Dzięki niemu wolna Polska będzie już na zawsze bez Żydów.

Jego zazwyczaj łagodna twarz była teraz pełna nienawiści. Była to nienawiść do mego narodu. Szczęśliwie tym razem nie oblała mnie fala gorąca i nie drgnął żaden mięsień na mojej twarzy. Słuchając go byłam tak spokojna, jakbym całkowicie podzielała jego uczucia. Widziałam, że Karol nie spodziewa się po mnie żadnej innej opinii na ten temat.

Już kilka razy słyszałam zdanie o pomniku dla Hitlera z wdzięczności za wymordowanie Żydów. Pierwszy raz miało to miejsce w pociągu do Warszawy, później słyszałam je od sąsiadów na podwórzu naszego domu, teraz wypowiedział je Karol Cadrzyński. Miałam wrażenie, że ta opinia stała się powszechna. Przeraziło mnie, jak maleńka jest grupa porządných ludzi, do której należała Dziunia, jej matka, siostra i Stanisław, w morzu ludzi nienawidzących Żydów.

Jeszcze kilka razy spotykałam się potem z Karolem. Kiedy zaproponował mi poważniejszy związek, odmówiłam, tłumacząc się moim młodym wiekiem. Karol przestał do nas przychodzić.

Pewnej nocy chciałam popatrzeć na widoczny z naszego okna obóz dla Żydów. Tam, gdzie niedawno latarnie oświetlały ogrodzenie, a reflektory co parę minut przeszukiwały okoliczne pola, panowała teraz ciemność.

Boleśnie przeżyłam zniknięcie żydowskiego obozu. Byłam zła na siebie, że nie zauważyłam, kiedy nastąpiła jego likwidacja. Wydawało

mi się, że straciłam kogoś bliskiego i zapomniałam o jego pogrzebie. Miałam przerażające uczucie, że jestem jedyną Żydówką w wielkim, nienawistnym chrześcijańskim świecie.

Przypomniały mi się fragmenty czytanej przed wojną satyry na pisarza i redaktora „Warszawskiej Gazety”, Adolfa Nowaczyńskiego. W tym poemacie pan Adolf, po ciężkim dniu pracy nad niedzielnym artykułem, pełnym jak zawsze żydożerczych hasła, miał dziwny sen. Śniło mu się, że w Polsce nagle zniknęli wszyscy Żydzi: „do swego swój idzie po swoje, w sklepikach na Bagnie targują się goje”, „«Nasz Przegląd» nie wyszedł, «Folkscajtung» zamknięty”, „zniknęły jarmułki, zniknęły kapoty i w całej Polsce nie znajdziesz już starozakonnych”. Pan Adolf we śnie usiadł do pracy, aby: „tak, jak to czynił lat wiele, artykuł w gazetce dać na niedzielę”. Niestety, tym razem pisanie sprawiało mu wielką trudność, ponieważ jego antysemickie slogany przestały być aktualne: „Hucpa żydowska go gniewem unosi i okrzyk «bij Żydów» na papier się prosi”, „lecz Żydów już nie ma i bić nie ma kogo” – „więc pusta wciąż kartka białego papieru”. Wiersz kończył się sennym marzeniem pana Adolfa: „a może w kraju, w odległym zakątku, odnajdzie się jakieś zbłąkane żydziątko, on sam by je chętnie przygarnął pod strzechę, by choć na starość mieć z niego pociechę”.

Nie mogłam uwolnić się od myśli, że ponieważ sprawdziła się zawarta w tym poemacie apokaliptyczna przepowiednia zagłady Żydów, może właśnie mnie czeka rola „zbłąkanego żydziątka”.

W PARTYZANTCE

Armia Krajowa w Starachowicach zaplanowała zbrojny napad na inkasenta konsumu fabryki zbrojeniowej. W przygotowaniu tej akcji brała udział Dziunia, która znała zwyczajnie inkasenta, przewożącego pieniądze z kas do odległej niemieckiej centrali. Na bocznej starachowickiej ulicy uzbrojeni ludzie z partyzantki mieli mu odebrać transportowany przez niego utarg.

Prawie cała rodzina Słowików współpracowała teraz z AK. Osoby pełniące kierownicze funkcje w konspiracji wielokrotnie przychodziły w sprawach organizacyjnych do naszego mieszkania. Mimo że ja osobiście nie należałam do organizacji, moja stała obecność w domu Słowików spowodowała, że przedstawiciel AK zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w przeprowadzeniu tego napadu. Miałam sprzeczne uczucia na temat mojego udziału w takiej akcji. Wiedziałam bowiem, że grozi mi podwójne niebezpieczeństwo i tym samym narażam dodatkowo Dziunię i jej matkę. Stale żywy był epizod z chłopcem, który wśród ludzi na rynku rozpoznał we mnie Żydówkę. Po tym zajściu starałam się unikać chodzenia po ulicach miasta, szczególnie sama.

Obie panie Słowik uważały natomiast, że pomimo zagrożenia powinnam się zgodzić na współpracę z AK. Nie znajdowały bowiem wytłumaczenia, dlaczego młoda dziewczyna, członek rodziny zaangażowanej w pracę podziemia, odmawia pomocy. Obawiały się, że takie moje stanowisko może być źle interpretowane przez organizację.

Parę dni przed planowanym napadem byłam w konsumie, w godzinach, kiedy inkasent odbierał tam pieniądze, i przyjrzałam mu się na

tyle dobrze, że potrafiłam go później rozpoznać na ulicy. Zjawiałam się również w umówionych miejscach, zazwyczaj w ruchliwych punktach miasta, gdzie mnie z kolei oglądali nie znani mi konspiratorzy. Nigdy nie udało mi się zidentyfikować ludzi, którzy przychodzili tam specjalnie, aby mnie obserwować.

Dzień, w którym miał się odbyć napad, był ciepły i słoneczny. O wyznaczonej godzinie siedziałam na kamiennym mostku udając, że odpoczywam po spacerze. Na ulicy było bardzo mało przechodniów. Niedaleko mnie dwaj mężczyźni rozmawiali ze sobą głośno. Kiedy nadjeżdżający na rowerze inkasent zrównał się ze mną, zdjęłam chustkę z głowy i zaczęłam poprawiać włosy. Był to umówiony znak – w ten sposób wskazywałam niewidocznym dla mnie partyzantom człowieka, na którego czekali. Na tym kończył się mój udział w całej akcji. Zaraz potem poszłam do domu, z poczuciem, że miałam jakiś udział w ogólnej walce przeciwko Niemcom.

Niebawem zawiadomiono nas, że biorący w napadzie partyzanci zostali schwytani i uwięzieni na gestapo. Nikt nie wiedział, czy ujęcie akowców było przypadkowe, czy też było wynikiem zdrady wewnątrz organizacji. Ponieważ aresztowani ludzie znali mnie z widzenia, obawiano się, że – torturowani podczas śledztwa – dokładnie mnie opiszą.

Pani Irena z kierownictwa starachowickiej AK zalecała w najbliższej przyszłości zachowanie jak najdalej idącej ostrożności. Natychmiast zlikwidowała u nas skrzynkę organizacyjną i zabrała wszystkie nielegalne materiały, przechowywane dotychczas na strychu. Poleciała również, abym opuściła mieszkanie Słowików i przeczekała niepewny okres gdzieś poza Starachowicami, najlepiej w okolicznej partyzantce.

Ciotka była przeciwna mojemu odejściu do lasu, uważała, że grozi mi tam większe niebezpieczeństwo niż w domu. Mnie natomiast pociągało życie w wojskowych oddziałach, poza zasięgiem niemieckiej władzy. Ponieważ kierowała mnie tam Armia Krajowa, ta rekomendacja stanowiła wystarczającą ochronę przed podejrzeniem o żydostwo. Panie Słowik wytłumaczyłyby sąsiadom, że zły stan zdrowia matki spowodował mój niespodziewany wyjazd do Warszawy i byłoby to przy okazji potwierdzeniem mego życiorysu.

Ostatecznie zdecydowała opinia Dziuni, która uważała, że dla wszystkich będzie bezpieczniej, jeżeli do wyjaśnienia sytuacji zniknę z domu. Wcześniej rano pożegnałam Dziunię i ciotkę. Było mi smutno rozstawać się z nimi; po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jak bliskie stały mi się te dwie kobiety. Maria, która przyjechała do nas z Końskich, była moim przewodnikiem.

Szliśmy piaszczystą leśną drogą pomiędzy drzewami. Na początku wędrowki nazbierałyśmy pełne koszyki grzybów. To miało usprawiedliwić naszą obecność na tym pustkowiu, w wypadku niespodziewanego pojawienia się Niemców. W pewnym momencie weszliśmy w głąb gęstego lasu. Nie było tam ścieżek, ale Maria poruszała się wśród drzew, kierując się niewidocznymi dla mnie znakami. Niespodziewanie zatrzymali nas dwaj mężczyźni, ubrani po cywilnemu, ale z bronią na ramieniu. Zażądali od nas hasła i gdy je otrzymali, podali nam dokładny kierunek dalszej drogi. Po całym dniu wędrowki w gęstym lesie weszliśmy pod wieczór na małą polankę. Zaskoczył mnie tam nieoczekiwany widok. Pośrodku otwartej przestrzeni powiewała duża, białoczerwona flaga, wokół niej siedzieli na trawie młodzi chłopcy. Ogarnęło mnie wzruszenie. Znalazłam się w wolnej Polsce.

Dowódca leśnej grupy, porucznik o pseudonimie „Grot”, był trzydziestoparolatkiem o ruchach i zachowaniu zawodowego wojskowego. Jego oddział składał się z kilkudziesięciu żołnierzy i stanowił jednostkę zgrupowania partyzanckiego AK, dowodzonego przez „Ponurego”.

„Grot” przywitał nas serdecznie. Znał historię nieudanego napadu na inkasenta i spodziewał się mojego przybycia. Po krótkim odpoczynku zaprosił nas na wieczorny posiłek. Przy stole ustawionym na środku polany znalazło się parę osób, między innymi Zdzisław Słowik, który został zawiadomiony o przybyciu siostry.

Ponieważ, ze względu na bezpieczeństwo partyzantów i ich rodzin, w oddziałach leśnych nie używano prawdziwych imion ani nazwisk, musiałam wybrać sobie jakiś pseudonim. Ktoś zaproponował, abym nazywała się Malina, na co bez wahania się zgodziłam.

Przy posiłku panowała wesoła atmosfera. Było dużo jedzenia i jeszcze więcej bimbrow, pędzonego z kartofli przez okolicznych chłopów.

Podczas ogólnej rozmowy przy stole dowiedziałam się, że niedawno czujka partyzancka zatrzymała przekradającego się między drzewami Żyda. Dowódca oddziału wydał wyrok rozstrzelania go. Na moje odważne pytanie „dlaczego”, powiedziano mi, że tak było bezpieczniej dla wszystkich. Pomyślałam z ironią, że mieli do pewnego stopnia rację, bo zabitemu Żydowi nie groziło już teraz żadne niebezpieczeństwo.

„Grot” wyznaczył mi namiot położony w centrum obozu i postawił całonocną wartę przed jego wejściem. Kiedy nazajutrz Maria wróciła do Starachowic, byłam jedyną kobietą w całym oddziale.

Przydzielono mnie do pracy w służbie sanitarnej. Obecnie nie było chorych ani rannych, ale to mogło się zmienić po pierwszej akcji. Kazik, lekarz obozowy, miły młody człowiek pochodzący ze Skarżyska, wyjaśnił mi, że w leśnych warunkach pomoc lekarska była ograniczona, brakowało bowiem instrumentów, opatrunków, a bimber był jedynym środkiem dezynfekującym. Zdzisław, który znał „leśne” plotki, w tajemnicy powiedział mi, że żona lekarza była ochrzczonej przed wojną Żydówką. Ktoś z sąsiadów doniósł o tym Niemcom i kobieta została aresztowana. Kazikowi udało się uciec i schronić w lesie, natomiast los jego żony był dotąd nieznany.

Obóz partyzantów „Grot” znajdował się nad małym strumykiem, głęboko w lesie. Obecnie przygotowywano się do przenosin w inną okolicę, ponieważ pozostawanie tylu ludzi w jednym miejscu było niebezpieczne. Cały oddział dzielił się na małe grupy z dowódcą każdej z nich. Niektóre jednostki wychodziły na różne akcje, podczas gdy reszta pozostawała w lesie. Partyzanci byli młodymi chłopcami, w większości pochodzili ze wsi. W lesie poznawali wojskowe życie i ćwiczyli prostą musztrę. Tylko część z nich miała broń – karabiny i pistolety przechodziły z rąk do rąk i przeznaczone były w pierwszym rzędzie dla tych, którzy wychodzili z obozu „na robotę”. Chłopcy musieli zdobyć potrzebną broń w walce z Niemcami.

W naszym oddziale mieliśmy konie i dlatego nosił on dumną nazwę konnicy. Nie było ich dosyć dla wszystkich żołnierzy, ale wystarczało dla idących na akcję. Żołnierze spędzali dużo czasu opiekując się nimi i robili to z widoczną serdecznością.

Ważnym problemem było zaopatrzenie w żywność tak dużej liczby młodych ludzi. Partyzanci, którzy wychodzili z obozu z zadaniem zdobycia jedzenia, nie zawsze mogli zadbać o jego różnorodność. Były więc dni, kiedy kolejno jedliśmy samą słoninę, jajka lub kaszę. Zdarzały się także wypadki, kiedy oddział wysłany po zaopatrzenie wracał bez niczego i wówczas w obozie panował głód. Na ogół nie brakowało jednak bimbru, który rozgrzewał chłopców i wprowadzał ich w dobry nastrój. Wieczorami wszyscy siadali wokół ogniska i śpiewali ludowe i żołnierskie pieśni. Ich głosy na pewno rozchodziły się daleko po lesie, ale najwidoczniej nikogo to nie niepokoiło. Najpiękniejsze były ballady o „Ponurym”, niezwykłym leśnym dowódcy, którego chłopcy uwielbiali i gotowi byli oddać za niego swoje młode życie.

Od pierwszych dni w obozie byłam szkolona w posługiwaniu się bronią. Łatwo dawałam sobie radę z rozkładaniem i składaniem różnego kalibru rewolwerów i karabinów, ale miałam trudności ze strzelaniem do celu. Nie potrafiłam zamknąć tylko jednego oka i, ku uciesze obserwujących, zawsze zamykałam równocześnie oba. Musiałam więc zasłaniać ręką oko, żeby dokładnie widzieć obrany cel. Zabierało mi to czas, którego mogłam nie mieć podczas akcji zbrojnej. Lekcji strzelania nie było jednak dużo, bo w obozie brakowało naboju i trzeba było je oszczędzać.

„Grot” dał mi w prezencie mały damski pistolet, tzw. czwórkę, i trochę naboju. Posiadanie broni dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Przyrzekłam sobie, że użyję jej przeciwko samej sobie, gdyby kiedykolwiek otoczyli nas Niemcy.

Jazda na koniu również sprawiała mi trudności. Po długich staraniach opanowałam wewnętrzny strach przed tym olbrzymim zwierzęciem i nawet wydawało mi się, że nawiązałam z nim osobisty kontakt. Nauczyłam się zakładać uprzęż i siodło. Umiałam szybko wsiadać i zsiadać z konia, nawet podczas jazdy. Nie potrafiłam jednak skoordynować ruchów z rytmem jego galopu i trzymać się mocno nogami. Mimo że miałam siedzieć w siodle wyprostowana, czułam się bezpieczniej obejmując konia za szyję, przytulona do jego grzbietu.

Po paru dniach pobytu w lesie przydzielono mnie do pierwszej akcji. Oddział, do którego zostałam włączona, składał się z około dziesięciu osób, a jego dowódcą był zastępca „Grot”. Wyruszyliśmy konno późnym popołudniem i długo jechaliśmy lasem. Zgodnie z poleceniem dowódcy, znajdowałam się zawsze w środku kolumny. Była ciemna noc, gdy zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Przez pewien czas czekaliśmy ukryci między drzewami na powrót wysłanych zwiadowców. Kiedy dostaliśmy wiadomość, że w najbliższej okolicy nie ma Niemców, ruszyliśmy galopem do leżącej nieopodal osady.

Zajechaliśmy do dużego gospodarstwa, położonego w środku wsi. Dowódca rozstawił żołnierzy przed zabudowaniami, a mnie polecił pilnować głównego budynku. Dostałam rozkaz niewpuszczania nikogo do środka. Trzymałam w ręce karabin przygotowany do ewentualnego strzału. Byłam przejęta moim udziałem w wyprawie, czułam współodpowiedzialność i silną więź ze współtowarzyszami. Miałam świadomość grożącego niebezpieczeństwa, ale nie bałam się. Wiedziałam, że dzielę los z pozostałymi partyzantami i to dawało mi poczucie spokoju.

Wokoło panowała cisza.

Po krótkim czasie dowódca wyprowadził z domu gospodarza w długiej białej koszuli i w kaletkach. Dostałam teraz rozkaz pilnowania znajdujących się w środku izby ludzi. Była tam płacząca kobieta, a wokół niej pełno przestraszonych dzieci. Stałam przy drzwiach z wymierzonym w nich karabinem.

Wracaliśmy galopem do obozu. Całą moją uwagę skoncentrowałam na koniu, którego trzymałam mocno za szyję. Bałam się, że lada moment zrzuci mnie ze swego grzbietu. Galopował między drzewami, nie kierowany przeze mnie. W tym pędzie zupełnie straciłam orientację i kontakt z oddziałem rozproszonym w ciemnym lesie. Miałam jednak nadzieję, że partyzancki koń zna drogę do obozu i będzie umiał sam tam wrócić. Przed świtem zobaczyłam wśród drzew znajome miejsce; poczułam się, jakbym przyjechała do domu. Nasza wyprawa była owocna, przywieźliśmy ze sobą dużo żywności.

Mijały tygodnie. Noce robiły się zimne i coraz częściej padał deszcz. Moje ubranie było stale mokre i nie miałam jak go wysuszyć.

Zagnieździły się w nim wszy i każdą wolną chwilę zajmowało mi polowanie na te gryzące stworzenia. Głodowałam, kiedy w obozie nie było jedzenia i piłam śmierdzący bimber, kiedy trzęsłam się z zimna.

Kilkakrotnie brałam udział w akcjach, niekiedy w odległych miejscach. Nie nauczyłam się jeździć wyprostowana na galopującym koniu ani strzelać z jednym okiem zamkniętym. Umiałam natomiast podczas długich nocnych marszów spać chodząc w szeregu. Nie znałam nazw miejscowości, do których nas wysyłano, ani ludzi, u których zjawialiśmy się w nocy. Wiedziałam, że najczęściej były to osoby współpracujące z partyzantką. Niekiedy jednak byli to niemieccy kolaboranci i nasze niespodziewane nocne wizyty stanowiły groźbę lub nawet karę.

Mimo wszystkich trudności i stałego zagrożenia, w jakim żyłam w obozie i podczas wypadów w teren, czułam się tu bezpieczniej niż w Starachowicach. Mały pistolet, który zawsze miałam przy sobie, poprawiał mi samopoczucie.

W lesie nie reagowałam już na słowo Żyd, tak jak w Starachowicach. Nie dostawałam wypieków na twarzy, kiedy partyzanci w mojej obecności opowiadali antysemitki kawały.

Pewnej niedzieli Maria zjawiła się w obozie. Przyniosła wiadomość od władz AK, że w czasie mojej nieobecności nie było aresztowań w związku z napadem na inkasenta konsumu. Najprawdopodobniej ujęci przez Niemców partyzanci nikogo nie wydali. Organizacja uważała, że mój powrót do Starachowic jest bezpieczny. Pożegnałam „Grot” i jego partyzantów. Odchodząc, z żalem oddałam pistolet.

DZIUNIA

Maria przeprowadziła mnie szczęśliwie przez las i po wielogodzinnym marszu weszliśmy na przedmieścia Starachowic. Był wieczór, kiedy dotarliśmy do mieszkania Stasi Słowik, żony Zdzisława, gdzie czekały już na nas ciotka i Dziunia.

Wszystkie trzy panie Słowik powitały mnie jak bliską osobę, powracającą do domu. Były wyraźnie zmartwione moją wychudłą twarzą, brudnym i zniszczonym ubraniem. Ciotka ubolewała, że uległa presji władz AK i zgodziła się, w momencie paniki, na moje odejście do lasu. Winiła siebie za niewygody, na które byłam narażona w partyzantce. W pewnej chwili podeszła do mnie i powiedziała:

– Nigdy więcej nie pozwolę, aby cokolwiek nas rozdzieliło. Jesteśmy teraz razem i łączy nas wspólny los. Co będzie z tobą, będzie również z nami.

Jej słowa bardzo mnie wzruszyły; stanowiły najwyższą nagrodę za moje trudy. Wiedziałam przecież, że podczas pierwszych miesięcy byłam przyczyną jej ciągłego zdenerwowania i częstego nocnego płaczu. Teraz widziałam, jak krańcowo zmieniło się jej nastawienie do mnie.

Dziunia powitała mnie z charakterystyczną dla niej żywiołową radością. Opowiadała mi o wszystkim, co zdarzyło się w ostatnim czasie i stale powtarzała, jak bardzo im mnie brakowało. Również Stasia ucieszyła się z mojego powrotu i zasypywała mnie pytaniami na temat warunków, w jakich przebywa jej mąż. Dziunia i jej matka kochały żonę Zdzisława, miały do niej zaufanie i ceniły jej mądrość życiową.

Stasia wiedziała o zaangażowaniu rodziny męża w pracę konspiracyjną, o istnieniu skrzynki AK w naszym mieszkaniu, o moim udziale w napadzie na inkasenta, co w konsekwencji zaprowadziło mnie do partyzantki. Znała tajemnice Dziuni związane z manipulacjami kuponami żywnościowymi. Wydawało mi się, że Stasia była dopuszczana do wszystkich tajemnic rodzinnych, z wyjątkiem jednej. Panie Słowik nie powiedziały jej prawdy o mnie i ani ona, ani jej mąż nie wiedzieli, że jestem Żydówką. Według mnie powodem tego zatajenia nie był brak zaufania, ale obawa, że sprzeciwiłoby się ryzykowaniu życia dla ratowania Żydówki.

Po krótkim odpoczynku doprowadziłam mój wygląd do porządku i razem udałyśmy się do mieszkania pań Słowik, w czasie zgodnym z przyjazdem pociągu z Warszawy. Helena i inni sąsiedzi powitali mnie serdecznie. Ich pytania o życie w stolicy i o zdrowie matki były dowodem, że wierzyli w mój pobyt w warszawskim domu.

Minął rok od tej zimowej nocy, kiedy zjawiłam się u pań Słowik. Wyraźnie pamiętałam chwilę, gdy weszłam do ich czystego, jasnego, ciepłego pokoju i wrażenie, jakie on na mnie wywarł. Od pierwszego momentu to mieszkanie stało się dla mnie najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Wydawało mi się ono magicznym spełnieniem marzeń, którymi żyłam od czasu ucieczki z getta.

Widziałam, że moje zjawienie się przeraziło i zdenerwowało obie kobiety. Czułam ich niechęć do mnie i widziałam ich strach. Mimo to wiedziałam, że za wszelką cenę muszę tutaj pozostać. Instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, abym była bezwzględna. Kazał mi trzymać się rękami i nogami tego, co nagle znalazłam. Czułam, że powinnam być ślepa i głucha na wszystko, co stawało temu na przeszkodzie. Postanowiłam wówczas, że nie wyjdę dobrowolnie z tego mieszkania.

Rocznica mego zjawienia się musiała również u Dziuni wywołać reminiscencje. Pewnego wieczoru, kiedy zostałyśmy same w kuchni, zaczęła mówić o swoich odczuciach tamtej pamiętnej nocy.

Zrozumiała, kim jest ta nieznajoma Maria, która rzekomo przyjechała do niej z Warszawy, jeszcze wtedy, gdy stałam po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Moje nagłe pojawienie się zaskoczyło ją.

przeraziły ją konsekwencje z tym związane. Starła się ukryć strach, aby nie wywołać podejrzeń u gospodyni i nie pogłębiać widocznego przerażenia matki. Kiedy zamknęła drzwi na korytarz i w oświetlonym pokoju po raz pierwszy spojrzała na mnie, jej przerażenie się spotęgowało. Zobaczyła bowiem w mojej twarzy i w zachowaniu odpychającą agresywność, niemal wrogość. Miała poczucie, że grozi jej bezpośrednie, fizyczne niebezpieczeństwo z mojej strony. Stała przed nią Żydówka – za wpuszczenie jej do mieszkania Niemcy mogli ukarać śmiercią całą rodzinę. I w dodatku osoba niosąca z sobą takie zagrożenie miała – jak to określiła Dziunia – „twarz bandyty”.

Nie wiedziała, jak na to wszystko zareagować. Nie była zdolna wyrzucić mnie z powrotem tam, skąd przyszłam. Bała się mnie, Heleny i całej tej sytuacji, w której niespodziewanie się znalazła. Starła się ukryć przed matką strach i bezradność. Postanowiła przede wszystkim nie przedłużać mojej obecności w pokoju i kazała mi położyć się spać. Później, pod osłoną ciemności, starała się opanować przerażenie. Pocieszała się myślą, że będę u niej tylko jedną noc i nazajutrz Sara zabierze mnie do siebie.

Wspomnienia Dziuni były dla mnie zaskoczeniem. Dowiedziałam się, jak wyraźnie wyczytała z mojej twarzy to, co – jak mi się wydawało – udało mi się przed nią ukryć. Przyznałam jej teraz, że właściwie oceniła wówczas moje uczucia.

Fakt, że mogłam szczerze jej to powiedzieć, pozwolił mi w pełni docenić zaistniałe zmiany. Po upływie roku nie tylko jeszcze mieszkałam ze spotkanymi tu kobietami, ale stałyśmy się sobie bardzo bliskie.

W ciągu przeżytych razem miesięcy poznałam trochę przeszłość obu pań Słowik. Dziunia w bardzo młodym wieku straciła ojca, który był jedynym żywicielem rodziny. Jej owdowiała matka była wówczas trzydziestoparoletnią kobietą, zupełnie nie przygotowaną do samodzielnego życia. Wyszła bowiem za mąż w wieku osiemnastu lat za dużo starszego od siebie mężczyznę, który traktował ją zawsze jak dziecko. Po jego śmierci Karola Słowik i jej troje dzieci zostali dosłownie bez środków do życia. Dziunia, jako najstarsza z rodzeństwa, zmuszona była zająć się o dwa lata młodszą Marią i o pięć lat młodszym Zdzisławem. Zaraz po ukończeniu gimnazjum przejęła na

siebie utrzymanie domu. Państwowa posada telegrafistki na Pocztę Główną w Łodzi dawała jej stałe, chociaż skromne zabezpieczenie dla całej rodziny.

Po pewnym czasie pani Karola powtórnie wyszła za mąż. Z jej wspomnień wynikało, że drugi mąż był przystojnym, młodym mężczyzną, w którym była bardzo zakochana. Niestety, to nowe małżeństwo nie trwało długo. Pani Karola ciężko odchorowała odejście męża. Przeżyty dramat oraz proces rozwodowy wywołały u niej przewlekłe problemy zdrowotne.

Dziunia nigdy nie wspominała tego czasu. Zauważyłam nawet, że kiedy tylko ciotka Karola zaczynała mówić o swoim drugim mężu, jej córka przerywała rozmowę na ten temat. Z różnych niedomówień wynikało, że matka obwinia Dziunię za swoje nieudane drugie małżeństwo. Na podstawie fragmentarycznych uwag obu pań stworzyłam sobie obraz tego, co się wtedy stało. Według mnie, mąż pani Karoli i jego młoda pasierbica zakochali się w sobie i ich miłość stała się przyczyną rodzinnej tragedii.

To tłumaczyłoby, dlaczego Dziunia nigdy nie opowiadała o swoim życiu uczuciowym i dlaczego ta atrakcyjna, pełna niewyczerpanej dobroci kobieta wyraźnie stroniła od związku z mężczyzną. Zdanie ciotki, że Dziunia pozostanie z nią i przez całe życie będzie płacić za błędy młodości, potwierdzało moje podejrzania.

W latach poprzedzających wojnę sytuacja materialna pani Karoli znacznie się poprawiła. Uzyskała bowiem koncesję na sprzedaż alkoholu i papierosów, które były objęte państwowym monopolem. Maria młodo wyszła za mąż i opuściła rodzinę, Zdzisław wstąpił do podchorążówki. Tylko najstarsza córka pozostała w domu z matką.

Dziunia była o siedemnaście lat starsza ode mnie, ale robiła wrażenie mojej rówieśnicy. Kiedy po całodziennej pracy w konsumie wracała wieczorem do domu, natychmiast wносиła do niego życie. Chętnie opowiadała o wszystkim, co wydarzyło się jej w ciągu dnia, lubiła dzielić się swoimi przeżyciami. Dzięki jej plastycznym relacjom łatwo mogłam wyobrazić sobie sytuacje, które jej się przytrafiały i klientów, którzy zjawiali się przed okienkiem kasy.

Dziunia była optymistką i to nastawienie było motorem jej życia. Umiała też przekazywać innym swoją wiarę w lepsze jutro. Jej optymizm i zdolność zrozumienia drugiego człowieka sprawiały, że wszyscy do niej lgnęli. Obcy ludzie, którzy odbierali przydziały, opowiadali jej o swoich problemach, szukając u niej zrozumienia i rady. Wielokrotnie dowiadywała się później, że jej słowa dawały im nadzieję i siłę.

Dziunia głęboko współdczuwała życiowe trudności ludzi i to wywoływało w niej wewnętrzną potrzebę przyjscia im z pomocą. Ta ofiarność wiązała się przeważnie z osobistym zagrożeniem. Byłam pełna podziwu dla jej cichej odwagi, okazywanej w niebezpiecznych sytuacjach, o które ocierała się na każdym kroku. Na co dzień wybuchowa i emocjonalna, w takich momentach stawała się opanowana i swoim zachowaniem bagatelizowała zagrożenie.

Te cechy charakteru pozwoliły jej zaakceptować moją obecność w domu i stałe niebezpieczeństwo z tym związane. One również powodowały, że narażała się codziennie w pracy wydając nielegalne przydziały żywności tym, którzy nie mieli środków do życia. Do armii jej podopiecznych należała cała rodzina, sąsiedzi, członkowie różnych podziemnych organizacji politycznych i dosłownie każdy człowiek, który poprosił ją o pomoc. Ona sama bardzo niechętnie o tym mówiła i zawsze umniejszała swoją rolę, określając ją jako „koleżeńską przysługę”. Niekiedy przypadek pozwalał zobaczyć, jak bardzo ludzie cenili Dziunię za jej dobroć.

Pewnego razu zjawiała się u nas nieznaną dziewczyna z dwoma jankami dla pani Dziuni. To był zimą kosztowny prezent, a ofiarująca go nie wyglądała na zamożną. Okazało się, że ta młoda osoba pracowała kiedyś w fabryce zbrojeniowej. Rok temu straciła zatrudnienie i związany z tym zarobek. Ponieważ była jedynym żywicielem starych rodziców i kilkunastoletniego brata, cała jej rodzina zostałaby bez środków do życia, gdyby nie „złote serce pani Dziuni”.

Podjeżdżałam, że Dziunia płaci zdrowiem za opanowanie podczas licznych niemieckich kontroli w konsumie. Jej częste bóle i zaburzenia żołądkowe były, według mnie, wynikiem przeżywanego stresu i tłumionego zdenerwowania.

Dziunia była gorącą patriotką. Okazywała przy tym tolerancję nawet wobec skrajnych poglądów politycznych. Najważniejsze dla niej było szybkie pokonanie Niemców i oswobodzenie Polski. Całym sercem popierała każdą walkę o niepodległość. Osobiście związana była z Armią Krajową. Dzięki jednak długoletniej przyjaźni z naszym sąsiadem, Stanisławem, wciągnięta była także w pracę Gwardii Ludowej i udzielała pomocy jej członkom. Na skutek wstawiennictwa pani Ireny z kierownictwa starachowickiej AK, Dziunia pomagała również dwóm braciom, aktywnym członkom Narodowych Sił Zbrojnych, wydając im przydziały żywnościowe.

Dziunia była głęboko wierzącą i praktykującą katoliczką, a jednocześnie osobą bardzo tolerancyjną wobec ludzi, którzy mieli inne podejście do wiary i religii niż ona. Szanowała poglądy Stanisława, który wielokrotnie manifestował bezkompromisowy ateizm. Mimo że co niedziela chodziliśmy razem na nabożeństwa, moje uczęszczanie do kościoła wyraźnie traktowała jako konspiracyjną konieczność, a nie sposób nawrócenia mnie na chrześcijaństwo. Nigdy nie starała się przekonać mnie o istnieniu Boga ani o słuszności wyznania rzymskokatolickiego. W przeciwieństwie do niej ciotka Karola wielokrotnie mówiła mi, że jej marzeniem jest, abym została kiedyś katoliczką. Dziunia przyjmowała takie uwagi matki z zagadkowym uśmiechem.

Katolicyzm wydawał mi się piękną religią – dobrze byłoby stać się częścią tego Kościoła. Przynależność do niego stanowiła silną więź z całym polskim narodem. Katolicyzm dawał wiernym nadzieję, że Bóg ich słyszy, Chrystus kocha, a Matka Boska rozumie i chroni w razie potrzeby. Ja natomiast jeszcze szukałam znaku istnienia Boga. Nie udawało mi się wzbudzić w sobie potrzeby modlitwy; wszelkie takie próby były tylko przejawem rozpacz. Lubiłam jednak chodzić na nabożeństwa. Muzyka organowa wywoływała we mnie dziwne wzruszenie. Tłum modlących się i chóralne pieśni dawały mi złudzenie przynależności do otaczających mnie ludzi. Skulona na klęczkach, czułam się pokorna, wdzięczna za los, który mnie ocalił i zapomniałam o pytaniu, dlaczego moi bliscy zginęli. Nigdy jednak nie przeszłam na katolicyzm.

Urodziłam się Żydówką i Żydami byli wszyscy członkowie mojej rodziny, przyjaciele, otoczenie, w którym przeżyłam osiemnaście lat. Z powodu swojego żydostwa zginęli straszną śmiercią. Ta tragedia sprawiła, że czułam z nimi więź, silniejszą niż kiedykolwiek. Gdybym nawet chciała, nie byłam w stanie jej zerwać.

BYLE DO WIOSNY

Zima 1943/44 była dla mnie wyjątkowo uciążliwa, mroźne tygodnie ciągnęły się bez końca.

Moje sznurowane buty, zrobione przed wojną na zamówienie u szewca w Końskich, były już bardzo zniszczone. Palce wypchały w nich dziury, które musiałam maskować zasmarowanym pastą do obuwia materiałem. Przez cienkie jak papier podeszwy wyczuwałam każdą grudkę ziemi i każdy kamień na drodze. Moje stopy były często boleśnie zmarznięte, mimo że przed wyjściem na dwór owijałam je warstwami papierów i szmat. Chociaż te znoszone buty stanowiły słabą ochronę przed zimnem, martwiłam się, że pewnego dnia kompletnie się rozlecą i zostanę bosa. Miałam wyjątkowo długie stopy i buty ciotki i Dziuni były na mnie za ciasne.

Nie miałam żadnych szans na nowe obuwie. W konsumie nigdy nie wydawano butów na przydziały, a cena tych, które czasem sprzedawano na rynku, była dla mnie astronomiczna. Nawet drewniaki, wyrabiane przez nowych szewskich specjalistów, kosztowały tyle, że Dziunia nie mogłaby sobie pozwolić na taki wydatek, a ja nie miałam przecież żadnych pieniędzy.

Palto zimowe, uszyte w Końskich w 1938 roku, strzepiło się i darło. W getcie nosiłam je stale, często nawet nie zdejmowałam go na noc. W Starachowicach było moim jedynym zewnętrznym okryciem i chroniło mnie w chłodne dni przez cały rok. Podczas zimowych miesięcy przyszywałam do niego futrzany kołnierz, który odpruwałam na wiosnę.

Wszystkie części mojej ubogiej garderoby, bez przerwy noszone i prane, rozlatywały się, mimo ciągłego reperowania. Kiedy zjawiłam się u pań Słowik pod koniec 1942 roku, nie posiadałam niczego poza tym, co nosiłam na sobie. Miałam wówczas podwójną warstwę ciepłej bielizny, wełnianą sukienkę, granatowy sweter i zimowe palto.

Maria postanowiła pojechać do organisty, u którego spędziłyśmy z Sarą i Helenką noc po ucieczce z getta. Zostawiłyśmy tam dwie walizki z bielizną i ubraniami, uciekając w środku nocy przed gospodarzem i jego kumplami. Byłam przeciwna tej wyprawie. Nie chciałam, żeby Maria narażała się dla paru sztuk ubrania. Organista okazał się człowiekiem zdolnym do zamordowania Żydówek i obawiałam się, że może być teraz groźny także dla aryjki. Jednak mimo moich zastrzeżeń Maria wykonała swój plan. Jadąc z Końskich do Starachowic wysiadła w Czarnieckiej Górze i niespodziewanie zjawiła się w domu organisty. Oświadczyła mu, że przysłała ją Armia Krajowa po rzeczy pozostawione 2 listopada 1942 przez kobiety, którym ta tajna organizacja pomogła uciec z koneckiego getta.

Organista był bardzo zaskoczony i długo tłumaczył się, jak bardzo chciał wówczas pomóc Żydówkom, a te okazały się niewdzięczne i potajemnie opuściły jego dom. Nie zaprzeczał, że zostawiły walizki z ubraniami. Twierdził jednak, że w międzyczasie został okradziony i złodzieje zabrali między innymi rzeczy pozostawione przez uciekinierki. Na skutek gróźb Marii, organista oddał jej parę sztuk garderoby, które rzekomo pozostały po kradzieży. Dzięki tej wyprawie dostałam bardzo cenną dla mnie zmianę bielizny i dodatkowe sukienki. Niestety, wśród odzyskanych rzeczy nie było obuwia.

Z wielką niecierpliwością czekałam na nadejście wiosny. Ciepłe dni miały przynieść koniec wojny. Stanisław twierdził, że wiosną 1944 roku musi nastąpić ostateczna klęska Niemców. I znowu hasło „byle do wiosny”, powtarzane niezmiennie przez cztery kolejne wojenne lata, miało być zapowiedzią wyzwolenia.

Informacje o działaniach wojennych, w których była mowa o systematycznych sukcesach aliantów, potwierdzały optymizm Stanisława i budziły powszechną nadzieję. Na wschodzie armia sowiecka posuwała się wielkim łukiem naprzód – oswobodzony został między

innymi Smoleńsk, Kijów, Nowogród – a na południu dotarła do granic Rumunii.

Alianci wylądowali w południowych Włoszech i pokonana armia włoska wypowiedziała wojnę Niemcom, swoim niedawnym sojusznikom. Przywódcy świata, Roosevelt, Churchill i Stalin, przyjechali do Teheranu, by ułożyć wspólny plan ostatecznego pokonania Hitlera.

Słuchając wiadomości z frontów, odtwarzałam mapę Europy i w myśli zaznaczałam na niej wyzwolone miejscowości. Z oddaniem śledziłam kolejne zwycięstwa armii sojuszniczych. Miałam poczucie, że są mi potrzebne do życia jak powietrze i pożywienie. Widziałam w nich sens każdego przeżytego dnia i czekania na kolejne jutro. Mimo że wierzyłam w zbliżającą się ostatnią godzinę panowania hitleryzmu, coraz trudniej było mi na nią czekać. Stawałam się coraz bardziej niecierpliwa i nerwowa. Postępy aliantów były dla mnie zbyt powolne; armia sowiecka, wraz z którą miało nadejść moje wyzwolenie, znajdowała się zbyt daleko.

W tym samym czasie, kiedy coraz bliższa stawała się niemiecka klęska, słabła moja nadzieja, że uda mi się przetrwać ostatni okres ich władzy i doczekać wyzwolenia. Z każdym upływającym dniem coraz bardziej torturowałam się różnymi myślami. Wmawiałam sobie, że los kpi z mojej naiwnej wiary w przeżycie. Nie zastanawiałam się przy tym, co ja tak naprawdę rozumiem przez pojęcie „los”. Czy to złośliwy Bóg, czy jakaś niezrozumiała siła, która kieruje światem, czy też splot różnych przypadków. Najważniejsze jednak, że uwierzyłam, że ten „los” pozwalał mi czasem czuć się bezpieczną tylko po to, abym lepiej zrozumiała, że moje prawdziwe miejsce jest razem ze wszystkimi wymordowanymi Żydami. Wmówiłam sobie, że niezależnie od tego, co będę robić i jak będę się bronić, zginę w ostatnim momencie wojny.

Ta masochistyczna teoria tak bardzo mnie męczyła, że chwilami wydawało mi się, że tracę rozum. Każda dobra wiadomość z jednej strony cieszyła mnie, jako zapowiedź końca władzy niemieckiej, a z drugiej – kojarzyła się z moją wyimaginowaną zagładą.

Wzrastał we mnie strach, który nie zawsze udawało mi się pokonać. Czasami, przeważnie w nocy, lęk dławił mnie i przyspieszał bicie ser-

ca. Bałam się. Bałam się podejrzeń, rozpoznania, wydania i cierpień. Bałam się śmierci, z każdym dniem coraz bardziej.

Pewnego razu miał miejsce wypadek, który mi pokazał, jak łatwo uzewnętrzniam swój strach w momencie zaskoczenia.

Robiłam teraz dla ciotki na drutach ciepły kostium z wełny, która pochodziła z hodowanych przeze mnie angorowych królików. Dziunia oddała ją do uprzedzenia na włóczkę, a ja ufarbowałam na niebieski i biały kolor. Zaprojektowałam dwuczęściowy niebieski kostium, składający się z lekko poszerzanej spódnicy i z zapinanego z przodu długiego żakietu. Spódnica ozdobiona była białym ornamentem, przypominającym stylizowane kwiaty. Taki sam motyw znajdował się na klapach i na kołnierzu żakietu. Miałam pewne doświadczenie w robieniu swetrów na drutach. W getcie wielokrotnie wykonywałam je na zamówienie, za opłatą – ze starej wełny, pochodzącej ze sprutych swetrów.

Któregoś dnia, gdy byłam zajęta pracą nad spódnicą, Helena, nie zauważona przeze mnie, obserwowała moją robotę. Zaskoczył mnie jej głos:

– Nigdy nie widziałam, żeby jakaś Polka umiała tak szybko robić na drutach. Tak kiedyś pracowały tylko Żydówki.

Natychmiast zalała mnie fala gorąca i wypieki pokryły całą twarz. Prerażona, że Helena to zauważy, zrzuciłam z kolan kłębek wełny. Kulka potoczyła się pod łóżko, a ja wsunęłam się tam za nią. Ta akrobacja dała mi trochę czasu, żeby ochłonąć. Później długo jeszcze nie mogłam opanować zdenerwowania i pohamować dławiących mnie nudności. Szczęśliwie Helena niczego nie zauważyła.

Mimo że na dalekich frontach Niemcy ponosili klęskę, ich zachowanie w Starachowicach nie wskazywało na to, żeby w krótkim czasie mieli opuścić miasto. Okupanci stawali się coraz bardziej brutalni. Dziunia skarżyła się, że częściej przeprowadzano teraz inspekcje w konsumie i kontrolerzy byli bardziej bezwzględni. Na ulicach miasta Niemcy urządzali łapanki i wywozili ludzi na roboty w głąb Rzeszy. Robili blokady ulic i nocne aresztowania. Stale słyszałam o polowaniach na ukrywających się po aryjskiej stronie zbiegów z gett.

Wszystkowiedząca Helena informowała nas o lokalnych wypadkach wykrywania Żydów. Dowiedziałam się od niej między innymi, że granatowa policja aresztowała w sąsiednim domu znane mi z widzenia małżeństwo z kilkuletnią dziewczynką. Po pewnym czasie dorośli wrócili sami do swego mieszkania i nikt więcej nie widział dziecka. Gospodyni twierdziła, że dziewczynka na pewno była Żydówką, bo miała ciężkie powieki i przerażony wyraz twarzy. Jej podejrzania potwierdzał fakt, że para małżeńska w krótkim czasie opuściła swoje mieszkanie, nie podając sąsiadom nowego adresu.

Helena była oburzona na ludzi, którzy trzymali żydowskie dziecko w domu i to w dodatku w jej sąsiedztwie. Pytanie, kto zadenuncjował tych ludzi, nie ciekawiło jej; nie widziała niczego złego w postępowaniu osoby, która donosi na Żydów. Był to jeden z opowiadanych mi przypadków, kiedy w wyszukiwaniu Żydów pomagała miejscowa ludność. Polacy umieli wytropić semickie cechy u Żydów o pozornie aryjskim wyglądem. Mogły to być smutne oczy, ciężkie powieki, duży nos, grube wargi, kręcone włosy, chude ręce, szczupłe nogi i dziesiątki innych szczegółów. Niemcy nie byli w stanie tak wnikliwie przyglądać się wszystkim mieszkańcom.

Pewnego zimowego wieczoru Niemcy otoczyli małą ulicę, przy której mieszkał Zdzisław Słowik ze swoją rodziną. W czasie tej blokady Zdzisław był u siebie w mieszkaniu. Leśny oddział został bowiem rozwiązany na czas zimy i partyzanci wrócili do rodzin lub ukryli się w różnych „melinach”.

Zdzisławowi udało się uciec z domu i przedostać pod osłoną ciemności do matki. Nikt nie wiedział, kogo i czego szukali Niemcy i dla czego przeprowadzali rewizje w każdym kolejnym domu. Zdzisław obawiał się, że to właśnie jego szukano, na skutek zdrady w organizacji. Gdyby jego podejrzania okazały się słuszne, Niemcy mogli przyjść po niego również do znajdującego się niedaleko mieszkania matki. Ich zjawienie się u nas w domu zagrażało również mnie. Dziunia postanowiła, że Zdzisław i ja ukryjemy się na strychu nad komórkami i pozostaniemy tam aż do wyjaśnienia sytuacji.

Strych był mały i niski. Z sufitu zwisały pajęczyny. Na podłodze rozsypana była słoma. Przez szpary w luźno zbitych deskach dostawało

się do środka mroźne powietrze. Głos w ciszy nocnej rozchodził się daleko i od czasu do czasu słyszałam pojedyncze niemieckie komendy. Skuliłam się w kącie i zmęczona szybko zasnęłam. Obudził mnie Zdzisław, który w brutalny sposób chciał wykorzystać zaistniałą sytuację. Ponieważ spotkał się z moim oporem, nie przebierał w środkach. Mierzył we mnie z rewolweru, dusił, bił po twarzy, szarpał za włosy i rozdzierał moje ubranie. Zachowywał się jak dzikie zwierzę. Groził w furii, że wyda mnie w ręce gestapo i obrzucał mnie ordynarnymi, antysemitycznymi obelgami. Twierdził, że już od dawna wie, kim naprawdę jestem; był oburzony, że będąc tylko Żydówką nie chciałam jego, Polaka.

Mimo że Zdzisław nie wypuszczał z ręki rewolweru, byłam pewna, że do mnie nie wystrzeli. Biłam go i ciągnęłam za włosy. Byłam silna i udało mi się obronić przed jego atakami.

Nad ranem zjawiła się na strychu Stasia. Przyszła po męża, ponieważ Niemcy zakończyli rewizję na ich ulicy. Najwyraźniej to nie Zdzisława szukali, nie weszli nawet do jego mieszkania.

Wróciłam pod opiekuńcze skrzydła ciotki Karoli i Dziuni. Później, leżąc już w łóżku, zastanawiałam się, w jaki sposób Zdzisław domyślił się, że jestem Żydówką. Nigdy ani on, ani Stasia nie zostali dopuszczeni do tej tajemnicy. Moje alibi, opracowane z takim trudem, okazało się słabe jak nitki pajęczyn, które wisiały na strychu.

Myślałam o tym, jak różne były dzieci ciotki Karoli. Dziunia była dla mnie symbolem wszystkiego, co najlepsze i najpiękniejsze w człowieku. Jej brat okazał się brutalem i antysemitą. Miałam wrażenie, że nie zawahałby się nawet przed wydaniem mnie Niemcom, gdyby nie konsekwencje grożące jego matce i siostrze.

Nazajutrz, gdy znalazłyśmy się same, Dziunia zapytała, czy stało mi się coś złego podczas nocy spędzonej na strychu ze Zdzisławem. Mimo że zapewniałam ją, że nie, serdecznie przeproszała mnie za zachowanie swego brata.

„MARYLA, CO MAMY ZROBIĆ?”

Na początku wiosny 1944 skończyłam kostium dla ciotki Karoli. Wykonany na drutach strój, podszyty od spodu podszewką, był bardzo elegancki; ciotka wyglądała w nim tak pięknie i młodo, że zwracała na siebie powszechną uwagę.

Tą kilkumiesięczną pracą starałam się wyrazić to, czego nie byłam w stanie wypowiedzieć słowami. Nigdy bowiem nie powiedziałam pani Karoli Słowik o moim uczuciu wdzięczności za to, że pozwoliła mi żyć u siebie. Wydawało mi się, że słowa są na to za ubogie, a głos za słaby. Ciotka była bardzo zadowolona z mojego dzieła i twierdziła, że to najładniejszy kostium, jaki kiedykolwiek miała. Pokazywała go każdemu i chwaliła mnie tak, że czułam się zażenowana. Chyba zrozumiała, co chciałam jej przekazać, bo zawsze, gdy wkładała kostium, uśmiechała się do mnie szczególnie ciepło.

Dziunia chciała, abym zrobiła jej podobny strój i określiła już nawet jego kolor, fason i wzór. Chwilowo nie miałyśmy jednak wełny. Przewidywałam, że nagromadzę potrzebną ilość włóczki najwcześniej za pół roku. Z prostego rachunku wynikało więc, że kostium dla Dziuni będę mogła robić dopiero w styczniu 1945. Wizja jeszcze jednego roku pod niemiecką okupacją przerażała mnie, trudno mi było myśleć o tej pracy. Tak jak zawsze ukryłam mój niepokój przed paniami Słowik i dalej zajmowałam się hodowlą królików.

Wraz z nadejściem ciepłych dni nasze życie potoczyło się podobnie jak rok temu o tej samej porze. Ciotka zaczęła uprawę swoich grządek w ogrodzie warzywnym Heleny, zapewniając samą siebie i otoczenie,

że kiedy dojrzeją owoce jej pracy, ona będzie już mieszkała z powrotem w Łodzi. Zdzisław wrócił do partyzanckiego oddziału w lesie. Maria była nadal łączniczką i dzięki niej Stasia dostawała regularne wiadomości o mężu.

W skrzynce akowskiej w naszym mieszkaniu znów przechowywałyśmy rzeczy przeznaczone dla oddziałów leśnych i dla miejskiej organizacji.

Pewnego dnia chłopiec z sąsiedztwa przybiegł na podwórze z wiadomością, że Niemcy zajęli autami na naszą ulicę. Z jego słów wynikało, że rozpoczęli systematyczną rewizję mieszkań przy ulicy Kilińskiego, w odległości około pół kilometra. Oddział SS posuwał się w naszym kierunku, przeszukując kolejne domy. Rewizja mieszkania zagrażała naszemu życiu. Poprzedniego dnia AK dostarczyła do nas kilkudziesięciokilogramowy worek wojskowych sucharów, przeznaczony dla partyzantów, którzy mieli go zabrać podczas jednej z najbliższych nocy. Była tam również paczka nielegalnych gazetek.

Dziunia od kilku dni leżała chora, z podwyższoną temperaturą. Niespodziewana wiadomość o zbliżającym się oddziale SS i grożącej nam rewizji zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Zawsze dzielna i opanowana, teraz, osłabiona chorobą, nie mogła powstrzymać strachu. Twierdziła, że nie ma dla nas żadnej możliwości ratunku i kazała przygotować się na nadchodzącą śmierć. Uklękała pośrodku kuchni i zaczęła się modlić, obojętna na to, co dzieje się wokół niej. Ciotka Karola na próżno starała się do niej przemówić. Bezradna, zwróciła się o pomoc do mnie. Jej słowa: „Maryla, ratuj Dziunię” – natychmiast wyzwoliły we mnie energię.

Zdałam sobie sprawę, że obie kobiety nie są zdolne podjąć decyzji o ucieczce i dlatego ciężar ratowania naszej trójki spoczywa wyłącznie na mnie. Musiałam się spieszyć, sytuacja wymagała natychmiastowego działania. Widziałam pewną analogię między obecną chwilą a okresem poprzedzającym moje wyjście z getta. I wtedy, i teraz byłam całkowicie pewna, że tylko natychmiastowa ucieczka daje szansę ratunku i że powinnam ratować życie najbliższych. Teraz była to Dziunia i jej matka.

Należało jak najszybciej wyjść z domu. Kiedy powiedziałam o tym ciotce i Dziuni, nie wyraziły sprzeciwu. W międzyczasie spaliłam całą konspiracyjną prasę i rozsypałam popiół pod kuchnią. Przesunęłam wielki i ciężki wór z sucharami w najciemniejszy kąt strychu i rzuciłam na niego stertę rzeczy. Pomogłam Dziuni i jej matce ubrać się i zabrać ze sobą najbardziej konieczne rzeczy.

Starszej pani Słowik ciężko było opuścić mieszkanie i zostawić tę drobną część przedwojennego dobytku, z trudem uratowaną podczas wysiedlenia z Łodzi. Przerazało ją niebezpieczeństwo związane z ucieczką i groźba ewentualnej tułaczki. Nie miała również zaufania do swojej wytrzymałości fizycznej, bała się, że przez nią wszystkie zostaną złapane. Proponowała, że zostanie w mieszkaniu i poczeka na nadejście esesmanów. Miała nadzieję, że udałoby się jej odwrócić ich uwagę od znajdującego się na strychu worka z sucharami. Liczyła na szacunek Niemców dla starszej kobiety i wierzyła, lub chciała wierzyć, że jej osobiście nie grozi z ich strony niebezpieczeństwo.

Argumenty ciotki nie przemawiały do mnie. Wiedziałam, że jeśli SS znajdzie w mieszkaniu wojskowe suchary w ilości wystarczającej, by nakarmić cały oddział żołnierzy, nie uratuje jej podeszły wiek. Nie miałam żadnych złudzeń co do humanitarnej postawy Niemców.

Rozumiałam, że ciężko jej było zostawić, po raz drugi w życiu, wszystko co posiada. Dobrze jednak pamiętałam Żydów, którzy nie uciekli na wschód na początku wojny, bo nie chcieli stracić swego dorobku. Znałam tragiczne konsekwencje tej decyzji. Wojenne doświadczenia nauczyły mnie, że nie należy narażać życia dla ratowania rzeczy. Obie z Dziunią kategorycznie odmówiłyśmy ucieczki bez ciotki i zmusiłyśmy ją do opuszczenia mieszkania.

Szybko przeszliśmy przez podwórze i wydostałyśmy się za ogrodzenie. Na przyległym do naszego domu polu rosło młode żyto. Było jeszcze niskie i idąc musiałyśmy bardzo się pochylać. Gdy tylko usłyszałyśmy głosy, kładłyśmy się bez ruchu na ziemi do czasu, aż znowu zapadła cisza. Ciotce Karoli było bardzo trudno iść przez żyto. Stale zgięta, uskarżała się na ból krzyża. Poza tym cała była mokra od potu. Nie mogła złapać oddechu i przystawała zadyszana. Staralam się jej pomóc – zdjęłam z niej ciepłe okrycie, nosiłam jej rzeczy i podtrzy-

mywałam ją, aby łatwiej było jej iść. Uspokajałam ją, pocieszałam i zachęcałam do dalszej drogi.

Dziunia, osłabiona parodniową chorobą, posuwała się również z dużym wysiłkiem i często kładła się wyczerpana na ziemi, niezdolna do następnego kroku. Wówczas ciotka w magiczny sposób odzyskiwała siłę i wspólnie pomagałyśmy Dziuni iść dalej. Kiedy pozwoliłyśmy sobie na pierwszy dłuższy odpoczynek, dzieliła nas już dość duża odległość od domu. Po paru godzinach znalazłyśmy się w dzielnicy odległej o około trzy kilometry od ulicy Kilińskiego. Tam byliśmy już poza zasięgiem niemieckiej blokady.

Przeczekaliśmy do wieczora na polnej miedzy. Dopiero wtedy postanowiłam pójść po wiadomości do Stasi Słowik. Obie panie były tak wyczerpane wielogodzinną drogą, że wołały pozostać na miejscu do czasu mego powrotu.

Od Stasi dowiedziałam się, że blokada SS objęła tylko część ulicy Kilińskiego i skończyła się parę godzin temu. Niemcy odwołali dalsze rewizje o kilka domów od naszego.

Ciotka odchorowała tę ucieczkę. Czułam się za to odpowiedzialna i męczyły mnie wyrzuty sumienia. Fakt, że cały jej wysiłek okazał się niepotrzebny, pogłębiał moje poczucie winy. Mimo to wiedziałam, że gdyby podobna sytuacja powtórzyła się, postąpiłabym identycznie.

Panie Słowik nie miały do mnie pretensji, wprost przeciwnie, obie okazywały mi szczególną serdeczność i zaufanie. Teraz w wielu sprawach nie tylko pytały mnie o zdanie, ale akceptowały moje decyzje. Obie często pytały: „Maryla, co mamy zrobić?”. Z jednej strony pochlebiało mi, że ode mnie oczekiwały decyzji. Z drugiej, czułam dodatkowy ciężar tej nowej sytuacji. Żyłam przecież w ciągłym lęku, że ktoś niespodziewanie spojrzy na mnie i zawoła: „Ludzie, to jest Żydówka”. Ten strach, zatajony przed Dziunią i jej matką, sprawiał, że wielokrotnie miałam poczucie, iż tracę zmysły. Nie miałam więc do siebie zaufania i obawiałam się, że moja ocena sytuacji nie zawsze jest właściwa.

Któregoś dnia władze starachowickiej AK zwróciły się do ciotki Karoli z prośbą o udzielenie schronienia członkowi organizacji. Jego dotychczasowe miejsce pobytu było „spalone” i AK musiała go gdzieś

„zamelinować” na kilka tygodni. Obie panie skłonne były przyjąć nieznanego. W odpowiedzi na ich pytanie: „Maryla, co mamy zrobić?”, zasugerowałam, aby wykorzystać jego pobyt dla wzmocnienia mego alibi wśród sąsiadów. Ciotka zgodziła się, żeby u nas zamieszkał pod warunkiem, że będzie uchodził za mego brata. Dzięki temu ja dostałam nowe potwierdzenie fałszywego życiorysu, a on bezpieczne miejsce.

Podobnie jak kiedyś ostentacyjnie oczekiwałam przyjazdu mojej matki, tak teraz obwieściłam wszystkim o spodziewanych odwiedzinach mego brata. Tym razem wiedziałam, że mój „brat” naprawdę zjawi się w naszym mieszkaniu. Pewnego wieczoru młody człowiek zapukał do drzwi i przedstawił się jako Jerzy Czajkowski.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, o jasnych oczach, ciemno blond włosach i przyjemnej, uśmiechniętej twarzy dużego dziecka. Miał, tak jak ja, dziewiętnaście lat, ale nie wyglądał na swój wiek. Ustaliliśmy, że będzie uchodził za młodszego ode mnie o dwa lata.

Wieczorem wprowadziłam go w mój aryjski życiorys, którego różne elementy były dobrze znane sąsiadom. Okazał się chętnym i zdolnym uczniem. Przyjmował wszystkie instrukcje i wiadomości, nie zadając niepotrzebnych pytań.

Nowy współlokator dostał moje łóżko w kuchni, a ja spałam na sienniku w pokoju z ciotką i Dziunią. Jurek był bardziej dojrzałym człowiekiem niż można było wnioskować z jego dziecinnej powierzchowności. Greczny, inteligentny i odczytany, łatwo nawiązywał towarzyskie kontakty i szybko zaskarbił sobie sympatię sąsiadów, którzy przekazywali mi komplementy na jego temat. Niektórzy z nich doszukiwali się nawet dużego podobieństwa między nami.

Jurek starał się we wszystkim mnie wyręczać, pomagał w zajęciach domowych. Teraz on nosił wodę, rozpałał ogień pod kuchnią, rąbał i układał w komórce drewno na zimę. Wieczorami opowiadaliśmy sobie przeczytane kiedyś książki i dyskutowaliśmy na ich temat. Nie rozmawialiśmy nigdy o naszym osobistym życiu. Mimo że Jurek żył z nami w jednym małym mieszkaniu, nie znałyśmy jego prawdziwego imienia ani nazwiska, nie wiedziałyśmy, skąd do nas przyszedł. Był nam wdzięczny za udzielone mu schronienie i przyjęcie do rodziny i okazywał to nie tylko ciotce i Dziuni, ale również mnie.

Stała obecność Jurka obudziła we mnie tęsknotę za moim prawdziwym bratem. Do czasu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przychodziły od niego wiadomości z Równego. W czerwcu 1941 ta łączność się urwała i później nie miałam już żadnych wiadomości. Mimo to głęboko wierzyłam, że udało mu się uciec w głąb Rosji i uratować życie. Miałam teraz sny, że odnaleźliśmy się i byliśmy w przedwojennym, koneckim mieszkaniu, razem z naszym ojcem.

W ciągu tych kilku tygodni, gdy mój polski brat był ze mną, czułam się znacznie bezpieczniej. Miałam wrażenie, że chroni mnie przed podejrzliwymi spojrzeciami i osłania przed nienawiścią do Żydów. W jego obecności moje chroniczne uczucie lęku osłabło, a samotność w polskim świecie nie była już tak dokuczliwa. Byłam mu wdzięczna, ale niestety nie mogłam mu o tym powiedzieć. Pewnego dnia zjawił się po niego nie znany mi człowiek. Kiedy Jurek odchodził, pożegnaliśmy się bardzo serdecznie, jak kochające się rodzeństwo. Wydawało mi się, że zobaczyłam smutek w jego dotychczas zawsze roześmianych oczach.

BLISKIE OSWOBODZENIE

Na początku lata 1944 zaczęły docierać do nas bardzo pomyślne wiadomości ze wschodniego frontu. Armia sowiecka pokonywała każdą obronę przeciwnika, wyzwalała miasto za miastem i posuwała się zaskakująco szybko na zachód. Klęska Niemców musiała nastąpić w bardzo krótkim czasie.

Naoczni świadkowie mówili o stałych transportach rannych żołnierzy niemieckich jadących ze wschodu na zachód. Takie pociągi zatrzymywały się na stacji w Starachowicach i wówczas widać było, w jakiej strasznej formie wracali pokonani Niemcy do domu.

Konspiracyjna gazetka podała, że armia sowiecka przekroczyła w wielu miejscach dawną granicę Polski. Odległość frontu wschodniego od Starachowic malała z każdym dniem.

Któregoś wieczoru po raz pierwszy od wielu lat zawyły syreny ostrzegające o nadchodzącym nalocie. Obwieszczały publicznie, że zbliżają się wrogowie niemieckiej władzy. Uradował mnie ten donośny dźwięk. Wbrew niemieckim zarządzeniom nie chciałam zejść do piwnicy ani nawet pozostać w domu. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności patrzenia na skierowane przeciw Niemcom bombardowanie, nawet jeżeli mogło to zagrażać mojemu bezpieczeństwu. Wymknęłam się przez dziurę w płocie na pole i położyłam się na ziemi. W powietrzu, jak w jakimś zaczarowanym teatrze, miały miejsce nadzwyczajne wydarzenia.

Najpierw usłyszałam dziwny dźwięk nadlatującej maszyny, a potem zobaczyłam samolot z wymalowaną na nim dużą, czerwoną gwiazdą.

Krążył tak nisko, że od czasu do czasu udawało mi się nawet zobaczyć lotnika w ochronnych okularach. Prawie bezpośrednio nade mną zabłysła nagle w powietrzu kula, wyglądająca jak olbrzymia wisząca lampa. Zrobiło się tak jasno, jakby słoneczny dzień zastąpił niedawną ciemność. Miałam wrażenie, że w takim oświetleniu wszystko było widoczne dla rosyjskiego pilota. Myśl, że mógł mnie dostrzec, dawała mi przyjemne poczucie bezpośredniego kontaktu z nim.

Tymczasem na niebie pojawiło się więcej sowieckich samolotów. Z daleka zobaczyłam zrzucane z nich bomby i słyszałam huki detonacji. Czułam pod sobą wstrząsy ziemi i widziałam ognie pożarów gdzieś od strony miasta. Mimo że mogłam się znaleźć w zasięgu walki powietrznej, nie czułam lęku przed spadającymi bombami. To, co widziałam, było realizacją moich wieloletnich marzeń. Jak urzeczona patrzyłam na cudowne zjawisko – atak na Niemców. Po pewnym czasie rozpoczęła się obrona przeciwlotnicza. Pociski skierowane przeciw atakującym samolotom krzyżowały się w powietrzu. Ku mojej radości, nie dosięgały ich jednak i tego wieczoru samoloty z czerwoną gwiazdą na skrzydłach odleciały nie uszkodzone. Żegnałam je pełną wdzięczności, jakby rosyjscy lotnicy przylecieli do Starachowic specjalnie dla mnie.

Dotychczas to Niemcy zawsze napadali na innych, pokonywali każdy napotkany na ziemi i w powietrzu opór i kontynuowali swój zwycięski marsz. Teraz widziałam ich broniących się przed atakiem przeciwnika i w dodatku obrona ta była bezskuteczna.

Wojna przeciw Niemcom zaczęła się toczyć na moich oczach, a nie w jakiejś abstrakcyjnej odległości. Uwierzyłam, że niedługo zostanę uwolniona od piętna żydostwa, od wyroku śmierci i od Niemców.

W następnych dniach i tygodniach powietrzne ataki wielokrotnie się powtarzały. Gdy rozlegały się syreny alarmowe, często w środku nocy schodziłyśmy razem na parter, gdzie zbierali się wszyscy mieszkańcy domu. Sadzałam tam ciotkę w możliwie wygodnym miejscu i szłam na pole. To była moja „walka” przeciwko Niemcom. Wydawało mi się, że oglądając powietrzny atak, brałam w nim udział. Dziunia czasem towarzyszyła mi w tych wycieczkach, ale czuła się bezpieczniej razem z matką, osłonięta murami domu.

Pewnej nocy obudziły mnie odgłosy wystrzałów; trwały nieprzerwanie przez wiele godzin. Ten z początku odległy huk, wyraźny tylko w ciszy nocnej, przybliżył się i stał się słyszalny również w ciągu dnia. Na wschód od Starachowic toczyła się walka i to stamtąd dochodziła armatnia kanonada. Stanisław przyniósł wiadomość, że Rosjanie zbliżają się do Wisły, odległej od nas o około 80 kilometrów. Podobno w okolicznych miejscowościach zaczęły się nawet pojawiać małe sowieckie oddziały zwiadowcze, które szybko zniknęły, wyraźnie unikając konfrontacji z wrogiem. Wśród Niemców zapanowała panika. Całe rodziny masowo opuszczały Starachowice, dworzec był zatłoczony. Niemcy wysyłali na zachód maszyny i całe zestawy urządzeń z fabryki zbrojeniowej.

Wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że oswobodzenie może nastąpić w ciągu najbliższych kilku dni. Niestety, docierały do nas także złe nowiny. Wzmogła się intensywność łapanek na ulicach i wysyłanie Polaków do Rzeszy. Coraz częściej Niemcy obstawiali nocą ulice i wywozili zaskoczone we śnie rodziny.

Dziunia przestała chodzić do pracy. Wprowadziłyśmy 24-godzinną wartę przy oknie wychodzącym na ulicę Kilińskiego. Podczas nocnych godzin czuwania wsłuchiwałam się w każdy podejrzany odgłos i wpatrywałam się w ciemność. Byłyśmy teraz zawsze przygotowane do ucieczki, na wypadek, gdyby w okolicy pojawili się Niemcy. Śledząc przez otwarte okno ciemną ulicę, myślałam o tym, że gdyby nagle otoczyli dom, równocześnie ze wszystkich stron, ucieczka przez podwórze mogła okazać się niemożliwa. Wpadłam na pomysł wybudowania w naszym domu skrytki, podobnej do tych, jakie robiono w ostatnim okresie w getcie. Nie wiedziałam jednak, jak się do tego zabrać.

Od Stanisława dowiedzieliśmy się, że 1 sierpnia 1944 w Warszawie wybuchło polskie powstanie. Równocześnie wojska sowieckie zajęły Pragę, dzielnicę miasta leżącą na wschodnim brzegu Wisły. W całym moim otoczeniu zapanowała nieopisana radość. Nareszcie skończyło się bierne czekanie na wyzwolenie i nasi rodacy wzięli sprawę wolności we własne ręce. Teraz Polacy walczyli o oswobodzenie swojej stolicy i swojego kraju. Wszyscy mieszkańcy naszego domu, dumni z bohaterstwa rodaków, otwarcie okazywali entuzjazm

i wzruszenie. Chodzili od mieszkania do mieszkania i składali sobie wzajemnie gratulacje oraz życzenia szybkiego zwycięstwa. Zapanowała radosna i patriotyczna atmosfera. Stanisław wyciągnął z ukrycia aparat fotograficzny i zrobił sąsiadom zdjęcia na pamiątkę ostatnich dni wojny. Sfotografował panią Karolę Słowik, Dziunię, Stasię z Alinką, mnie i grupę najbliższych sąsiadów w ogródku, wśród zieleni i kwiatów.

Podczas tych radosnych dni Dziunia ofiarowała mi swoją fotografię z dedykacją: „Kochanej i Drogiej Marychnie na pamiątkę. Z okresu ciężkich przeżyć wojennych – siostra Dziunia. Starachowice, 17 sierpnia 1944”.

Ciotka Karola również ofiarowała mi swoje zdjęcie. Drżącą ze wzruszenia ręką umieściła na jego odwrocie napis: „Kochanej Maryli w dowód wielkiej sympatii i przywiązania zawsze będzie ta sama Ciotka Lola”.

Wybuch powstania warszawskiego wywołał także moją radość. Z dużą uwagą śledziłam nadchodzące z Warszawy wiadomości i przeżywałam sukcesy powstańców, jakby to byli bliscy mi ludzie. Silniej teraz odczuwałam przynależność do polskiego narodu, wbrew ogólnej opinii, że Żydzi nie byli patriotami.

Myślałam także o żydowskim powstaniu, które wybuchło rok temu w tym samym mieście. Większość mojego otoczenia nie uważała walczących Żydów za bohaterów. Ci sami sąsiedzi, teraz pełni patriotycznych uczuć, wówczas z szyderstwem powtarzali: „Żydki się biją, Rywki, Mońki idą strzelać do Niemców”. Zastanawiając się nad tymi dwoma warszawskimi powstaniami, ze smutkiem myślałam o Żydach, którzy ginęli wówczas samotnie, zmagając się z niemiecką potęgą bez nadziei na zwycięstwo. Ich bohaterska walka nie spowodowała braterskiej wspólnoty z polskim narodem, mimo że walczący wywiesili biało-czerwoną chorągiew. Zmagania żydowskich powstańców nie wzbudziły uznania i szacunku.

Pewnej nocy nieoczekiwanie uświadomiłam sobie, że wokół zapanowała cisza. Ucichły huki wystrzałów armatnich. Przestały budzić mnie przeciwnotnicze alarmy. Nie było bombardowania Starachowic. Rosjanie zatrzymali się nad Wisłą.

Ta zaskakująca wiadomość była zbyt tragiczna, abym mogła w nią uwierzyć. Stale łudziłam się, że bezruch mającej wyzwolić mnie armii to jedynie krótkotrwałe taktyczne posunięcie. W każdej chwili oczekiwałam wznowienia ich ataków i marszu na zachód. Co noc spodziewałam się, że znowu usłyszę huki armat i odgłosy spadających bomb. Każdego rana czekałam na wiadomość o wkroczeniu armii sowieckiej do Starachowic. Tymczasem mijały dni i sytuacja na froncie nie ulegała żadnej zasadniczej zmianie. Rosjanie nadal stali nad Wisłą.

Myślałam teraz dużo o Sarze i Helence. Dotychczas Stanisław co pewien czas informował mnie, co się z nimi dzieje. Dzięki niemu wiedziałam, że obie żyją w osadzie leżącej na prawym brzegu Wisły. Ta część Polski została zajęta przez Rosjan w trakcie letniej ofensywy. Jeśli szczęśliwie przeżyły atak armii sowieckiej i niemiecką obronę, były teraz wolne. Wszelka jednak łączność z terenami po tamtej stronie Wisły została przerwana i nie mogłam spodziewać się żadnej nowej wiadomości.¹⁹

Tymczasem z Warszawy dochodziły tragiczne nowiny. Pewnego dnia dowiedzieliśmy się o upadku powstania warszawskiego i o poddaniu się polskich oddziałów. Powstańcza armia znalazła się w niemieckiej niewoli. Niemcy zmusili wszystkich mieszkańców Warszawy do opuszczenia miasta. Na Pradze nadal stali Rosjanie.

Na ulicach Starachowic zaczęli pojawiać się wyraźnie różniący się od miejscowej ludności warszawscy uchodźcy. Byli oni świadkami końca walki polskich powstańców i całkowitego zniszczenia stolicy. Według ich nieprawdopodobnie brzmiących opowieści, Niemcy zrównywali z ziemią całą Warszawę.

Powszechny smutek wyparł niedawną radość, poczucie beznadziejności i rozczarowanie zastąpiło euforię zwycięstwa. W naszym domu i całym otoczeniu zapanowała atmosfera narodowej żałoby. Dziunia i ciotka ciężko przeżywały upadek polskiego powstania. Odbiło się to na ich stanie zdrowia. Ciotka osłabła i straciła dawną energię, a Dziuni dokuczały bolesne dolegliwości żołądkowe.

¹⁹ Sara i Helenka przeżyły wojnę w nadwiślańskiej wsi. Kilka lat później Sara ponownie wyszła za mąż i pod koniec lat 40. wyemigrowała wraz z mężem i Helenką do Izraela, gdzie zmarła w 1989 roku jako Sara Ponczek.

Martwiła mnie klęska powstańców i zniszczenie takiego pięknego miasta jak Warszawa. Nie mogłam zrozumieć ciszy, jaka nastąpiła na froncie. Słowo „zdrada” powtarzało się w większości rozmów. Nawet Stanisław, zawsze tak dobrze orientujący się w politycznych posunięciach, nie umiał wyjaśnić mi zaistniałej sytuacji. Pytanie, dlaczego Rosjanie po dotychczas zwycięskim marszu na zachód stanęli nad brzegiem Wisły, dlaczego nie zapobiegli upadkowi powstania, pozostało bez odpowiedzi. Moje oswobodzenie zatrzymało się razem z nimi.

Wiadomości o zwycięstwach aliantów na zachodnim froncie nie łagodziły mego smutku. Bez entuzjazmu słuchałam o wylądowaniu we Francji armii amerykańskiej i angielskiej, o wyzwoleniu między innymi stolic Belgii i Holandii. Ten zwycięski marsz aliantów odbywał się za daleko. Blisko mnie, w odległości około trzech dni marszu, znajdowała się armia sowiecka, która niestety stała w miejscu. W Starachowicach, po chwilowej panice wywołanej bliskością Rosjan, Niemcy znowu wrócili do rządów siły i terroru. Wzrosła liczba dziennych i nocnych łapanek.

Dziunia znów zaczęła regularnie chodzić do pracy w fabrycznym konsumie. Ja wróciłam do codziennej rutyny zajęć domowych i ciągle szukałam dodatkowej roboty, żeby nie mieć czasu ani siły na myślenie. Męczyło mnie uczucie lęku, nie opuszczające mnie ani w dzień, ani w nocy. Znowu zaczęłam torturować się przeświadczeniem, że Niemcy zamordują mnie w ostatnim momencie swojego panowania. Często w nocy stawałam w oknie i przez wiele godzin obserwowałam naszą ulicę. Czułam, że jesteśmy zupełnie bezbronni wobec Niemców i myślałam o budowie odpowiedniej skrytki.

Przekonałam Dziunię i ciotkę, że powinnyśmy mieć schowek na wypadek blokady naszego domu. Razem przebadaliśmy pokój, kuchnię i oba strychy. Nigdzie jednak nie znalazłyśmy możliwości wybudowania zamaskowanego pokoiku. Doszłam do wniosku, że należy wciągnąć do tego planu wszystkich mieszkańców domu i wspólnie znaleźć odpowiednie miejsce. Pod wpływem moich nalegań Dziunia przekonała sąsiadów o konieczności wybudowania kryjówki dla najbardziej zagrożonych mieszkańców. Według ogólnej opinii, do tej

kategorii należeli wszyscy mężczyźni oraz młode kobiety. Stanisław, zachwycony naszą inicjatywą, zaczął energicznie pracować nad jej realizacją.

Jesienią 1944 wspólnym wysiłkiem prawie wszystkich lokatorów wybudowaliśmy pod naszym domem zamaskowane pomieszczenie. Prowadził do niego podziemny korytarz, do którego z kolei wchodziło się z piwnicy znajdującej się pod podłogą mieszkania Pragów. Przejście to było tak niskie, że przedostać się przez nie można było jedynie na czworakach. Na jego końcu wykopaliśmy dość duże pomieszczenie, do którego stały dopływ świeżego powietrza zapewniały otwory po wyjętych z muru cegłach. Ten podziemny pokój mógł pomieścić około dziesięciu osób, leżących ciasno, jedna przy drugiej. Mimo że wejście do skrytki znajdowało się w mieszkaniu Pragów, wszyscy lokatorzy mieli równe prawo do korzystania z niej.

Mój plan został wykonany. W naszym domu znajdowała się teraz dobra kryjówka, w której mogłam się schować w razie zagrożenia. Myśl, że zdążę tam się ukryć, nawet w czasie blokady domu, pomogła mi przeżyć kolejne dni.

OSTATNIE MIESIĄCE 1944 ROKU

Jesienią 1944 wzrosła liczba różnych partyzanckich oddziałów w okolicy Starachowic. Najbardziej popularnym ugrupowaniem konspiracyjnym, zarówno w mieście, jak i w lesie, była Armia Krajowa. Dziunia, jej rodzeństwo oraz prawie wszyscy znajomi Słowików w większym lub mniejszym stopniu współpracowali z tą organizacją. Coraz częściej jednak dowiadywałam się, głównie od naszego sąsiada Stanisława, o atakach na Niemców Armii Ludowej i o pojawieniu się w okolicznych lasach dywersyjnych oddziałów sowieckich. Słyszałam również o akcjach prowadzonych przez Narodowe Siły Zbrojne, skierowanych nie tylko przeciw Niemcom, ale często również przeciw sowieckim partyzantom.

W tym czasie cały ruch oporu nasilił ataki na okupanta. Partyzanci wysadzali tory kolejowe, rozbijali niemieckie oddziały, napadali na magazyny żywnościowe i wykonywali wyroki za współpracę z Niemcami. Równocześnie wzmogły się niemieckie akcje represyjne w mieście i w okolicach Starachowic. Ich oddziały penetrowały pobliskie lasy i atakowały ukryte tam grupy partyzanckie.

Doszła do mnie wiadomość, że w wyniku jednej z akcji Niemcy okrążyli i zniszczyli oddział, do którego należałam rok temu. W walce zginęli wszyscy znajdujący się w obozie partyzanci. Zdzisław Słowik ocalał, ponieważ szczęśliwym zbiegiem okoliczności przebywał w tym czasie gdzie indziej.

Boleśnie odczuwałam śmierć partyzantów. W większości byli to młodzi idealisci, pełni entuzjazmu, oddani ojczyźnie. Dla mnie byli

bardzo grzeczni, opiekuńczy i troskliwi. Nie miałam jednak szansy dowiedzieć się, jak odnosiliby się do mnie, gdyby wiedzieli, że jestem Żydówką.

Po stracie swoich towarzyszy broni Zdzisław opuścił las. Postanowił ukrywać się u żony, przynajmniej przez nadchodzące zimowe miesiące. Ponieważ jego mieszkanie znajdowało się blisko naszego, podziemny schowek w naszym domu stał się konieczny również dla jego bezpieczeństwa.

Ostatnio, wraz z paroma sąsiadami, brałam udział w nocnych dyżurach przy oknie i przed domem. Kilka razy Niemcy pojawili się po północy na naszej ulicy, a raz nawet otoczyli sąsiedni dom. W każdym z tych wypadków czuwająca osoba alarmowała wszystkich lokatorów o grożącym niebezpieczeństwie. Dziunia i ja szybko zacieraliśmy ślady naszej obecności w mieszkaniu i zbiegałyśmy do piwnicy. Ciotka Karola zostawała, nie chciała się ukrywać.

Pewnego razu w południe, kiedy Dziunia była jeszcze w pracy, kilka niemieckich samochodów zajęło pod nasz dom i zatrzymało się przed furtką. Przez pewien czas nikt ich nie zauważył, ponieważ nasz system obserwacyjny działał tylko w nocy. Zupełnie przypadkowo zobaczyłam w ogrodzie i na frontowym ganku grupę Niemców. Ta niespodziewana bliskość niemieckich mundurów przeraziła mnie. Natychmiast zawiadomiłam o tym sąsiadów i razem ze Stanisławem oraz innymi osobami zeszłam do schowka. Ciotka z pomocą Prągowej zamknęła za nami wejście do piwnicy i wróciła do swojego mieszkania. Czekaliśmy na sygnał, że niebezpieczeństwo minęło, leżąc przez wiele godzin bez ruchu w niskim, stęchłym podziemnym pomieszczeniu.

Kiedy ciotka wypuściła nas z ukrycia, okazało się, że Niemcy zarekwirowali dla swego oficera pokój we frontowym mieszkaniu. Nie wiadomo, dlaczego wybrali akurat to mieszkanie, położone daleko od centrum, i skąd o nim wiedzieli.

Nocne powroty Niemców, nagły zgrzyt hamujących samochodów, głośny niemiecki język pod oknami, wyrzywały mnie często ze snu i wywoływały niekontrolowane przerażenie. Nie byłam w stanie odróżnić tych „pokojowo” nastawionych niemieckich sąsiadów od ich

rodaków, których bliskość zawsze groziła mi śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Obecność Niemców sparaliżowała nasz „system alarmowy”. Ich stały ruch utrudniał rozpoznanie prawdziwego zagrożenia, a zejście na czas do podziemnej skrytki mogło okazać się niewykonalne. Po paru dniach Zofia, właścicielka frontowego mieszkania, zawiadomiła Dziunię, że niemiecki lokator bardzo interesuje się życiem mieszkańców naszego domu. Ta wiadomość zaniepokoiła zarówno mnie, jak i inne osoby. Zaczęłam ograniczać wychodzenie z mieszkania na podwórze, zwłaszcza wtedy, gdy stojący przed domem samochód wskazywał na obecność Niemca. Zdzisław przestał odwiedzać matkę i siostrę, a jego żona stała się rodzinnym łącznikiem. Zawiadomiona o zaistniałej sytuacji AK czasowo zlikwidowała u nas swoją skrzynkę kontaktową. Stanisław postanowił opuścić miasto i mimo zbliżającej się zimy przyłączyć się do leśnych oddziałów. Chciałam, żeby mi również umożliwił wstąpienie do partyzantki. Mimo jego starań, grupa, z którą był związany, odmówiła przyjęcia dziewczyny nie zaangażowanej w ich pracę organizacyjną.

Pewnego dnia Stanisław przyszedł pożegnać się z nami. Zamierzał wraz ze swoimi towarzyszami przedostać się lasami, poprzez niemieckie linie obronne, do stojącej nad Wisłą armii sowieckiej. Wraz z jego odejściem traciłam bardzo bliskiego człowieka i oddanego przyjaciela. Nigdy więcej o nim nie słyszałam.

Stanisław na pożegnanie wsunął mi do ręki papierosa i szeptem powiedział: „Zapal, kiedy będzie ci źle”. Od dawna wiedziałam, że jest palaczem i ukrywa to przed Heleną. Czasem, gdy byliśmy sami, częstował mnie papierosami twierdząc, że to skuteczne lekarstwo przeciw zdenerwowaniu.

Pewnej nocy, gdy wszyscy wokół mnie spali, a ja przez długie godziny leżałam niespokojna, postanowiłam sięgnąć po papierosa. Palenie pomogło mi szybciej usnąć. Ze snu wyrwał mnie głos zdenerwowanej ciotki, mówiącej, że gdzieś w mieszkaniu ukrył się mężczyzna. Na skutek jej nalegań przeszukałam całe pomieszczenie, ale nikogo obcego nie znalazłam. Dopiero później domyśliłam się, że to zapach dymu z mojego papierosa wywołał u ciotki skoja-

rzenie z obecnością mężczyzny. Krępowalam się jednak przyznać do palenia.

W listopadzie ukończyłam dwadzieścia lat. Oczywiście, nikt z mojego otoczenia nie wiedział o tej rocznicy. Moje prawdziwe dane personalne pozostawiłam w momencie ucieczki w getcie koneckim, razem z dziewięcioma tysiącami żyjących tam ludzi. Nie wierzyłam, że kogokolwiek z nich jeszcze zobaczę. Często teraz myślałam, że wraz z koneckimi Żydami utraciłam tam również siebie.

W moje urodziny, leżąc bezsennie w łóżku, pozwoliłam sobie na luksus wspomnień z dawnego życia. Przedwojenne lata wydawały mi się tak bardzo nierealne, że przypominały bajkę. Myśl o ojcu wywołała falę miłości, jaką zawsze czułam do niego, gdy byliśmy razem. Wyobraziłam sobie jego głowę z krótkimi, siwymi włosami, pociągłą, bladą twarz, brązowo-złote oczy pod gęstymi brwiami. Zobaczyłam go stojącego w białym fartuchu w gabinecie, spacerującego z laską, siedzącego przy stole w jadalnym pokoju. Słyszałam, jak nazywał mnie zdrobniałym imieniem Halutka, którego tylko on używał. Przypominałam sobie jego ulubione piosenki, takie jak Halka czy Miasteczko Bełz, które śpiewał prawie bez melodii. Widziałam go, gdy sprawdzał moje polskie wypracowanie, pomagał w rysowaniu mapy, wypytywał o stolice różnych państw i w innych codziennych sytuacjach. Miałam przed oczami obrazy z jego życia, kiedy był pełen radości, śmiał się i żartował, a także chwilę, gdy płakał po śmierci zamordowanego przez Niemców brata.

Przypominałam sobie ojca, gdy był już ciężko chory i znowu poczułam ból wywołany własną bezradnością wobec jego pogarszającego się zdrowia. Myślałam o jego śmierci w czerwcu 1942. Po raz pierwszy oceniłam ją jako błogosławieństwo losu. Umarł bowiem we własnym łóżku, w otoczeniu najbliższych, ocalony od strasznego końca, jaki czekał jego rodaków. Mieszkańcy koneckiego getta i jego polscy przyjaciele mieli możliwość uczcić jego człowieczeństwo pogrzebem i pochować go w grobie na żydowskim cmentarzu.

W jakiś makabryczny sposób śmierć ojca umożliwiła mi szukanie ratunku i ucieczkę z getta. Byłam przekonana, że gdyby on żył, nie

mogłabym opuścić go w niebezpieczeństwie. On natomiast na pewno nie porzuciłby swoich bliskich i pozostałby z nimi aż do końca. Myśl, że jego śmierć dała mi w jakiś sposób życie, była nowym ogniwem wiążącym mnie z moim ukochanym ojcem.

Urodzinowe wspomnienia sprawiły mi w sumie więcej bólu niż przyjemności. Jedynie nadzieja, że Sara, Helenka i mój brat Jerzy myśleli tego dnia o mnie i życzyli mi przeżycia wojny, były pewnym ukojeniem.

Podczas jesiennych i zimowych miesięcy 1944 roku zaczęły się trudności z zaopatrzeniem w żywność. W tym czasie Niemcy bardzo zmniejszyli racje przydzielane w konsumie i równocześnie zaostrzyli system kontrolny wydawanych produktów. Dziuni, mimo niebywalej zaradności i odwagi, trudno było teraz pomagać bliskim ludziom, którzy nie mieli środków do życia.

Do osób, którym Dziunia pomagała systematycznie już od ponad roku, należeli bracia Adam i Jan²⁰. Pani Irena, członek kierownictwa Armii Krajowej i wieloletnia znajoma rodziny Słowików, osobiście prosiła o pomoc dla tych dwóch panów. Według jej referencji, bracia byli tak bardzo oddani pracy konspiracyjnej, że nie byli w stanie utrzymywać swojej najbliższej rodziny. Dziunia wiedziała, że należeli do kierownictwa starachowickich oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych.

W ciągu całego ubiegłego roku Adam i Jan próbowali nawiązać towarzyskie stosunki z rodziną Słowików. Dziunia, znając antysemityczny charakter organizacji NSZ, bała się prywatnego kontaktu z jej członkami i pod różnymi pretekstami odmawiała wizyty w ich mieszkaniu. W końcu jednak, wobec uporczywych i stale ponawianych zaproszeń, pewnego dnia udała się tam razem z matką.

Wieczór spędzony z nowymi znajomymi okazał się przyjemny, a atmosfera panująca w domu gospodarzy bardzo serdeczna. Obie panie zgodnie twierdziły, że wizyta była miłym urozmaiceniem szarych, codziennych dni. Podczas tych odwiedzin dowiedziały się o wkroczeniu armii alianckich na tereny Niemiec. Wobec takich wydarzeń

²⁰ Adam i Jan są fikcyjnymi imionami, ponieważ nie pamiętam prawdziwych.

fakt, że front sowiecki od wielu miesięcy nie posuwał się naprzód, wydał się im mniej ważny.

Po tej pierwszej wizycie kontakty z Adamem i Janem stały się częstsze i obie panie Słowik chętnie ich odwiedzały. Podczas każdego spotkania gospodarze wyrażali żal z powodu mojej nieobecności i ponawiali zaproszenie. Po kilku wizytach Dziunia doszła do wniosku, że moja dalsza odmowa może wzbudzić ich podejrzenia. Którejś niedzieli poszłyśmy w trójkę z wizytą do nowych znajomych.

Mieszkali w małym domku w centrum Starachowic. Przyjęli nas bardzo serdecznie, prześcigając się w różnych grzecznościach. Ich żony nie miały słów wdzięczności dla Dziuni, uważały ją za osobę zesłaną przez boską opatrność. Wizyta u Adama i Jana okazała się przyjemna, nawet dla mnie. Gospodarze zabawiali mnie wesołymi historiami i wyraźnie starali się, abym czuła się u nich dobrze. Ta ciepła atmosfera oraz ciekawe wypowiedzi obu braci pozwoliły mi zapomnieć o ich przynależności do faszystującej organizacji. Zaczęło mi się nawet wydawać niemożliwe, aby tacy inteligentni i sympatyczni ludzie mogli mieć bandycki stosunek do Żydów.

Pełen strasznej nienawiści antysemityzm Adama i Jana uwidocznił się w całej okazałości podczas następnych spotkań. Obaj uważali wszystkich członków tego narodu za największych wrogów Polski. Całkowicie aprobowali prowadzoną przez Niemców eksterminację Żydów. W tym domu znowu usłyszałam dobrze mi znane słowa na temat pomnika dla Hitlera i dozgonnej wdzięczności za oczyszczenie ojczyzny od Żydów.

Podczas pierwszych kontaktów udawało mi się kontrolować moje świadome i podświadome reakcje na takie wybuchy antysemityzmu. Jednak każda kolejna wizyta pogłębiała moje zdenerwowanie i osłabiała system obronny. Gdy słuchałam ich ataków na Żydów, robiło mi się niedobrze i czułam, że będę musiała wymiotować. Zaraz potem oblewała mnie fala gorąca. Czerwone plamy na twarzy i szyi były widocznym objawem tego, co się ze mną działo.

Znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji i nie wiedziałam, jak przeciwdziałać niebezpieczeństwu, ku któremu sama siebie pchałam. Nie mogłam zaprzestać tych wizyt i nie umiałam zahamować mojej

reakcji wywołanej ich żydożerczymi atakami. Pozostawało mi jedynie jak najrzęczniejsz ukryć pojawiające się na mojej twarzy wypieki. Stosowałam więc metody wypracowane przez ubiegłe dwa lata. Zrzucałam jakiś przedmiot na podłogę i tak długo go szukałam, aż wypieki mijały. Symulowałam atak silnego kaszlu lub udawałam nagłą potrzebę pójścia do ubikacji.

Pewnego wieczoru z przerażeniem stwierdziłam, że Adam przejrzał moją grę i odkrył, co wywołuje czerwone plamy na mojej twarzy. Widziałam jego zdumienie, a następnie złość, wywołaną tym zaskakującym odkryciem. Obydwaj bracia poddali mnie natychmiast długiej indagacji, która miała charakter prawdziwego przesłuchania. Chociaż wtedy mogłam już odpowiadać spokojnie, a nawet w miarę dowcipnie na różne podstępne pytania, wiedziałam, że było za późno. Niestety, oni mieli już pewność, że jestem Żydówką. To przesłuchanie odbywało się w pokoju pełnym ludzi, w którym Dziunia i ciotka Karola, nieświadome sytuacji, rozmawiały w odległości paru kroków z pozostałymi domownikami.

W pewnej chwili przyszło mi do głowy, że teraz spełnia się moje przeczucie, według którego miałam zginąć w przededniu zakończenia wojny. Pocieszałam się jednak myślą, że paniom Słowik nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony NSZ. Parę dni po tym wydarzeniu zjawiała się u nas Irena, w oficjalnej roli przedstawicielki kierownictwa AK w Starachowicach. Zawiadomiła Dziunię, że Armia Krajowa przerywa z nimi kontakty organizacyjne, ponieważ ukrywają u siebie w domu Żydówkę. Najprawdopodobniej w tym samym czasie została o tym zawiadomiona nasza gospodyni Helena Kostrzewa, ponieważ nagle przestała ze mną rozmawiać i ostentacyjnie odwracała się na mój widok.

Parę dni później zesłam do studni po wodę. Kiedy z pełnym wiadrzem odwróciłam się w kierunku domu, zobaczyłam stojącego koło mnie Adama. Jego oczy i cała twarz wyrażały taką nienawiść, że przeszył mnie strach. Byłam przekonana, że znalazłam się w obliczu śmierci.

– Żydów – zaczął mówić wolno i wyraźnie – zabijamy bez żadnych skrupułów, ponieważ tego wymaga dobro ojczyzny. W ten sam sposób

skończylibyśmy z tobą, ale ze względu na Dziunię nie chcemy tego robić. Darujemy ci teraz życie. Jeżeli jednak kiedykolwiek wydasz nas lub naszą organizację, żadna siła nie zdoła cię uratować.

Adam odwrócił się i szybko wyszedł z podwórza. Trzask zamykanej furtki zabrzmiał w moich uszach jak huk strzału.

Był grudzień 1944 roku.

PRZEŻYŁAM NIEMCÓW

Na początku 1945 roku Niemcy nadal wszechwładnie panowali w całej zachodniej części Polski, a więc i w Starachowicach. Pogłoski, że wschodni front ruszył znad Wisły na zachód i że różne okoliczne miejscowości wyzwalone są przez sowieckich spadochroniarzy, okazywały się zawsze nieprawdziwe. Lokalne źródła informacji kategorycznie twierdziły, że sowieckie wojska od miesiący znajdują się w tym samym miejscu, oddalonym od Starachowic o kilkadziesiąt kilometrów.

Latem 1944, kiedy Rosjanie się zbliżali, liczyłam dni dzielące mnie od oswobodzenia. Później, kiedy zatrzymali się na Wiśle, spodziewałam się, że ruszą naprzód po tygodniu lub dwóch. Z upływem miesięcy, kiedy sytuacja nie ulegała zmianie, straciłam nadzieję, że kiedykolwiek mnie wyzwolą.

Tymczasem, mimo ciszy na froncie wschodnim, Niemcy znowu zaczęli okazywać niepokój. Zlikwidowali produkcję w fabryce zbrojeniowej i wysłali do Rzeszy jej wyposażenie. Szerzyły się pogłoski, że w ostatnim czasie okupant zaminował zakłady zbrojeniowe, elektrownie i wiele budynków zajmowanych przez niemieckie urzędy. Prerażeni mieszkańcy rozpowszechniali wiadomości, że połowa Starachowic zostanie wysadzona w powietrze w momencie ostatecznego wycofywania się Niemców. Masowe aresztowania i wywożenie ludzi do Rzeszy towarzyszyły ich przygotowaniom do opuszczenia miasta.

Dziunia straciła zatrudnienie w konsumie. Byłyśmy zadowolone, że przebywała teraz stale z nami i nie musiała narażać się w pracy.

Pewnego popołudnia, w połowie stycznia, niespodziewanie zauważyłam idący ulicą Kilińskiego oddział niemieckiego wojska. Ich czołówka minęła nasz dom maszerując w kierunku lasu. Stojąc ukryta za franką starałam się ocenić liczebność przesuwanego się koło mnie oddziału. Czas mijał, a szeregi niemieckich żołnierzy w pełnym rynsztunku stale szły naprzód. Nasza ulica nie była przelotową arterią. Wprost przeciwnie, była to piaszczysta droga, prowadząca do okolicznych wsi i osiedli. Pojawienie się tu żołnierzy było dla mnie niezrozumiałe. Ilość wojska i jego szybki marsz nie wskazywały bowiem, aby Niemcy przygotowywali się do blokady naszej dzielnicy. W odległości około pół kilometra od naszego domu zaczynały się bezładne, leśne tereny. Czołówka maszerującego w takim tempie wojska już dawno musiała znaleźć się daleko poza granicami miasta. Ulica Kilińskiego na całej widocznej długości zajęta była przez kolumny żołnierzy.

Nie spuszczałam wzroku z przesuwanego się oddziałów niemieckiej piechoty. Zaalarmowani sąsiedzi zaryglowali wejściowe drzwi. Obie z Dziunią byłyśmy przygotowane, aby w każdej chwili zbiec na dół do schowka.

Upłynęło kilka godzin i nic się nie zmieniło. Dopiero pod wieczór maszerująca armia stanęła. Kilkunastu żołnierzy weszło do naszego ogrodu i chwilę później zaczęli dobijać się do drzwi wejściowych. Wówczas, razem z Dziunią i innymi sąsiadami, zesłaliśmy do schowka. W podziemnym pomieszczeniu panowała tak głęboka ciemność, że nie widziałam nawet leżącej koło mnie Dziuni. Stale sprawdzałam jej obecność, jakbym bała się, że ją zgubię. W ciszy słyszałam bicie swojego serca i przyspieszone oddechy osób leżących koło mnie. W pewnej chwili dobiegła do nas z podwórza głośna niemiecka mowa, a potem walenie do drzwi i tupot ciężkich kroków. Czułam, jak sklepienie drży nad moją głową. Wiedziałam, że Niemcy są na parterze, w mieszkaniu Pragów.

Przez krótki czas w domu i na podwórzu panowała cisza, a potem znowu nastąpił wzmożony ruch, słychać było uderzenia w drzwi wejściowe i głosy Niemców. To powtarzało się wielokrotnie w ciągu tej nocy.

Nad ranem dano nam znać, że niebezpieczeństwo minęło. Przemarsz niemieckiej piechoty naszą ulicą trwał około dwunastu godzin. Co pewien czas wojsko zatrzymywało się i wówczas żołnierze żądali otwarcia drzwi do naszego domu i grozili, że w razie odmowy będą strzelać. Niemcy domagali się picia i posiłków, ale mimo że nie dostawali jedzenia, nikomu nie robili nic złego. Do naszego mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie czuwała samotnie ciotka Karola, szczęśliwie nie zajrzeli.

Kiedy wyszłam z ukrycia, wokoło panowała cisza. Na piaszczystej drodze przed domem widać było niezliczone ślady butów.

Po przeżytym zdenerwowaniu spałam dość długo. Kiedy później wyszłam po wodę do studni, oślepiło mnie słońce. Był piękny, mroźny dzień 19 stycznia 1945. Na podwórzu zauważyłam sąsiadów, którzy otaczali małego chłopca. Znałam go dobrze, ponieważ on i jego starsza siostra przychodzili do nas. Dziunia dawała im przydziały żywnościowe. Zaskoczyła mnie jego obecność przed naszym domem i podniecenie zebranych wokół niego domowników. Podeszłam do nich, żeby zobaczyć, co było powodem tak ożywionej i głośnej rozmowy. Mój widok wyraźnie ucieszył chłopca; natychmiast zaczął mi wyjaśniać, co się stało, szukając u mnie zrozumienia, którego widocznie nie znalazł u innych:

– Oni wszyscy nie chcą mi wierzyć. Jak Boga kocham, że mówię prawdę. W mieście są Ruskie. Jest ich bardzo dużo. Jadą wielkimi czołgami. Przysięgam na Boga, że to nie są Szwaby. Ja sam ich widziałem. Siostra kazała mi biec do pani Dziuni i powiedzieć jej o tym.

Słowa chłopca nie od razu dotarły do mojej świadomości. Musiał zauważyć brak reakcji na mojej twarzy, bo dalej starał się mnie przekonać, że mówi o rzeczach, które niedawno sam widział. Nagle tak mocno zakręciło mi się w głowie, że musiałam oprzeć się na chłopcu, żeby nie upaść. Bez słowa opuściłam rozmawiających na podwórzu i poszłam do domu. Nogi uginały się pode mną, kiedy wchodziłam po schodach. Powtórzyłam ciotce i Dziuni przekazane przez chłopca wiadomości głosem, który wydał mi się obcy. Znowu zaczęło kręcić mi się w głowie; musiałam usiąść, żeby nie stracić równowagi. Mimo to postanowiłam pójść do miasta i sprawdzić, czy Rosjanie tam są.

Obie panie Słowik starały się przekonać mnie, że bym tego nie robiła. Przypominały wiele wypadków, kiedy identyczne informacje okazywały się nieprawdziwe. Nalegały, abym zachowała dotychczasową ostrożność i czekała w mieszkaniu na potwierdzenie tych wiadomości. Ostrzegały mnie przed niebezpieczeństwem ze strony sowieckich żołnierzy. Słuchając ich wiedziałam, że nie będę mogła zrobić tego, o co mnie proszą. Wydawało mi się, że nie wytrzymałabym jeszcze jednego rozczarowania i nie przeżyła następnej godziny niepewności. Czułam, że nie jestem w stanie dopuścić myśli, że to tylko fałszywa pogłoska, tak jakbym w ciągu ostatnich paru minut straciła całą cierpliwość i fizyczną wytrzymałość. Musiałam jak najszybciej zobaczyć na własne oczy, że Rosjanie wkroczyli do Starachowic. Musiałam być blisko moich oswobodzicieli. Musiałam pilnować, żeby mnie nie opuścili i nie oddali z powrotem w niemieckie ręce.

Nagle, nieoczekiwanie dla mnie samej, zaczęłam płakać. Łkanie wstrząsało całym moim ciałem, łzy toczyły się po twarzy, szloch dławił i hamował oddech. Płacz, naturalny ludzki odruch, który zanikł u mnie, teraz całkowicie mną zawładnął.

Obie panie były zaskoczone i przerażone moim niespodziewanym łkaniem. Przez ponad dwa lata, które przeżyły ze mną, nie widziały łez na mojej twarzy. Może nawet nie przypuszczały, że jestem zdolna do płaczu. Bezradne i zaniepokojone, nie przeciwstawiły się już dłużej mojemu pójściu do miasta.

Popychana jakąś siłą szłam coraz szybciej pustą ulicą w kierunku centrum, aż w końcu zaczęłam biec. Potykałam się o wystające spod śniegu kamienie. Łzy lały mi się z oczu i utrudniały widzenie. Czułam wzrastającą słabość w nogach i bałam się, że nie będę miała siły do dalszej drogi.

Na skrzyżowaniu ulicy Kilińskiego z przelotową drogą z Ostrowca do Skarżyska stanęłam jak skamieniała. Parę kroków przede mną płynęła nieprzerwana rzeka ludzi i stali. Całą szerokością jezdni posuwała się na zachód wielka armia. Jechały olbrzymie czołgi, samochody pancerne, armaty, żelazne maszyny i niezliczona ilość żołnierzy.

To, na co patrzyłam, nie było złudzeniem, marzeniem ani snem. To działo się naprawdę, w odległości dwóch metrów ode mnie.

Mogłam zrobić parę kroków naprzód i dotknąć ręką jadących żołnierzy. W huku pojazdów słyszałam urywki ich mowy i słowa obcych pieśni. Oddychałam gorącym powietrzem, buchającym z przejeżdżających pojazdów.

Chłonełam widok masy ludzkiej i maszynerii wojennej. Nie byłam w stanie nasycić oczu tym, co widziałam. Stopniowo, bardzo powoli, uświadamiałam sobie prosty fakt, że skoro Rosjanie zjawili się w Starachowicach, Niemcy musieli zniknąć z miasta. Zaczął do mnie docierać ogrom tego wydarzenia. Rosjanie zdejmowali ze mnie karę śmierci, przywracali mi na nowo prawo do życia i godność człowieka. Zdałam sobie wreszcie sprawę, że przeżyłam Niemców i ta świadomość wywołała we mnie uczucie strasznej samotności. Poczułam tłumiony od dawna ból po stracie całego mojego świata i pustkę w otaczającym mnie wrogim otoczeniu. Znow zaczęłam płakać.

Stałam na pustym chodniku, obok przesuwającej się bez końca sowieckiej armii. Nie miałam świadomości upływającego czasu ani zimna, które zmroziło mnie od stóp do głowy.

Dziunia znalazła mnie późnym wieczorem i zmusiła, abym wróciła do domu.

PO LATACH

Zbliżała się dziewiąta wieczorem, kiedy opuszczałam laboratorium. Zimne powietrze, które uderzyło mnie po wyjściu z budynku, było orzeźwiająjącym kontrastem po wyziewach rozpuszczalników i zaduchu sali ćwiczeń. Ulica była pusta. Panująca wokół cisza była przyjemną zmianą po godzinach hałasu, ruchu i tłoku.

Laboratoryjne ćwiczenia z preparatyki związków organicznych, które prowadziłam ze studentami chemii, odbywały się tego dnia w zastępczym lokalu, nie dostosowanym do liczby studentów. Ryzyko poparzenia, pożaru, zranienia się i innych nieprzewidzianych wypadków stawało się bardziej prawdopodobne w tym tłoku. Trudne warunki pracy wywoływały u mnie ciągłe napięcie i wyjątkowo mnie wyczerpały.

Byłam więc zadowolona, kiedy wreszcie ostatni studenci opuścili pomieszczenie i mogłam zamknąć za nimi drzwi. Mimo późnej godziny i zmęczenia zdecydowałam się pójść pieszo do domu. Szłam zamyślona mroczną, źle oświetloną ulicą Buczka. Nagle znalazłam się w jasnym kręgu. Skrzyżowanie, gdzie zbiegały się trzy ulice: Buczka, Jaracza i Uniwersytecka, zalane było jaskrawym światłem. Poczułam, jakbym przeskoczyła w czasie z głębokiej nocy w słoneczne południe. Stałam w miejscu i rozejrzałam się wokół, szukając źródła tego zaskakującego zjawiska. Było to kilka ulicznych latarni i parę dużych, jasno oświetlonych wystaw sklepowych.

Zadałam sobie pytanie, dlaczego dotychczas nie zauważyłam tego punktu handlowego, położonego tak blisko miejsca mojej

pracy. Postanowiłam zobaczyć, co sprzedawano w tych sklepach i stanęłam przed najbliższym z nich. Na wystawie leżały, dekoracyjnie ułożone, okrągłe dwukilogramowe bochenki chleba, bułki, rogaliki i różne ciastka. Wypieki wyglądały tak świeżo i apetycznie, że sam ich widok zapraszał przechodnia do środka. Na szyldzie powyżej wystawy zobaczyłam nazwisko właściciela i napis „Piekarnia”. Musiała jednak upłynąć długa chwila, zanim uświadomiłam sobie, że automatycznie przetłumaczyłam to, co przeczytałam. W rzeczywistości dużymi literami było tam wypisane nie słowo „piekarnia”, ale jej niemiecki odpowiednik: Backerei. Równocześnie, na wysokości moich oczu, zauważyłam na drzwiach wejściowych ogłoszenie, które w języku niemieckim zabraniało wstępu Żydom i psom.

Sąsiedni sklep miał również dużą, jasną wystawę, na której wokół makiety świni leżały kawałki pokrojonego mięsa i różne wędliny. Przy szybie wystawowej, na tabliczce, podano godziny, w których odbywała się sprzedaż mięsa, a napis poniżej informował, że wszystkie wyroby mięsne są tylko dla Niemców.

Rozejrzałam się wokół, szukając w pobliżu jakiegoś przechodnia. Nie mogłam jednak dostrzec człowieka na żadnej z przecinających się ulic. Cała okolica wydawała się wymarła. Poczułam się, jakbym straciła orientację i znalazła się w nie znanym mi miejscu. Z trudem podeszłam do tabliczki z nazwą ulicy i z wysiłkiem przeczytałam: Adolf Hitler Strasse (ulica Adolfa Hitlera).

Ogarnęło mnie przerażenie, panika. Poczułam szum w głowie i zrobiło mi się niedobrze. Nie rozumiałam, gdzie jestem i co się dzieje. Czułam, że zgubiłam się w czasie. Nie wiedziałam, jaki jest obecnie dzień, miesiąc i rok.

Niespodziewanie znalazłam jedyne logiczne wytłumaczenie. Dostałam do wniosku, że ciągle jeszcze trwa wojna, Niemcy okupują Polskę i rządzą według swoich zbrodniczych praw. Ja nadal ukrywam swoje żydostwo i kara śmierci niezmiennie wisi nad moją głową. Natomiast wszystko inne było wytworem mojej imaginacji i sennym majaczeniem. Tylko w marzeniach przeżyłam wojnę, ukończyłam studia, a w domu czekał na mnie mój synek.

Żeby nie upaść, usiadłam na krawężniku. Czułam, że siły mnie opuszczają, a ciało wiotczeje, jakby zaczynało zamierać. Siedziałam bez ruchu, skulona na chodniku.

– Czy pani źle się czuje? – usłyszałam w pewnej chwili męski głos.

Obok mnie stał milicjant.

– Proszę pana – zwróciłam się do niego – jaki jest obecnie rok?

– Co się pani stało? Pani wygląda na chorą. Zaprowadzę panią do szpitala.

– Niech mi pan powie, jaki jest teraz rok, niech mi pan poda dzisiejszą datę – domagałam się odpowiedzi, wierząc, że ta informacja wszystko wyjaśni.

– 1956²¹ – odpowiedział i zaczął przeglądać zawartość mojej torebki, którą podniósł z ziemi. – Pani Zawadzka, pani mieszka w Łodzi, na ulicy Więckowskiego 23, jest pani pracownikiem Uniwersytetu Łódzkiego... – milicjant głośno czytał moje dokumenty.

– Niech mi pan powie, czy wojna jeszcze trwa? – przerwałam mu.

– Nie, skończyła się już dawno temu.

– A to? – pokazałam na jasno oświetlone skrzyżowanie.

– To jest tylko makieta, będą tu kręcić film z czasów wojny. Dlaczego te niemieckie sklepy tak panią przeraziły? – szczerze zdziwił się milicjant.

Jego słowa pozwoliły mi się ocknąć. Wstałam z ziemi i z pomocą milicjanta poszłam ulicą Uniwersytecką w kierunku Narutowicza. Wracając do siebie po wstrząsie, który tak niespodziewanie mnie uderzył.

Idąc zastanawiałam się, kiedy zbliznią się rany, pozostałe po latach ukrywania się. Kiedy pozbędę się lęku, który budzi mnie niespodziewanie w nocy, i dławienia w gardle, gdy ktoś dłużej zatrzyma na mnie wzrok. Kiedy wreszcie przestanę upodabniać się do otoczenia i pozwolę sobie na luksus bycia sobą. Może wówczas nie zamierałabym na widok niemieckich napisów.

21 Opisane wydarzenie miało miejsce mniej więcej wtedy, ale nie jestem pewna, czy to był dokładnie ten rok.

Na przystanku tramwajowym mój nowy opiekun jeszcze raz zapytał, dlaczego tak bardzo przestraszyły mnie filmowe dekoracje.

– Jestem Żydówką – odpowiedziałam i zobaczyłam na jego twarzy zaskoczenie i zażenowanie.

– Niepodobna jest pani – powiedział.

Wiedziałam, że chciał mi tym sprawić przyjemność na pożegnaniu.

POSŁOWIE

Przez dwadzieścia pięć powojennych lat budowałam nowe życie na gruzach tego, co Niemcy zniszczyli. Staralam się nie wracać myślami do wojennej przeszłości. Jednak często powtarzały się koszmarne sny, w których uciekałam, byłam łapana i bezskutecznie szukałam schronienia. W dalszym ciągu, gdy zdarzało mi się słyszeć słowa nienawiści i pogardy dla Żydów, wywoływało to u mnie fizjologiczną reakcję, której zewnętrznych objawów nie umiałam kontrolować.

Zamieszkałam w Łodzi, bo do tego miasta wróciły Dziunia Słowik z matką i Maria Kamer z rodziną. Na początku 1946 roku, po kilkudniowej chorobie, niespełna czterdziestoletnia Olga Słowik niespodziewanie zmarła. Pozostawiła po sobie wspomnienie jednej z najpiękniejszych postaci, jakie spotkałam w moim życiu.

W Łodzi uzyskałam maturę w wieczorowym liceum dla pracujących, stopień magistra i doktora na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Łódzkiego. W Katedrze Chemii Organicznej, gdzie na trzecim roku studiów zaczęłam pracę w charakterze zastępcy asystenta, doszłam po szczeblach awansu do pozycji adiunkta. Praca naukowa i kształcenie młodzieży, w gronie kilkunastoosobowej grupy współpracowników katedry, dawało mi satysfakcję. Miałam rodzinę i przyjaźnie nawiązane w szkole, na studiach i w pracy.

Widziałam, że otaczająca mnie rzeczywistość nie jest doskonała i wielokrotnie przeżywałam silne rozczarowania. Oficjalnie wprowadzona równość narodowościowa pozwoliła mi wprawdzie studiować i pracować na uczelni, ale nie eliminowała kompleksu przynależności do

niższej kategorii ludzi. Poczucie to odradzało się pod wpływem dyskryminującego traktowania, na jakie bywałam narażana. Panujący system uważałam za najlepszy, jaki dotychczas znałam, i dlatego wstąpiłam do partii. Moje miejsce i przyszłość mego dziecka widziałam w Polsce i nie poddawałam się kolejnym falom emigracyjnym Żydów. Wierzyłam, że stopniowo zniknie w Polsce antysemityzm i w następnym pokoleniu będzie to kraj powszechnej tolerancji narodowościowej.

Moja ocena polskiej rzeczywistości uległa zmianie w latach 1967–69. Przeżyłam kampanię antysemicką, toczącą się na szpaltach gazet, w telewizji i w radio. Poznałam termin „pięta kolumna”, którym określano polskich Żydów. Zostałam zmuszona do „samookreślenia się” na zebraniu partyjnym i wyparcia się rzekomej „podwójnej lojalności”. Widziałam, jak powszechnie i oficjalnie odkrywano żydowskie pochodzenie u tych, którzy od lat starali się o tym zapomnieć lub to zataić. Moja polska koleżanka z Warszawy, przerażona zaistniałą sytuacją, zaferowała mi ukrycie się w jej domu.

Wszystko wtedy zaczęło się walić. Straciłam nadzieję, że kiedykolwiek Żyd będzie mógł żyć w Polsce bez piętna swego pochodzenia. Wróciło uczucie przedwojennego poniżenia. Gnębiła mnie świadomość pogłębiającej się izolacji i osamotnienia. Tłumiony przez lata lęk przypomniiał o swoim istnieniu. Rozgorączkzona i rozczarowana, zdecydowałam się wyemigrować z Polski. Rozstawałam się ze wszystkimi, którzy stali mi się bliscy, zostawiałam wszystko, co osiągnęłam. Jechałam do obcych ludzi i nie znanego świata. Czułam ciężar odpowiedzialności za życie moje i mego syna. Powtarzała się już raz przeżyta historia.

Zamieszkałam w Stanach Zjednoczonych. Przez następne dwadzieścia lat pracowałam naukowo na Uniwersytecie Nowojorskim; praca badawcza wypełniała mi długie godziny spędzane w laboratorium. Angielski język, początkowo trudny, stał się z czasem coraz bardziej zrozumiały. Poznawałam amerykańską kulturę i obyczajowość ludzi, wśród których żyłam. Nowy świat, bardzo różny od tego, który dotychczas znałam, przyjął mnie i stał się moim.

Od dziesięciu lat jestem na emeryturze i mieszkam w małym amerykańskim mieście nad brzegiem Zatoki Meksykańskiej. Do-

piero tutaj, po pięćdziesięciu latach, mogłam wrócić myślami do wojennej przeszłości. W wyniku moich długotrwałych starań Karolina Słowik i jej córki, Olga i Maria, zostały w 1998 roku pośmiertnie odznaczone medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Ukrywanie się po aryjskiej stronie zostało mi wyraźnie w pamięci i postanowiłam utrwalić na piśmie wspomnienie tych dwóch lat mojego życia.

Pisanie o tym było bardzo bolesne, jak rozdrapywanie zabliznionych ran, i wielokrotnie traciłam nadzieję, że będę mogła doprowadzić je do końca. Nagrodą za te trudy jest dla mnie ukończona książka, która daje mi poczucie spełnionego obowiązku. Jestem zadowolona, że pisząc ją po polsku, w języku, w którym myślę i śnię, mogłam przekazać polskiemu czytelnikowi moje spojrzenie na ten tragiczny okres mego życia.

Wszystkie sytuacje i postacie, które opisałam w tej książce, są prawdziwe; odtworzyłam je tak, jak pozostały w mojej pamięci. Tylko w paru miejscach, zaznaczonych w tekście, użyłam fikcyjnych imion, ponieważ nie pamiętałam prawdziwych.

Składam serdeczne podziękowanie mojemu mężowi, Joelowi Sackowi, za jego wkład w opracowanie tej książki. Dzięki jego długotrwałym przekonywaniom udało mi się pokonać wewnętrzny opór i odtworzyć okres, do którego starałam się nie wracać przez ponad pół wieku. Prowadzone z nim rozmowy o moich przeżyciach i jego wiara w moje możliwości opisanie ich, były dla mnie źródłem koniecznej do tego energii.

Dziękuję mojemu synowi, Andrzejowi Zawadzkiemu, siostrze Ilanie (Helence) i jej mężowi, Henrykowi Schönkerowi, za ich stymulujące uwagi i moralne wsparcie w czasie pisania i wydawania tych wspomnień.

Dziękuję mojej przyjaciółce Ninie Zachariasz za jej trud sprawdzania tekstu i pozytywną ocenę mojej pracy.



Halina Zawadzka

Spis treści

Od Wydawcy	5
Na aryjską stronę	8
Pierwsze godziny w polskim świecie	16
Na trasie Skarżysko–Warszawa	20
W Warszawie	25
Moniek Finkelsztajn	31
Gestapo w hotelu	36
Ucieczka nocą	41
Na Dworcu Głównym	47
Pociąg do Kuluszek	52
Kontrola na granicy	57
Jazda przez Końskie	64
Starachowice	70
W polskim domu	77
W oczekiwaniu na dokumenty	84
Święta Bożego Narodzenia	91
Praca latem 1942	97
Koniec getta w Końskich	104
Józefa Czajkowska	110
Wiosna	117
Mieszkańcy naszego domu	123
W partyzantce	131
Dziunia	138
Byle do wiosny	145
„Maryla, co mamy zrobić?”	151
Bliskie oswobodzenie	157
Ostatnie miesiące 1944 roku	164
Przeżyłam Niemców	172
Po latach	177
Posłowie	181



Rodzina Konów: matka Leonia ze Szpitbaumów Kon,
ojciec Daniel Hipolit Kon, Halina i Jerzy, Ciechocinek 1927



Halina z bratem Jerzym, Czarniecka Góra 1927



Halina z przyrodnią siostrą Helenką, Końskie 1941



Karolina Słowik, Starachowice, sierpień 1944



Olga (Dziunia) Słowik, Starachowice, sierpień 1944



Autorka, Końskie 1941



ISDYŚ | POLSCY

Nowa edycja serii „Żydzi polscy”. Klasyka źródłowej literatury żydowskiej XX wieku, bezpośrednie świadectwa życia Żydów na ziemiach polskich – w większości opowiadające o doświadczeniu Holokaustu. W serii znajdują się nie tylko teksty Żydów związanych z Polską, ale i osób, które trafiły tu wyłącznie na pewien czas – przeważnie decyzją niemieckich oprawców. Ich losy splotły się bowiem nierozwalnie z historią Polski i z historią polskiej społeczności żydowskiej.

Baruch Milch *Testament*

Archiwum Ringelbluma

Sobibór

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Henryk Schönker *Dotknięcie anioła*

Richard Glazar *Stacja Treblinka*

Calek Perechodnik *Spowiedź*

Chaim Icel Goldstein *Bunkier*